

JACK OAKLEY

POWRÓT SZAKALA



JACK OAKLEY

Powrót szakala

TP

Warszawa 1990

© Copyright by Jack Oakley

Tytuł oryginału

„THE RETURN OF THE JACKAL”

Przekład Jacek Dąbala

Projekt okładki Marek Bielecki

Wydawca:

Agencja Wydawniczo-Reklamowa „TPH” Sp. z o.o.

02-691 Warszawa

ul. Obrzeźna 6/10

telex 817052

Druk: Zakłady Graficzne, Warszawa,

ul. Srebrna 16

Nakład: 100.000 + 300 egz.

Zam. 4566

Wydanie I,

Warszawa 1990

PANU
FREDERICKOWI FORSYTHOWI –
MISTRZOWI GATUNKU

*„Przetrzymano go dwadzieścia cztery
godziny i puszczono dopiero
wtedy, gdy otrzymano
potwierdzenie z Paryża,
że Szakal rzeczywiście nie żyje”.*

(F. Forsyth, „Dzień Szakala”)

PROLOG

Komisarz Claude Lebel, pierwszy policjant Francji, pogrążony był w głębokim śnie, kiedy pięćdziesiąt kilometrów dalej rozpoczął się kolejny, najtragiczniejszy wątek jego życiorysu. Mijały właśnie dwie doby od bezimiennego pogrzebania zwłok człowieka zwanego Szakalem, płatnego mordercy, którego Lebel wyśledził i zastrzelił, ratując w ten sposób życie generała Charlesa de Gaulle'a.

Dokładnie dwadzieścia trzy minuty po północy przy bramie cmentarza w Montfort-l'Amaury zatrzymał się granatowy mercedes. Mężczyzna siedzący za kierownicą wyłączył silnik i spokojnym ruchem poprawił rękawiczki z cienkiej irchy. Przez chwilę czujnie nadśluchiwał i uważnie obserwował otoczenie. Dzięki kilkumetrowej jeździe ze zgaszonymi światłami jego oczy bez trudu dostrzegały w ciemnościach powyginane pręty parkanu i poruszające się na wietrze gałęzie drzew. Wokoło nie działa się nic podejrzanego, a na rzadko używanej drodze nie było śladu życia.

Mężczyzna odwrócił głowę w stronę siedzącego obok człowieka. Cmentarny kancelista milczał z trudem opanowując strach. Poczł prznikliwe spojrzenie, ale nie zareagował, czekał. Kiedy kilkanaście godzin wcześniej otrzymał dziwny telefon, w którym ktoś zapytał go, czy mieli u siebie w ciągu ostatniej doby jakiś pogrzeb, chciał po prostu odłożyć słuchawkę. Nieznajomy dodał jednak szybko, że

jeśli znajdzie w Montfort-l'Amaury to, czego szuka, dobrze zapłaci za informację. Kancelista opowiedział mu więc o jednym pogrzebie, jaki odbył się na miejscowym cmentarzu w ciągu ostatnich trzech dni. Mężczyznę to zainteresowało, więc umówili się na spotkanie na skrzyżowaniu rue de Paris z rue de Versailles, po jedenastej w nocy. Kancelista, spodziewając się dużej zapłaty, zgodził się na wszystko. Dopiero teraz, w ciemności, sam na sam z barczystym nieznanym zaczynał mieć wątpliwości czy dobrze postąpił.

– Idziemy – usłyszał szept, po którym język ze zdenerwowania przykleił mu się do podniebienia.

Szli powoli, omijając rozsypujące się ze starości nagrobki i rosnące dziko krzaki. Ta część cmentarza już od lat nie miała swoich opiekunów. Po drodze kancelista wziął ze skrzynki przy bramie łopatę. Przestał się bać, wciąż jednak czuł się nieswojo i dręczyła go ciekawość, kim jest człowiek, który chce zapłacić za pokazanie zwłok mężczyzny pochowanego w pośpiechu przed dwoma dniami.

– To tutaj – mruknął kancelista, pokazując łopatą świeżą mogiłę.

Nieznanomy kucnął, zapalając zapalniczkę. Na wystającej z ziemi tabliczce odczytał niechlujny napis: „Nieznany turysta. Zginął tragicznie 25 sierpnia 1963 r.”.

Kiwnięcie głowy wystarczyło, aby kancelista zabrał się do pracy. Szło mu nieźle, ponieważ przez wiele lat był na tym cmentarzu grabarzem. Posadę kancelisty otrzymał dopiero przed rokiem. Po dwudziestu minutach łopata natrafiła na wieko trumny.

- Gotowe – stęknął kancelista i wytarł rękawem spocone czoło.
- Chcę go zobaczyć – powiedział nieznanomy.

Kancelista końcem łopaty podważył wieko trumny i po chwili płomień zapalniczki po raz drugi tej nocy rozbłysł na cmentarzu. Dłoń kancelisty gwałtownie zacisnęła się na łopacie. Mimo że był przyzwyczajony do niejednego widoku, tym razem z przerażeniem odkręcił głowę.

– O Boże – westchnął. – Co mu się stało?

– Dostał serię z pistoletu maszynowego – wyjaśnienie tamtego zabrzmiało jak podziękowanie za szklankę piwa w pubie. – Niech go pan zapakuje do tego worka i zasypie dół.

– Tego nie było w umowie! – wybuchnął kancelista.

– Tu jest worek – mężczyzna rzucił mu pod nogi zwiniętą w rulon folię. – Nie traćmy czasu.

Kancelista wzruszył ramionami i zaczął rozpakowywać worek. Znów poczuł strach. Nie uspokajał go nawet fakt, że w ubraniu tamtego dostrzegł coś śmiesznego. Elegancki, szary prochowiec, biała koszula, krawat i idealnie wyprasowane spodnie nie pasowały do tanich, sportowych tramppek, jakie człowiek ten miał na nogach.

Sapiąc z wysiłku wsunął zwłoki do worka. Podniósł głowę i w tej samej sekundzie otrzymał uderzenie. Jego kręgi szyjne chrupnęły, w oczach mignęło zdziwienie i przestał żyć. Morderca wepchnął go do trumny, zatrzaskał wieko i szybko zaczął zasypywać grób. Dochodziła pierwsza i musiał się śpieszyć. Za pół godziny powinien znaleźć się w Pontchartrain, gdzie zostawi ciało i znów będzie tylko flegmatycznym, angielskim turystą na wakacjach.

Po raz ostatni przyklepał mogiłę. Worek z ciałem zarzucał sobie na lewe ramię, w prawą dłoń wziął łopatę i ruszył z powrotem do samochodu. Drogę powrotną zapamiętał bardzo dokładnie. Dzięki temu niemal od razu odnalazł skrzynię, do której schował łopatę.

Lubił noc, a w ciemnościach czuł się prawie tak dobrze jak w dzień.

Dwie minuty później ciało znalazło się w bagażniku mercedesa. Początkowo – jak poprzednio – jechał bez świateł. Zapalił je dopiero na rue de Sance.

Obok kosza na śmiecie mężczyzna zatrzymał wóz i wysiadł. Energicznym ruchem pozbył się trampek i szybko obszedł dookoła samochód, odpinając naciągnięte na opony szerokie, gumowe pasy. Zwinął je, skleił taśmą i wrzucił w kąt bagażnika. Teraz był pewien, że dostatecznie dobrze zatarł za sobą ślady.

Po pięciu minutach znajdował się za Montfort-l'Amaury na szosie do Pontchartrain. Zdjął z rąk zabrudzone ziemią rękawiczki i wyrzucił przez okno samochodu. Wsunął między zęby fajkę i nie zapalając jej spojrzął na zegarek. Jego twarz nieco rozjaśniła się. Wiedział, że zdąży i nikt nigdy nie domyśli się nawet, co naprawdę zaszło tej nocy w małym, prowincjonalnym miasteczku niedaleko Paryża.

Po raz pierwszy w życiu wykonał robotę, za którą mu nie płacono. Na świecie było tylko dwóch ludzi, dla których mógł to zrobić. Jeden z nich leżał właśnie martwy w bagażniku mercedesa, drugi kilka tysięcy kilometrów dalej jako zakonnik opiekował się kolumbijskimi Indianami.

Tajemnicze zniknięcie kancelisty z Montfort-l'Amaury poruszyło tamtejszą policję tylko na kilka dni. Potem spisano protokół i wysłano sprawę wyżej. Tam utknęła i szybko o niej zapomniano. Mężczyzna w mercedesie przypuszczał, że tak właśnie będzie. Nikt przecież nie mógł wpaść na pomysł, aby sprawa ta trafiła na biurko komisarza Lebela. Komisarz był za wysoko i – to też morderca wiedział – od dwóch dni miał urlop.

1.

Ludzie szczególnie niebezpieczni – takimi słowami raporty policji na całym świecie określały typ mężczyzn, którzy znajdowali się na pokładzie cywilnego śmigłowca Bell 206 B.

Jacques Dolors, żyłasty, wysoki prawie na dwa metry blondyn, większość życia spędził za sterami różnego rodzaju samolotów i śmigłowców. Z lotnictwem wojskowym rozstał się przed trzema laty, kiedy kilkakrotnie zdarzyło mu się stracić na krótko przytomność podczas pilotowania myśliwca F-20. W podaniu o zwolnienie napisał: g-loc, co oznaczało, że jego organizm nie wytrzymuje piętnastokrotnych przeciążeń i pilot nie może wykonywać swoich zadań. Dolors nie miał kłopotów z odejściem do cywila, ponieważ w jego aktach wielokrotnie zaznaczono, że należy do osób wyjątkowo konfliktowych.

Frank Lane, prawie stukilogramowy mężczyzna z nienaturalnie krótką szyją, połowę swojego czterdziestoletniego życia spędził w Legii Cudzoziemskiej. Ostatnia awantura, w której brał udział rozegrała się w Czadzie przed pięciu laty. Lane spędził tam idiotyczne trzy miesiące w oczekiwaniu na ofensywę wojsk pułkownika Kadafiego. Trzykrotnie awansował i trzykrotnie zdegradowany opuścił Legię w stopniu sierżanta. Pozostawił po sobie opinię żołnierza, który jest normalny tylko w warunkach zagrożenia. Spokojny

pobyt w koszarach wyzwał w nim wściekłą agresję lub ataki depresji.

Trzeci z mężczyzn, Brian Smith, zwany przez kolegów „Piórko”, z wyglądu niczym się nie wyróżniał. Przypominał zadbanego i wrażliwego absolwenta jednej z renomowanych angielskich uczelni. On właśnie był mózgiem całej wyprawy. Zaledwie kilku ludzi wiedziało, że był on najlepszym specjalistą świata przestępczego Kanady. Każde, nawet najmniejsze przesunięcie w układzie sił organizacji przestępczych tego wielkiego kraju, nie działo się bez wiedzy Smitha. Geniusz jego polegał na tym, że świadczył najbrudniejsze usługi najwybitniejszym osobistościom i nigdy nie zostawiał za sobą śladów. Policja, która znała jego działalność, z braku dowodów nie mogła go o nic oskarżyć. Był dla nich jak aktor z kryminalnego filmu – patrzyli na jego zbrodnie, ale nigdy nie widzieli go na planie.

Tacy właśnie ludzie spoglądali teraz w dół, wypatrując miejsca do lądowania. Mimo że śmigłowiec bez trudu mógł wylądować na wodzie, Smith uznał, że powinni to zrobić na twardym gruncie. Trzy dni wcześniej znaleźli takie miejsce i zrzucili tam dwa pięćdziesięciokilogramowe odważniki pomalowane fosforyzującą farbą. Było to konieczne, aby pośród rozciągających się wokół rzeki Mackenzie bagien, móc w nocy odnaleźć lądowisko.

Lane, ubrany jak pozostali w lotnicze battledressy, siedział w otwartych drzwiach śmigłowca i wytężał oczy. Pogoda im sprzyjała. Wiał lekki, ciepły wiatr z południa i świecił księżyc. Do świtu pozostały jeszcze trzy godziny. Musieli się śpieszyć. Wreszcie coś zauważyli. Lane klepnął Dolorsa w ramię i pokazał palcem w dół. Na czarnej powierzchni wody, porostów, mchu i drzew błyszcząły dwa punkty. Odetchnęli z ulgą. Odważniki nie zatoneły, a fosforyzująca

farba wyraźnie pokazywała lądowisko.

Pracowali w milczeniu. Każdy z nich doskonale wiedział co ma robić. Lane wyciągnął ze śmigłowca duży, wojskowy ponton, trzy wiosła i skórzaną, podłużną torbę. W torbie znajdowały się trzy pięciostrzałowe rewolwery Brand „New”, model 54, z zapinanymi kaburami na szelkach, kusza „Wildcat II” z kompletem dwunastu aluminiowych strzał oraz angielska dubeltówka kaliber 12 z sześcioma śrutowymi nabojami.

Dolors kończył łamanie gałęzi z pobliskich krzaków i maskowanie nimi helikoptera. Smith klęczał na dnie pontonu i po raz ostatni analizował rozłożoną tam, własnoręcznie wykonaną mapę. Światło latarki ustawił tak, że nawet z bliska trudno je było dostrzec. Lane i Dolors skończyli swoje i podeszli do pontonu. Założenie szelek z rewolwerami i zepchnięcie gumowej łodzi na wodę zajęło im niecałe dziesięć sekund. Smith spojrzął na zegarek.

– Trzecia dwadzieścia – stwierdził krótko.

Sprawdzili swoje zegarki i potwierdzili. Pozostało im niewiele czasu. Wszyscy trzej sięgnęli po wiosła i odbili od wysepki. Najdalej za półtorej godziny powinno być po wszystkim. Nie wątpili, że plan, nad którym przez ostatnie dwa tygodnie pracowali musi się powieść.

Ciszę letniej, sierpniowej nocy przerywało od czasu do czasu krótkie warknięcie psa. Kudłaty husky rozłożył się na werandzie dużego, drewnianego domu i drzemał. Nie musiał niczego pilnować. Posiadłość jego właściciela znajdowała się na pięciohektarowej wyspie, położonej wśród jezior i trzęsawisk pomiędzy rzeką Mackenzie a Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim. W nocy koło domu

pojawiały się co najwyżej zwierzęta. Czasem był to skunks lub sarna, a innym razem rodzina bobrów, ryś czy też puma. W zimie, kiedy powierzchnia wody zamarzała, na wyspę trafiały karibu, wilki, a czasami nawet niedźwiedzie.

Nagle pies drgnął, usiadł i zaczął się zapamiętale drapać. Po chwili przeciągnął się i szeroko ziewnął. Wyczuwał nadchodzący świt i porę jedzenia. Podniósł się i jak zwykle o tej porze zamierzał oblecieć dom dookoła. Wyciągnął szyję, nabierając w nozdrza powietrze, które sekundę później przyniosło mu śmierć. Długa aluminiowa strzała utkwiała dokładnie w komorze jego serca. Husky zapisał tylko żałośnie i osunął się na deski werandy. Jego oczy przestały widzieć, a nos po raz ostatni odróżnił obcy zapach.

Smith schował kuszę do torby i wyciągnął dubeltówkę. Była nabita. W lufie tkwiły dwa naboje wypełnione specjalnie przygotowanym śrutem. Pierwszą część zadania mieli za sobą.

Smith znał rozkład zajęć mieszkańców domu na pamięć. Analiza zdjęć wykonanych przed kilku dniami z helikoptera wykluczała pomyłkę. Mieszkały tutaj tylko dwie osoby: mężczyzna, który ich interesował oraz stara kobieta, która była im obojętna.

Lane nacisnął klamkę i ostrożnie pchnął drzwi. Nawet nie zapisały. Dobry gospodarz – pomyślał cynicznie i z rewolwerem w rękę wszedł do środka. Za jego plecami cicho stąpał Dolors. Zajrzeli do salonu, ominęli kuchnię i wśliznęli się do kolejnego pomieszczenia.

– Nie śpisz, Charles? – usłyszeli szept, który niemalże eksplodował w ich głowach.

– Merde – przeklął Lane i jak kot skoczył w stronę łóżka. Starsza pani chciała coś jeszcze powiedzieć, ale żelazna dłoń legionisty wycisnęła z jej szyi resztę życia.

Dolors wytarł rękawem czoło. Obaj stali w miejscu i nasłuchiwali. Zbyt dobrze wiedzieli, co ich czeka w razie niepowodzenia. Z niewielu informacji, jakie posiadali wynikało, że człowiek, do którego tej nocy przyszli, mógłby obdzielić swoją przeszłością co najmniej pluton zabijaków z karnej kompanii Legii Cudzoziemskiej. Pocieszał ich tylko fakt, że mężczyzna ten miał już grubo ponad sześćdziesiąt lat.

Zatrzymali się na końcu korytarza. Dolors spojrzął na zegarek. Minęła czwarta pięćdziesiąt dwie. Lane wszedł do sypialni pierwszy. Dolors stanął tuż za progiem. W mroku wczesnego poranka dostrzegli kontury kapci obok łóżka i wystające spod kołdry włosy śpiącego mężczyzny. Lane błyskawicznie przyłożył do nich lufę rewolweru i wrzasnął:

– Nie ruszaj się, Calthrop!

Charles Calthrop rzeczywiście nie poruszył się. Siedział w pizamie w najciemniejszym kącie sypialni i trzymał ich na muszce pistoletu maszynowego „Uzi”. Lane chwycił wystające włosy i szarpnął. Mrok ukrył wyraz jego twarzy, kiedy poczuł w dłoni miękkość peruki. Dolors zapalił światło i w tym momencie seria dziewięćmilimetrowych pocisków pograżyła się w piersi Lane'a. Dolors rzucił się błyskawicznie na podłogę i strzelił w kąt pokoju. Było już jednak za późno. W jego stronę leciała kolejna seria, która roztrzaskała mu ramię i głowę na kawałki.

Calthrop zgasił światło i prawie natychmiast wsunął się pod zwłoki Dolorsa. Zanurzył dłoń we krwi i potarł sobie twarz. Leżał przodem do drzwi. Wiedział, że postępuje w jedyny rozsądny w takiej sytuacji sposób. Jeżeli napastników było więcej, to jego ucieczka skończyłaby się tuż za oknem lub za drzwiami domu. Musiał czekać.

Kiedy Smith usłyszał strzały jego dubeltówka skierowana była w jedno z okien. Był za sprytny, aby zareagować od razu. Doskonale rozpoznał dwie serie z „Uzi” i pojedynczy strzał z rewolweru. Pochylił się i podszedł do okna sypialni Calthropa. Ostrożnie zajrzał do środka. Skrzywił się nieznacznie, kiedy zobaczył zachłapaną krwią zwłoki trzech mężczyzn. Opuścił dubeltówkę i ruszył do środka. Zanim przekroczył próg sypialni miał czas uświadomić sobie fatalność swojego położenia. Zadanie nie zostało wykonane i zleceniodawca z pewnością mu tego nie wybaczy.

Smith obrzucił wzrokiem sypialnię, a jego but kopnął w bok, leżący obok ręki Calthropa pistolet maszynowy. „A może jest tylko ranny...”, pomyślał i oparł o szafkę dubeltówkę. Oddałby wiele, żeby tak było. Kiedy pochylał się nad Calthropem, chcąc sprawdzić puls, poczuł piekący ból w oczach. Ostatnim obrazem, jaki zobaczył, był rozbity zegarek Dolorsa. Na spłaszczonym datowniku mógł odczytać: „22-08-1989”.

Palce Calthropa uderzyły celnie i skutecznie. Smith próbując chwycić dubeltówkę, rozpaczliwie rzucił się do tyłu, potknął i natrafił ręką na „Uzi”. Nic nie widział, a ból rozsadał mu głowę. Nie zdążył nacisnąć spustu ponieważ wcześniej zrobił to Calthrop. Nie wiadomo kiedy dubeltówka znalazła się w jego rękach i wystrzeliła. Z odległości trzech metrów śrut wbijał się głęboko i parzył jak dotknięcie rozgrzanego pogrzebacza. Syczał z bólu. Jego battledress od piersi w dół przypominał sito. Calthrop podniósł „Uzi”, nadepnął Smithowi na pokiereszowaną dłoń i warknął:

- Kto was nasłał?
- Skąd wiedziałeś, że przyjdziemy? – wyjęczał Smith.
- Kto was nasłał? – powtórzył Calthrop, a jego pięta zaczęła miażdżyć palce rannego. Rozległ się krzyk bólu. – Albo odpowiesz

natychmiast, albo zakopię cię z nimi żywego – właściciel domu pokazał spojrzeniem ciało Lane'a i Dolorsa.

Usta Smitha w ciągu jednej sekundy zrobiły się suche. Postanowił mówić. Wiedział, że za kilkanaście minut będzie za późno.

– Dobrze, powiem – wyszeptał. – Wynajął nas Patrick Lerager z Montrealu.

– Kto to jest? – Calthrop nawet nie starał się ukryć zdziwienia, że nazwisko to było mu całkowicie obce.

– Pracuje w Ministerstwie do Spraw Bezpieczeństwa (Defense Research Board). Mieliśmy skontaktować się telefonicznie po robocie. Numer jest w książce...

– Ile wam dał za moją śmierć?

– Nie mieliśmy cię zabijać... – Smith zakrztusił się i przez chwilę zaniósł się kaszlem. – Chciał, żebyśmy cię stąd zabrali i przetrzymali miesiąc w jakiejś dziurze. Wynajęliśmy już mieszkanie ze ślepym pokojem.

– Gdzie?

– W Montrealu. Przy rue Saint-Denis... – wyrzucił z siebie Smith. Czuł, że słabnie. Oczy przestały go trochę boleć i zaczął widzieć. Calthrop stał wciąż nad nim, a lufa „Uzi” była wycelowana w jego brzuch. Dopiero teraz Smith mógł przyjrzeć się barczystej sylwetce gospodarza i pociągłej, pooranej zmarszczkami, szlachetnej twarzy. Calthrop miał siwe, przystrzyżone na jeża włosy i oczy, które nie wyrażały nic. Smith również nie odznaczał się szczególnie rozwiniętymi uczuciami, ale w porównaniu z Calthropem poczuł się czysty jak roczne dziecko. To, czego się obawiał, zaczęło działać. Ciało stawało się coraz bardziej miękkie, a w ustach robiło się przeraźliwie sucho.

– Na brzegu jest ponton... – charczał Smith. – Na północ...

Helikopter... gałęziami... Chce zostać... w helikopterze... Pilot... – powiedział po raz ostatni i zamilkł. Nie czuł już nic.

Calthrop przyglądał mu się kilka sekund jakby chciał zrozumieć sens dziwnych słów, które usłyszał. Cóż, pomyślał w końcu, ludzie mają różne zachcianki. Ostatecznie i tak będzie się musiał pozbyć zwłok i helikoptera. Tak, zdecydował, to było do przyjęcia, w dodatku nie trzeba kopać grobu dla wszystkich.

Uratował go przypadek. Gdyby napastnicy wiedzieli, że od wielu lat budzi się przed świtem, aby ze szklanki stojącej obok łóżka napić się wody – byłby teraz trupem.

Pięć dni później, 27 sierpnia, na ławce przed okazałymi budynkami montrealskiego Uniwersytetu Mc Gilla usiadł skromnie ubrany stary człowiek. Łagodnie uśmiechnięty patrzył na zielone trawniki i od czasu do czasu zanurzał palce w długiej siwej brodzie. Staromodny czarny garnitur i okulary z grubymi oprawkami upodobiały go do pastora lub emerytowanego profesora filozofii. Staruszek trzymał na kolanach wysłużoną teczkę, która z daleka przypominała pudełko po urodzinowym torcie. Jego prawa ręka opierała się niedbale na solidnej lasce, wykończonej macicą perłową.

Siedział tak przez piętnaście minut, po czym wstał i utykając ruszył za grupką studentów, którzy wyszli właśnie z uniwersytetu. Dochodziła piąta i ściemniało się. Na Sherbrooke Street studenci pożegnali się i wsiedli do samochodów. Staruszek zatrzymał się niedaleko żółtego renault 5, do którego wsiadła niezgrabna, tleniona blondynka. Po dwóch minutach studenci odjechali i na parkingu został tylko jej samochód. Staruszek zbliżył się do niej i zapukał w okno.

– Nie chce zapalić, prawda?

– Nie wiem co się stało – odpowiedziała dziewczyna, otwierając drzwi. Przygarbiony starzec wzbudził w niej zaufanie. – Rano jeszcze jeździł...

– To na pewno chwilowe, proszę pani. Z silnikami tak bywa. Proszę mi pozwolić spróbować, kiedyś pracowałem jako mechanik.

Stary człowiek odłożył laskę i teczkę, podciągnął nogawki spodni i zaczął gramolić się do środka. Dziewczyna rozbawiona jego staroświecką uprzejmością przesunęła się na siedzenie obok.

Nie zdążyła podziękować, ponieważ jego ręka chwyciła ją z tyłu za włosy, a na twarzy wylądował wielki tampon nasączony chloroformem. Szarpnęła się dwa razy i straciła przytomność. Staruszek wysiadł z samochodu, wyciągnął z rury wydechowej szmatę, wrzucił na tylne siedzenie laskę i teczkę, po czym najspokojniej zapalił silnik i ruszył.

Po blisko godzinnej jeździe wjechali na niewielką rue Bordeaux. Stary człowiek zatrzymał samochód i rozejrzał się. Szczególną uwagę zwracał na balkony i zewnętrzne schody niskich domków. Poza trzema osobami na końcu uliczki, nie zauważył nikogo.

Adres dziewczyny doskonale znał. Przerzucił ją sobie przez ramię, wszedł do środka i zatrzasnął drzwi. W mieszkaniu poruszał się pewnie, jakby już w nim był. Nie zapalając światła położył dziewczynę na kanapie, przyniósł z kuchni mokrą ścierkę i przykrył jej twarz. Usiadł w półmroku i czekał aż dziewczyna odzyska przytomność.

– Co się stało? – wyszeptała zdejmując sobie z twarzy ścierkę.
– Co pan tu robi?

– Załatwiam interesy – odpowiedział cierpko staruszek. – A teraz proszę zatelefonować do ojca i powiedzieć, że jesteśmy tutaj oboje. Potem odda mi pani słuchawkę. I proszę o nic nie pytać –

dodał widząc, że dziewczyna otwiera usta.

- A jeśli tego nie zrobię? – zapytała z odcieniem irytacji.
- Zabiję panią – uciął zdecydowanie.

Dziewczyna prawie natychmiast sięgnęła po słuchawkę i wykreśliła numer.

– Cześć tato – powiedziała nienaturalnym, sztywnym głosem. – Nie mogę mówić. Jest tu pewien człowiek, który chce z tobą mówić.

Staruszek wziął słuchawkę i nie spuszczać wzroku z dziewczyny powiedział:

– Panie Lerager, mam kilka pytań i mało czasu. Jeżeli odpowie mi pan natychmiast, pańska córka będzie jeszcze długo żyła. W przeciwnym przypadku zabiję ją zaraz po naszej rozmowie. Czy pan mnie zrozumiał?

– Tak, rozumiałem – głos w słuchawce przypominał piłę w tartaku. – Kim pan jest?

– Człowiekiem, na którego nasłał pan trzech ludzi. Mieli mnie porwać i jakiś czas przetrzymać. Dlaczego?

– Calthrop? – wykształcił Lerager. – Charles Calthrop...

– Tak, to ja – powiedział Calthrop, poprawiając sztuczną brodę. – Streszczaj się, Lerager.

– Proszono mnie o zajęcie się tobą. To była przysługa. Sam wiesz, że pewnym ludziom nie można odmówić. Wynająłem faceta, który miał to załatwić. Później miałem otrzymać informację, kiedy cię zwolnić...

– Kto za tym stoi? – przerwał Calthrop.

Cisza trwała tylko odrobinę za długo. Lerager nie zamierzał jednak igrać z życiem jedynej córki, bo bez zająknięcia odpowiedział:

– Francois Sabatini.

W tym momencie laska Calthropa opadła na ramię panny Lerager, która chciała niepostrzeżenie uciec. Zasyczała z bólu, ale zrozumiała, że nie powinna próbować przechytryć napastnika. Twarz staruszka, którą na początku polubiła, teraz wzbudzała w niej odrazę i strach.

– Ten z Paryża? – upewnił się Calthrop.

– Tak – potwierdził ze zdziwieniem Lerager. – Musiałem się zgodzić. Zresztą nie było mowy o zabijaniu...

– To mi wystarczy, Lerager – przerwał Calthrop. – Uratowałeś córkę i siebie. Jeżeli jesteś rozsądny, zapomnisz o mnie ty i twoja córka.

Słuchawka opadła na widełki i Calthrop wstał z kanapy. Spojrzał przenikliwie na dziewczynę. Bała się i nienawidziła go. Rozumiał takie uczucia, był do tego przyzwyczajony.

– Proszę zapomnieć – ostrzegł ją, podchodząc do drzwi. – To łatwiejsze niż żyć w strachu.

Wyszedł na ulicę, przygarbił się i ruszył w stronę metra. Czuł, że dziewczyna obserwuje go przez okno, że wciąż waha się, jak ma postąpić. On znał odpowiedź. Wiedział, że w takich sytuacjach większość ludzi postępuje tak samo.

W ekskluzywnym mieszkaniu przy Bulwarze Saint Joseph dwoje ludzi siedziało w milczeniu. Gołe ciała i rozrzucone poduszki nie nasuwały wątpliwości, że jeszcze przed chwilą oddawano się tutaj miłosnej zabawie. Patrick Lerager patrzył w telefon i nerwowo poruszał palcami. Jego długonoga kochanka, July Seal, siedziała w fotelu i wysilała się, chcąc odgadnąć zdenerwowanie towarzysza. Widać było, że romantyczne spotkanie zostało gwałtownie przerwane. W końcu telefon zadzwonił i Lerager przyłożył słuchawkę do ucha.

Zacisnął zęby jakby przed sekundą połknął odbezpieczony granat.

– Już dobrze, tato – usłyszał głos córki. – Wyszedł, ale strasznie się boję...

– Na szczęście już po wszystkim – uspokoił ją ojciec, ocierając pot z czoła. – Jemu chodziło tylko o informację. Dostał ją i nic ci już nie grozi. Zostań w domu, a ja za godzinę u ciebie będę. Kocham cię, malutka.

Lerager odzyskał spokój. Otworzył notes i zatrzymał wzrok na inicjałach: F.S. Był tam paryski numer telefonu Sabatiniego.

Jadąc do córki Lerager analizował swoją rozmowę z Sergio Lamartinem, osobistym sekretarzem Francoisa Sabatiniego, oficjalnie współwłaściciela „Casino de Paris” w rzeczywistości szefa paryskiej mafii narkotykowej.

Lerager domyślał się, że telefon Sabatiniego jest na podsłuchu, dlatego nie przedstawił się. Powiedział tylko, że człowiek, którym interesował się pan Sabatini wyjechał. Dodał również, że tamten wie o zainteresowaniu pana Sabatiniego i być może go odwiedzi. Lamartine wysłuchał tego w milczeniu, po czym cierpko zakończył:

– Pan Sabatini z pewnością ucieszy się z tej wiadomości. Okaże także swoją wdzięczność.

Lerager był pewien, że po tym telefonie ludzie z Paryża wściekną się i jego sytuacja będzie jeszcze bardziej niepewna. Przeklinał dzień, w którym związał się z nim i okazał słabość. Mieli go w rękę i w każdej chwili mogli zniszczyć. Ostatnie słowa Lamartine'a oznaczały, że nie wolno mu działać na własną rękę, że nie może nic zrobić przeciwko Calthropowi.

Przejechał plac Villa Marie, minął Królewski Bank Kanadyjski (Royal Bank of Canada) i wciąż zastanawiał się jak powinien

postąpić. Przekazywanie paryskiej mafii tajemnic związanych z bezpieczeństwem kraju oraz szpiegostwo przemysłowe mogły go w każdej chwili kosztować najwyższą cenę. Lerager wiedział o tym i polecenia z Paryża starał się wykonywać zawsze dokładnie i w terminie. Miał tam z tego powodu znakomitą opinię. Doświadczenie nauczyło go jednak, że opinia ta to rzecz mało wymierna, a szczerzy przyjaciele nie zasługują na najmniejsze zaufanie. Zatrzymał swoje audi za samochodem córki i wyjął z ust żuty kawałek gumy. Przez chwilę ugniatał ją w palcach, po czym zdecydowanie wyrzucił za okno. Kiedy naciskał dzwonek, jego twarz miała beztroski i pogodny wyraz. Trwało to zaledwie chwilę, ponieważ pod łopatką poczuł mocny ucisk lufy rewolweru. Nie zdążył zareagować. Drzwi otworzyły się i ktoś błyskawicznie wepchnął go do środka. Zderzył się z córką i oboje upadli na podłogę. Calthrop cicho zamknął za sobą drzwi.

– Do pokoju – powiedział, celując w głowę Leragera.

Ojciec i córka posłusznie weszli do salonu.

– Położyć się na dywanie – rozkazał zimno Calthrop. – Na brzuchu!

Usłuchali bez wahania. Calthrop śpieszył się. Uklęknął między nimi, chwycił oboje za włosy i z całej siły szarpnął im do tyłu głowy. Poprawił uderzeniem kolana w kark, odczekał chwilę i sprawdził puls. Nie żyli.

Calthrop zabrał ze sobą tylko paszport Leragera, który znalazł w audi. O wiele bardziej cenił oryginalne dokumenty od podrabianych.

Przez następne kilkanaście godzin Calthrop zacierał za sobą ślady. W publicznym szalecie na stacji kolejowej Windsor pozbył się charakterystyki i odkleił z wewnętrznych stron dłoni cienką jak

pergamin gumę, dzięki której nikt na świecie nie znał jego linii papilarnych. Perukę, wąsy, brodę i brwi wrzucił do sedesu i spuścił wodę. Z tekturowej walizki wyjął ciemnozielony, flanelowy garnitur, białą koszulę i czarny krawat w cienkie, żółte paski. Zmienił także podniszczone, brązowe buty na czarne mokasyny. Stare ubranie schował do kosza. To samo zrobił z laską. Złapał taksówkę i kazał się zawieźć do ekskluzywnego hotelu „The Queen Elizabeth”, w którym wynajął apartament.

Zadzwoił na lotnisko i zarezerwował bilet na najwcześniejszy lot do Paryża. Urzędnicze w biurze rezerwacji przedstawił się jako Robert Brown, obywatel amerykański.

Prawdziwy Robert Brown stracił ten paszport przed rokiem w nowojorskim metrze i już dawno o nim zapomniał. Calthrop miał takich paszportów kilkanaście i czasami się nimi posługiwał. Ludzie, na których zostały wystawione, przeważnie byli do niego bardzo podobni i mniej więcej w tym samym wieku. Tym razem zdecydował się na amerykańskiego agenta reklamowego, Roberta Browna. Przefarbował na czarno włosy i przykleił grube, einsteinowskie wąsy. Twarz na zdjęciu w paszporcie była znacznie młodsza, ale zupełnie znośnie pasowała do aktualnego wyglądu Calthropa alias Browna.

W luksusowej walizce ze skóry krokodyla ułożył wszystkie niezbędne rzeczy, włącznie ze zdemontowanym pistoletem weihrauch HW 45, robionym na zamówienie przez jednego z marsylskich rusznikarzy. Pistolet składał się głównie z niemetalowych części, które luzem nie wzbudzały podejrzeń. Cała broń była nie do wykrycia. Kilka innych gadżetów Calthrop ukrył w przyborach do golenia, a zapasowy paszport schował w grubej, złożonej okładce mormońskiej Biblii.

Zanim położył się spać z przyjemnością wyjrzał przez okno. Tuż obok znajdowały się stare, dziewiętnastowieczne budynki bazyliki Marie Rein otoczone wieżowcami i restauracjami. Zamówił w recepcji budzenie na szóstą i położył się spać.

O godzinie szóstej piętnaście opuścił hotel nie pojawiając się w recepcji. Klucz do apartamentu razem z banknotem dziesięciodolarowym oddał windziarzowi, po czym taksówką udał się na pocztę główną w pobliżu skrzyżowania Saint Antoine z Bonaventure. W jednej ze skrytek zostawił paszport na nazwisko: Charles Calthrop. Nie wątpił, że w przyszłości będzie mu jeszcze potrzebny.

Śniadanie zjadł w restauracji na lotnisku i punktualnie o ósmej zero pięć znajdował się na pokładzie samolotu Airbus-330, należącego do szwajcarskich linii lotniczych (Swissair). Calthrop patrzył na znikającą w dole ziemię i zastanawiał się dlaczego tak wpływowo człowiek jak Francois Sabatini zdecydował się z nim zdrzeć. Dopiero kiedy młodziutka stewardessa z dużymi, ciekawskimi oczami postawiła przed nim tacę z jedzeniem odwrócił głowę i uśmiechnął się. Mimo swoich sześćdziesięciu paru lat wciąż lubił kobiety. One również uważały go za bardzo atrakcyjnego mężczyznę, dzięki czemu wiele spraw mógł załatwić szybciej i lepiej. Stewardessa odwzajemniła uśmiech.

– W Paryżu coś pani powiem – zażartował Calthrop z tajemniczą miną.

Dziewczyna spoważniała na moment, z rozbawieniem pokręciła głową i oddaliła się. Calthrop z przyjemnością odprowadził ją wzrokiem. Kobiety, to była prawdziwa niewiadoma. Tutaj nic nie można było precyzyjnie zaplanować.

Dokładnie w tej samej chwili Luciano Parotti, capo capini nowojorskiego klanu Gambino, patrzył na dwie granatowe płyty w pobliżu domu Calthropa. Gangster przybył na wyspę przed kilkoma minutami i wyraźnie zaskoczyła go nieobecność właściciela. Informator zapewnił go, że Charles Calthrop od pięciu lat mieszka na wyspie i nie przyjmuje żadnych kontraktów. Parotti nie miał powodu nie ufać informatorowi, dlatego teraz pospiesznie starał się odgadnąć co takiego mogło zajść, że Calthrop nagle wyjechał. Żuł w żółtych zębach hawajskie cygaro i po raz kolejny czytał napisy na kamieniach: „Richard Calthrop. Zmarł 25.11.1963 r.”, „Margaret Calthrop. Zmarła 22.VIII.1989 r.”.

Zastanawiała go szczególnie data śmierci kobiety. Zaledwie kilka dni temu. Poza tym nie wiedział, kim była. Calthrop miał być przecież sam. Nowojorski mafioso nie lubił niejasności, zawsze wietrzył w nich jakiś podstęp. Pewien był tylko tego, że właściciel wyjechał stąd przed kilkoma dniami. Dom i budynki były zamknięte, ale zamki zakonserwowane, nieporzdewiałe. W dodatku na trawie zostały ślady płóz helikoptera.

Parotti poprawił kapelusz i wcisnął ręce do kieszeni długiego prochowca. Był potężnym, prawie dwumetrowym mężczyzną ze zniszczoną przez ospę twarzą. Płaski, mięsisty nos, blizny w okolicach brwi i ust zdradzały byłego boksera. Ten pięćdziesięcioletni mężczyzna od ponad trzydziestu lat działał w światku przestępczym Nowego Jorku. Rodzina Gambino zaakceptowała go, ponieważ – po pierwsze był z pochodzenia Włochem, a po drugie był nieprawdopodobnie sprytny i wierny. Patrząc na Parottiego miało się wrażenie, że głupota za chwilę rozsadzi jego bokerską głowę. Dopiero kiedy

zaczynał działać, widać było nieprzeciętną inteligencję.

Tylko dzięki niemu klan Gambino wzmocnił swój autorytet i rozszerzył działalność, wychodząc z biznesu gastronomicznego.

Parotti był perfekcjonistą. Nigdy nie żałował pieniędzy na inwestowanie w siebie. Szybko skończył z boksem i prywatnie poświęcił się studiowaniu zagadnień gospodarczych, socjologicznych i politycznych świata. W ten sposób młody gangster, syn właściciela niewielkiej restauracji w okolicach Harlemu, szybko poznał prawdziwe mechanizmy rządzące funkcjonowaniem społeczeństw i państw.

Mimo że nigdy nie był w wojsku z powodu rzekomo odbitych nerek, potrafił strzelać jak zawodowi snajperzy. Zaledwie mała grupa ludzi wiedziała, że to on właśnie zakończył porachunki między największymi nowojorskimi rodzinami – klanem Genovese, Colombo, Bonanno, Lucchese i Gambino. Jeszcze zanim wspólnicy zastrzelili Paula Castellano, szefa szefów nowojorskich i chicagowskich rodzin mafijnych, Luciano Parotti wymuszał na największych instytucjach Stanów Zjednoczonych olbrzymie haracze, a kiedy napotykał na opór, bezlitośnie mordował. Zaraz po tym jak został capo jednego z zespołów rodziny Gambino, dobrał sobie ludzi, których poddał intensywnemu treningowi. Fakt, że blisko połowa z nich nie wytrzymała i została zlikwidowana, nic dla niego nie znaczył. W końcu po trzech latach dziesiątka Parottiego była najlepiej wyćwiczonymi maszynkami do zabijania w całych Stanach Zjednoczonych. Wielogodzinne treningi na strzelnicy z różnego rodzaju bronią, poznawanie do granic wytrzymałości organizmu technik walki wręcz, a także konsekwentne rozbudzanie chorobliwej podejrzliwości – to wszystko przyniosło wymierne korzyści.

Ludzie Parottiego działali szybko i czysto. Pozostawiali po sobie trupy i żadnych śladów. Zamiast krwawych jatek w stylu lat

trzydziestych na oczach przechodniów, ludzie ci strzelali z ukrycia. Rachunek był prosty: pięciu snajperów mogło zabić pięcioma strzałami pięciu niewygodnych ludzi.

Dlatego właśnie stary Gambino i pozostałe rodziny mafijne zgodziły się, aby on, nie kto inny, rozwiązał najtrudniejszy problem, z jakim dotychczas zetknął się amerykański świat przestępczy. Otrzymał na to rok, ani dnia więcej. Początkowo wydawało mu się, że to dużo czasu, po sześciu miesiącach całkowicie zmienił zdanie. Czterech jego najlepszych ludzi zginęło bez wieści i capo capini zrozumiał, że ma do czynienia z wyjątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem. Nabrał pewności, że amerykańska mafia będzie musiała skorzystać z pomocy kogoś z zewnątrz. Korzystając z różnych źródeł informacji dotarł do trzech najdroższych i najlepszych na świecie płatnych morderców. Jeden z nich zajął się sprawą i w umówionym terminie nie odezwał się. Drugi, po kilku dniach namysłu, nie przyjął oferty, a trzeci, również po namyśle, powiedział Parottiemu, że jest na świecie tylko jeden człowiek, który może mu pomóc. Za sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów podał jego adres i nazwisko. Był to Charles Calthrop.

Parotti odwrócił się i wolnym krokiem ruszył w kierunku helikoptera. Jego dwaj ludzie, Silvestrini i Adamo, ubrani podobnie jak szef, stali w pobliżu i nieufnie obserwowali otoczenie. W końcu Parotti skinął głową, wypluł cygaro i wszedł do helikoptera. Wiedział, że musi bardzo się śpieszyć i mieć dużo szczęścia, aby odnaleźć Calthropa.

2.

Sergio Lamartaine stał na pierwszym piętrze luksusowej willi przy Avenue des Champs Élysées zde gustowany żuł w zębach słomkę od koktajlu. Przez otwarte okno wyraźnie słyszał brzęk kieliszków i sztywne, powierzchowne rozmowy. Nie lubił takiej atmosfery, źle się czuł na snobistycznych przyjęciach, jakie co pewien czas urządzał szef, Francois Sabatini. Goszczenie polityków, bankierów, artystów, policjantów i wojskowych było w ich pracy koniecznością. Nie mogli sobie pozwolić na brak wpływowych przyjaciół i znajomych. Lamartaine dobrze to rozumiał i starał się w takich sytuacjach nikogo nie obrazić. Irytację i znudzenie ukrywał skrętnie pod maską służbowego, uprzejmego uśmiechu. Jego powołaniem było robienie wielkich interesów i pieniędzy, a najlepiej czuł się wśród oszustów i bezlitosnych morderców. To był świat, który naprawdę rozumiał i na swój sposób kochał.

Zanim skończył dziesięć lat zdążył przemierzyć Francję jako wychowanek różnych sierocińców. Później, kiedy wygrał krajowy konkurs matematyczny, pojawił się przy nim nagle pan Sabatini. Od tej chwili uczył się w najlepszych szkołach i nigdy nie brakowało mu pieniędzy. Po ukończeniu Wyższej Szkoły Handlowej (Haute Etude Commerciale) wprowadzono go do interesu. Jako sekretarz Francoisa Sabatiniego od ponad dziesięciu lat umacniał swoją pozycję

w świecie przestępczym Paryża. To dzięki niemu przemysł i dystrybucja narkotyków na wielką skalę dawały zyski. On także uruchomił szybki i pewny system czyszczenia brudnych pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami. Sabatini ufał mu i uczynił swoją prawą ręką. Nawet jego synowie, Daniel i Jean, musieli liczyć się z jego zdaniem.

Wzrok Lamartine'a odnalazł przygarbioną sylwetkę szefa w pobliżu basenu w kształcie ryby. Sabatini popijał małymi łykami różowe Grand-Roussillon i przenikliwie patrzył na tłumaczącego mu coś adwokata z paryskiego biura brytyjskiej firmy Slaughter and May. Na tarasie, gdzie stały stoliki z jedzeniem i napojami, panie i panowie podzielili się na małe grupki i w miarę ubywania wina zaczęli żywiej rozmawiać.

Osobista ochrona Sabatiniego oraz kilku gości także nie czuła się poszkodowana. Korzystali z jedzenia i picia ani na moment nie spuszczać z oczu swoich szefów. Lamartine skinął na dowódcę ochrony Sabatiniego, Gojko Petrovica. Był to niski, krępy mężczyzna, którego rodzice przyjechali do Francji jeszcze przed wybuchem wojny. Jugosłowianin uśmiechnął się uspokajająco. Obok niego, w towarzystwie przystojnego aktora, Luisa Flecheuxa, potrząsała swoimi puszystymi, czarnymi włosami Monika Sabatini, młoda żona właściciela domu. Była piękna, zbyt piękna, aby Lamartine uwierzył, że wyszła za starego z miłości. Lubiła się podobać i wtrącać do interesów męża, co sekretarz odważył się już kilka razy skrytykować. Sabatini uspokoił ją, ale nigdy nie zrobił tego definitywnie. Nawet nie zauważył, że w ten sposób z każdym dniem stawał się coraz bardziej uzależniony od żony. Nikt z jego przyjaciół i rodziny nie potrafił wyjaśnić, dlaczego z twardego mężczyzny stał się w ciągu jednego roku ślepo zakochanym staruszkiem.

Lamartine spojrział na zegarek. Zbliżała się dwudziesta, pora dejeuner d'affaires. Telefon, na który czekał zadzwonił punktualnie.

– Słucham, Lamartine – powiedział wolno i wyraźnie.

Przez następne dwie minuty uważnie słuchał. Kiedy odłożył słuchawkę, jego chuda twarz przypominała nadepniętą gąbkę. Zszedł ze schodów, uśmiechnął się do gości na tarasie i zbliżył się do szefa.

– Pilny telefon do pana – powiedział, omijając spojrzeniem adwokata.

Sabatini przeprosił gestem swojego rozmówcę i ruszył w stronę domu. Goście również skierowali się do jadalni, gdzie na stole postawiono już wazy z zupą.

W dużym, urządzonym w stylu Ludwika XVI gabinecie, czekał już Petrovic. Sabatini usiadł ciężko za biurkiem i pytająco spojrział na Lamartine'a.

– Są komplikacje, szefie – zaczął ostrożnie sekretarz. – Gość, którego mieliśmy sprzątnąć, żyje. Miałem telefon od tego idioty Leragera. Wszystko zepsuł. Teraz możemy być pewni, że Calthrop zapoluje na pana.

– Od kiedy to wiesz? – zapytał Sabatini.

– Od wczoraj – odpowiedział cicho Lamartine. – Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nasi ludzie obserwują lotnisko i wszystkich, którzy przylatują z Kanady. Na razie nic...

– Monika wie? – głos starego zabrzmiał nerwowo.

– Nie, nie wie. Można jej powiedzieć – zaproponował zgryźliwie sekretarz.

– Milcz! – syknął Sabatini. – Nawet jeżeli dla niej wplątaliśmy się w tę historię, nie żałuję. Została urażona i chce się zemścić. A ja jej w tym pomogę.

– Chcę panu przypomnieć, że mamy do czynienia z kimś

wyjatkowym. To płatny morderca o świetnej reputacji – wtrącił sucho Lamartine. – Żaden z naszych ludzi nie może się z nim mierzyć. W dodatku teraz nie pracuje za pieniądze lecz dla siebie.

– Bywałem już w trudniejszych sytuacjach – zaśmiał się ironicznie stary. – Nie przejmuj się, drogi chłopcze, damy sobie z nim radę. Co o tym myślisz, Petrovic?

Goryl skrzywił się, podrapał po kwadratowej szczęce i powiedział:

– Nie jest dobrze, szefie. Z takimi nigdy nic nie wiadomo. Mają za dużo pomysłów, jak z człowieka wypruć flaki. Trzeba by pana gdzieś ukryć. Przynajmniej na miesiąc...

– Zrobimy inaczej – Sabatini wyjął papierosa i zapalił. – Poprosimy o pomoc policję.

Nigdy jeszcze oczy Petrovica i Lamartine'a nie miały tak głupiego wyrazu. Słowo „policja” brzmiało w ustach Sabatiniego jak podwodny wybuch jądrowy. Nie odezwali się. Byli ciekawi co ich szef wymyślił.

– Porozmawiam z Paulem – wyjaśnił Sabatini. – Powiem mu o informacji, jaką otrzymałem i w ten sposób się wzmocnimy. W niczym nam to nie przeszkodzi. Interesy i tak prowadzi Sergio. Mnie mogą sobie obserwować – śmiech Sabatiniego był wyjątkowo jadowity.

Lamartine zgodził się w myślach, że było to niezłe rozwiązanie. Komisarz Paul Sakson z wydziału kryminalnego niejedną raz odwiedzał ich w sprawach służbowych. Nic nie wywąchał, ale nie zrezygnował. Uparł się, że jeszcze przed emeryturą wsadzi Sabatiniego za kratki.

– Można spróbować – powiedział w końcu Lamartine.

– To niebezpieczna zabawa, ale warto przynajmniej mieć nadzieję. Myślę jednak, że to za mało na tego faceta. Z tego co udało

mi się dowiedzieć wynika, że długo żyje i sporo ludzi pożegnało się przez niego ze światem. Wielu z nich miało obstawę lepszą od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Mam pewien pomysł. Bardzo drogi, szefie.

- No? – mruknął zachęcająco Sabatini.
- Jego może usunąć ktoś taki jak on, specjalista od zabijania – wycedził przez zęby Lamartine. – Musimy wynająć równie dobrego i dobrze mu zapłacić.

Sabatini nie odpowiedział od razu. Zaciągnął się mocno dymem i myślał. Tylko on wiedział, ile wysiłku kosztowało go ukrycie przed własnymi ludźmi niepokoju. Zbyt długo żył i zbyt wiele widział, aby lekceważyć niebezpieczeństwo. Sam wynajmował kilkakrotnie płatnych zabójców i wiedział, że rzadko im się nie udaje zrealizować kontraktu. Teraz wiedział także, że źle zrobił ulegając namowom swojej młodej żony. Zgodził się, ponieważ rozumiał, co znaczy urażenie czyjejś ambicji. A jego Monika, wówczas żona kogoś innego, tak właśnie została potraktowana.

Stary paryski mafioso wierzył w Lamartine'a, w jego wierność i finansowy instynkt. Przestał wątpić, że zlecenie tej sprawy specjalście jest konieczne. Przez moment myślał o wykupieniu się u Calthropa, ale zrezygnował. Mogło to być bardzo naiwne posunięcie. Tamtemu nie chodziło teraz o pieniądze, chciał dać Sabatiniemu nauczki.

- Dobrze – powiedział, patrząc w okno. – Wynajmuj kogoś. Najlepszego. Daj mu ile zechce.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do gabinetu weszła Monika Sabatini.

- Czyżbyś zapomniał o gościach, kochanie? – zapytała z wyrzutem, biorąc męża pod ramię. – Wszyscy na ciebie czekają.

– Zajmij się tym, Sergio – odezwał się Sabatini, a jego głos brzmiał nienaturalnie łagodnie. Zawsze tak mówił w obecności żony.
– Porozmawiaj również z komisarzem...

Zaraz po nich wyszedł Petrovic. Sekretarz został sam i po raz pierwszy tego dnia poczuł się lepiej. Znudzenie gdzieś zniknęło. Postanowił, że uratuje Sabatiniego nawet gdyby miał za to zapłacić wszystkie pieniądze z ich tajnego konta w banku szwajcarskim, Union des Banques Suisses.

Biuro Sergio Lamartine'a w „Casino de Paris” przy rue de Clichy urządzone było tradycyjnie i praktycznie. W gabinecie sekretarza znajdowało się duże, mahoniowe biurko, trzy telefony, półki z czasopismami, katalogami, zdjęcia modelek, kilkanaście grubych ryz papieru kserograficznego, komputer i płaski monitor, pokazujący w zależności od dyspozycji wszystkie pomieszczenia w kasynie.

29 sierpnia Lamartine zjawił się w biurze wyjątkowo wcześniej. Od godziny szóstej do dziesiątej wykonał kilkanaście telefonów, z których dwa były szczególnie ważne. Przede wszystkim umówił się na spotkanie z komisarzem Saksonem i skontaktował ze znajomym handlarzem bronią, Morrisem Lavelem, znającym większość płatnych zabójców w Europie. O godzinie jedenastej, ziewając raz za razem, wsiadł do swojego peugeota 504 i kazał się zawieźć swojemu kierowcy na rue de Vaugirard. Tuż obok w Ogrodzie Luksemburskim umówił się z komisarzem. Policjant nie wydawał się tym zdziwiony, zgodził się natychmiast.

Kiedy Lamartine wszedł do ogrodu, Sakson już tam był. Siedział na czwartej ławce po prawej stronie zaraz za bramą. Z daleka przypominał zabę w wielkich butach. Miał szeroką pupę, wąskie ramiona i olbrzymią, łysą głowę. Jego twarz była sina i nabrzmiała, a zza

okrągłych, drucianych okularów błyskały małe, wścibskie oczka.

– Dzień dobry, komisarzy – powiedział Lamartine i usiadł obok. – Dziękuję, że pan przyszedł. Mamy kłopoty i chcemy pana prosić o opiekę. Zupełnie oficjalnie, oczywiście.

Komisarz zrobił zafrasowaną minę, a kąciki jego ust nieznacznie uniosły się ku górze.

– Od kiedy zaczęliście ufać policji? – wycedził ironicznie. – Czyżby interesy źle szły? Nie stać was już na samodzielność? Biedactwa.

– Otrzymaliśmy informację, że do Paryża przyjedzie płatny morderca, który chce zabić pana Sabatiniego – wyjaśnił spokojnie sekretarz. Nigdy nie dawał się wyprowadzić z równowagi policjantom. Była to jego żelazna zasada, jak mówił, najważniejszy „wentyl bezpieczeństwa”.

Komisarz zdjął okulary i przetarł chusteczką szkła.

– Jak widzisz cholernie mnie to poruszyło – szydził. – Zrobimy co w naszej mocy, żeby tak cennego człowieka jak pan Sabatini uratować. Co za czasy.

– Ten człowiek jest najgroźniejszym zamachowcem na świecie – kontynuował Lamartine. – Za każdego, kogo posłał pod ziemię, ma co najmniej pół setki wyroków śmierci. Tylko jak dotąd policja niewiele o nim wie.

– Wzruszające – mruknął komisarz – Jego nazwisko?

– Charles Calthrop – przeliterował bardzo dokładnie sekretarz. – Ostatnio mieszkał w Kanadzie. Ostrzeżono nas, że zjawi się w Paryżu...

– Zajmę się tym – powiedział poważnie komisarz.

– Jeżeli mówisz prawdę, Lamartine. Chętnie zdejmę faceta, który tak źle się prowadzi. No i oczywiście uratuję życie pana Sabatiniego – dokończył z przekąsem.

Kiedy sekretarz się oddalił, policjant wyłączył kieszonkowy magnetofon. Po tej rozmowie nie obiecywał sobie wiele. Lamartine nic nie powiedział. Ani jednego słowa, które by go obciążało. W dodatku jego prośba o pomoc brzmiała jak wyzwanie. Bezczelna świnia, pomyślał komisarz. Tyle już razy zastawiał pułapki na starego Sabatiniego i za każdym razem ponosił klęskę. Dlaczego właśnie w tej chwili czuł się tak, jakby mu zaproponowano odegranie roli wycieraczki w filmie reklamowym. Tylko tak mógł sobie wytłumaczyć prośbę o opiekę nad facetem, który z handlu narkotykami wyciągał kilka miliardów rocznie i miał najlepszą obstawę w Paryżu. W dodatku Sakson był pewien, że stary mafioso wykończył więcej ludzi w ciągu roku niż Calthrop w ciągu całego życia. Różnica polegała tylko na tym, że Sabatini nie zrobił tego osobiście.

Komisarz, który szczerze Sabatiniego nienawidził, postanowił wykorzystać sposobność i raz jeszcze spróbować przyłapać gangstera. Rozumiał, że teraz powinno mu być o wiele łatwiej. Oficjalnie poproszono go o pomoc, a on nie mógł odmówić.

Zainteresował go także człowiek, o którym sekretarz powiedział, że zabija najlepiej na świecie. W swojej długoletniej karierze policjanta, komisarz nigdy jeszcze nie spotkał płatnego zabójcy. Przeważnie byli to zwyczajni bandyci lub mordercy z przypadku. Sakson, jako że nie należał do ludzi chorobliwie ambitnych, postanowił porozumieć się w tej sprawie z Interpolem. Miał tam zresztą kilku kolegów, którzy nie powinni odmówić mu pomocy. Wierzył, że jeżeli historia o tajemniczym Charlesie Calthropie jest prawdziwa, w archiwach Interpolu znajdą się także informacje dla niego.

Kiedy samolot z Montrealu wylądował na paryskim lotnisku w Orly, dochodziła czwarta rano. Poprzez szaro-granatowe chmury

widać było wschodzące słońce. Zapowiadał się ładny dzień.

Podczas lotu Calthrop spał. Teraz czuł się wypoczęty i marzył tylko o wzięciu prysznic. Samolot zatrzymał się obok budynków dworca. Wzrok Calthropa powędrował do przodu, gdzie zauważył wcześniej starszą panią z dwojgiem dzieci. Dziewczynka i chłopiec nie mieli więcej niż cztery lata. Kiedy pasażerowie zaczęli wychodzić z samolotu, dzieci jeszcze się nie obudziły. Babcia potrząsała nimi energicznie, ale nie dawało to rezultatu. Odpychały ją i zaczęły płakać. Calthrop podszedł do kobiety i z uśmiechem człowieka, który zjadł zęby na bawieniu dzieci powiedział:

– Niech śpią. Pomogę pani.

Kobieta nie ukrywając zakłopotania i bezradności, zgodziła się prawie natychmiast. Drogę z dworca do taksówki oboje przeszli z dziećmi na rękę. Wszyscy czworo usiedli na tylnym siedzeniu samochodu, a starsza pani poleciła kierowcy, aby zawiózł ich na rue Emeriau.

Calthrop dopiero wtedy poczuł się bezpieczny. Na dworcu, mimo że grał kochającego dziadka, stale miał się na baczności. Nie wątpił, że ludzie Sabatiniego dokładnie obserwowali pasażerów przylatujących z Kanady. Sam bez trudu rozpoznał czterech goryli. Stali przy wyjściu i każdemu z osobna ponuro się przyglądali. Calthrop, kiedy ich mijał, przycisnął usta do główki dziecka, a jego oczy przybrały wyraz strasznego zmęczenia. Zlekceważyli go i żaden nawet się za nim nie obejrzał. Sprawdzili za to dwóch mężczyzn wyglądających na silnych i wysportowanych. Zrobili to błyskawicznie. Zaraz po wyjściu z czteropiętrowego, oszklonego budynku, przyłożono im lufy pistoletów do krzyża i spokojnie wylegitymowano. Po chwili

zostali przeproszeni i zostawieni w spokoju.

Po odwiezieniu babci z wnuczkami na rue Emeriau, Calthrop kazał kierowcy jechać do hotelu „Crillon” na rue Saint Honoré. Wynajął pokój, wziął prysznic, ogolił brodę i zszedł do restauracji na śniadanie. Tym razem wąsów nie przykleił. Postanowił zapuścić własne.

Dwie godziny później Calthrop znalazł się w pobliżu solidnego budynku przy Bulwarze Woltera. Wynajęty samochód, małego renault 5, zaparkował na chodniku, wysiadł i spojrzał w górę. Z pewnym rozbawieniem odnotował w pamięci fakt, że doniczka stała po prawej stronie okna. Był to stary, wypróbowany znak ostrzegawczy dla współpracowników i przyjaciół Paula Raufera.

Człowieka tego Calthrop poznał w Argentynie. Był rok 1963 i rząd tego kraju wydał rozkaz ścigania wszystkich zbrodniarzy wojennych. Raufer współpracował wówczas z nadinspektorem. Juanem Velasco z Inteligencia Central Coordinación Federal i kompletował akta ukrywających się nazistów. Ten niewielki, chudy mężczyzna odznaczał się wyjątkowym uporem i talentem detektywistycznym. Wielu esesmanów właśnie jemu zawdzięczało swoją śmierć lub wyrok sądowy. Wyciągał z kierowanych przez zbiegłego Bormanna – Complejo Siderurgico Prapulsora S.A., Fiat-Sideco, Complejo Metalúrgico i Dalmina najzacieplejszych katów wojny, nie rezygnując mimo wielokrotnych zamachów na jego życie.

Później Raufer wyjechał do Hiszpanii, gdzie współpracował z GAL, Antyterrorystycznymi Grupami Wyzwolenia. Przenikał półświatki baskijskich terrorystów i z regularnością zegarka wystawiał ich hiszpańskim policjantom. W ciągu trzech lat zabito w ten sposób prawie trzydziestu militarnych z ETA. Wszyscy zginęli na terenie Francji. Bez pościgów, adwokatów, sędziów, rozpraw i więzienia,

bez zbędnych kosztów, za jedyne 50-300 tysięcy franków od głowy, mszczono swoich zamordowanych kolegów i bliskich. Od przeszło roku, po wpadce podkomisarza Fouce, Raufer mieszkał w Paryżu i prowadził kwaciarnię na Gare du Nord. Oficjalnie był spokojnym, zwykłym obywatelem, w rzeczywistości nadal od czasu do czasu pomagał tajnym służbom francuskiej policji. W kraju Basków, gdzie Francja, Hiszpania i baskijski rząd autonomiczny wciąż prowadziły cichą wojnę, jego doświadczenie było bardzo potrzebne.

W pierwszej chwili Raufer nie poznał Calthropa. Obejrzał go przez wizjer i podejrzliwie zapytał:

– Kim pan jest?

– Paul, mój drogi, czy pamiętasz nasze spotkanie w „Polio Dorado”? Było mi za ciebie wstyd... – odpowiedział Calthrop ze śmiechem. Wiedział, że wspomnienie drogiego nocnego lokalu w Santiago, gdzie przez tydzień zabawiali się obaj z panienkami, nie mogło się zatrzeć w pamięci kolegi. Miłosne szaleństwo skończyło się dla Raufera w szpitalu na reanimacji.

Drzwi wzmocnione stalową blachą grubości dwóch cali otworzyły się i po chwili Calthrop znalazł się w serdecznym uścisku całej rodziny Raufera. Znali go dobrze z opowieści i to wystarczyło, aby przyjąć go jak przyjaciela. Żona, gruba i utykająca na prawą nogę kobieta oraz dwudziestoletnia córka, Sophie, zaraz potem zniknęły w kuchni, a obaj mężczyźni zamknęli się w gabinecie.

Raufer nie należał do ludzi lubiących tracić czas. Wskazał Calthropowi fotel, zapalił papierosa i wyłączył telefon.

– Domyślam się, że nie są to zwyczajne odwiedziny, Charles – powiedział wyczekującym tonem.

– Potrzebuję pomocy – zaczął Calthrop. – Sprawa jest trudna, a ty masz rodzinę...

– Aż tak źle? – skrzywił się Raufer. – Jak mogę pomóc?

– Potrzebuję dokładnych informacji o Francoisie Sabatinim – powiedział Calthrop uważnie obserwując twarz przyjaciela. – Cena obojętna. Zapłacę ile zechcesz. Zależy mi na czasie i dyskrecji.

– Czemu go po prostu nie zastrzelisz? – słowa Raufera zabrzmiały prawie retorycznie.

– On o mnie wie – wyjaśnił Calthrop. – Przypuszczam, że poluje na mnie od kilkunastu godzin. Obawiam się, że może się gdzieś ukryć. Na pewno ma takie miejsca. Dlatego muszę go załatwić teraz i nie mogę popełnić błędu. Chcę wiedzieć wszystko o nim, jego rodzinie i przyjaciółach. Z kim się spotyka, co je, gdzie odpoczywa, kto go zastępuje w pracy...

– Dobrze – zgodził się Raufer. – To będzie kosztowało dziesięć tysięcy dolarów. To numer automatu pod moim domem – dodał i podał Calthropowi kartkę. – Codziennie o siódmej wieczorem będę tam czekał przez dziesięć minut na telefon od ciebie.

– W razie potrzeby szukaj mnie w hotelu „Crillon” – powiedział Calthrop i wstał.

Rozstali się w milczeniu. Zawarli umowę i od tego momentu łączył ich przede wszystkim interes. Obaj zdawali sobie sprawę, że tylko precyzja i szybkość działania decydują o ich sukcesie. Sabatini miał w kieszeni prawie jedną dziesiątą miasta i nie można było o tym zapominać. Jeżeli coś zwęszy, zaatakuje bezlitośnie i okrutnie. Calthrop nie wątpił, że Raufer zdecydował się działać wyłącznie przez ich starą znajomość. Być może w ten sposób chciał się odwdziżyć Calthropowi za uratowanie życia. Nie powiedział tego, ale płatny

zabójca wyczytał to z jego spojrzenia, ze sposobu w jaki patrzył na córkę i żonę. Honorarium, jakiego zażądał było śmiesznie niskie w porównaniu z ryzykiem. Było ceną, za którą w sam raz można kupić młodego detektywa.

Od spotkania Calthropa z Rauferem upłynęły zaledwie cztery godziny. Wzdłuż Quai de la Gare sunął sznur samochodów, z których wyglądały zmęczone upałem twarze. Kierowcy jechali wolniej niż zwykle, od czasu do czasu tylko leniwie naciskając klaksony. Po Sekwanie przesuwały się majestatycznie statki wypełnione turystami, którzy popijając zimne soki apatycznie przyglądali się wyścigom motorówek. Bliżej brzegu uparcie wiosłowali kajakarze.

Był to jeden z tych, letnich dni, o których marzy większość turystów. Dziesiątki twarzy i oczu skierowane były w stronę rzeki, skąd co pewien czas docierał chłodniejszy podmuch wiatru.

Nikt nie zwracał uwagi na młodego mężczyznę, który ze skupieniem fotografował swoją przyjaciółkę. Na balustradzie tuż obok schodów prowadzących na brzeg rzeki stał najnowszy model Cannona z olbrzymim teleobiektywem. Mężczyzna wykonał pośpiesznie całą serię zdjęć ani razu nie odzywając się do dziewczyny. Nie ona zresztą była dla niego najważniejsza. Na niektórych zdjęciach nawet jej nie było. Za to dwaj mężczyźni stojący prawie czterysta metrów dalej, byli doskonale widoczni. Jednym z nich był Lamartine, sekretarz Francois Sabatiniego, drugim Morris Lavel, handlarz bronią i pośrednik kilkunastu płatnych morderców politycznych. Lamartine schował głowę za najnowszym numerem „La Martin” i udawał, że czyta, Lavel stał przodem do Sekwany i palił papierosa, nie wyjmując go z ust.

Kilka metrów dalej, pocąc się w marynarkach, pod którymi zaznaczały się kolby rewolwerów, spacerowali dwaj ludzie z ich obstawy. Człowiek Lavela obserwował chodnik i rzekę, goryl Lamartine'a nie spuszczał oczu z jadących samochodów.

– Nie powiedziałem, że to niemożliwe – odezwał się po chwiliowym namyśle Lavel. – Pośrednicząc w tym zamówieniu ja także się wystawiam. Calthrop jest już prawie legendą w tym świecie. Znam go zresztą pod wieloma nazwiskami i do dziś nie wiem, które jest prawdziwe. Poza tym nigdy tego człowieka nie widziałem. Jedno wiem na pewno, to najsprytniejszy zawodowy morderca, o jakim słyszałem. Myślę jednak, że znam faceta, który mógłby się zgodzić na tę robotę.

– Ile? – zapytał Lamartine, czując się już trochę zmęczony przedłużającą się rozmową.

– Skontaktuję się z nim wieczorem – kontynuował pośrednik. – Jutro może się u pana zjawić osobiście. Przypuszczam, że zapłacicie mu tyle, ile zażąda.

– W granicach rozsądku, oczywiście – wycedził sekretarz.

– W granicach rozsądku byłoby unikać Calthropa jak zarazy – sprostował spokojnie handlarz bronią. – Teraz możecie go tylko przekupić, wykupić się lub znaleźć kogoś, kto zechce przyjąć tę robotę. Pół miliona dolarów, panie Lamartine – suma podana przez Lavela zabrzmiała w uszach sekretarza jak skrzywienie styropianu na szybie.

– To żart? – zdziwił się, podejrzliwie patrząc na Lavela.

– Nie – przecząco pokręcił głową handlarz. – Nie wiecie jak wygląda Calthrop i gdzie w tej chwili jest. Musicie się śpieszyć, jeżeli Sabatini ma zamiar dłużej żyć. Poza tym chodzi wam o kogoś wyjątkowego, dlatego zapłacicie.

Lamartine odwrócił głowę i zmierzył Lavela zimnym spojrzeniem. Cholernie nie lubił szastać pieniędzmi. W interesach miał zwyczaj targować się całymi godzinami, aż wynegocjował odpowiadającą mu sumę. Tym razem jednak musiał zrezygnować z oszczędności. Lavel był zbyt szczwanym lisem, aby go można było zbyć byle czym. Na handlu bronią robił olbrzymie interesy i dawno już przyzwyczaił się do dużych pieniędzy. Był jednym z nielicznych handlarzy bronią, którzy jawnie uprawiali swój zawód. Z jego usług korzystały rządy Arabii Saudyjskiej, Nikaragui, Zairu, Czadu, Libanu i wielu innych mniejszych państw. Wtajemniczeni twierdzili nawet, że ponad połowa małych firm handlowych rozsianych w różnych zakątkach świata należała właśnie do Lavela. Można było zamówić u niego wszystko – od amerykańskiego czołgu M1 Abrams do niemieckich działek pokładowych firmy Oerlikon-Buhrle, montowanych na bagdadzkich śmigłowcach BO-105. Lamartine przypuszczał, że gdyby zamówił u niego bombę atomową, Lavel nie odmówiłby. Co najwyżej zażądałby za to astronomicznej zapłaty. Pod przyprószonymi siwizną włosami, bystrym spojrzeniem i ruchami niedźwiedzia, kryła się wielka znajomość ludzi i mechanizmów politycznych, rządzących światem.

– Dobrze – zgodził się w końcu Lamartine.

– Cieszę się – błysnął zębami pośrednik. – Człowiek ten przedstawi się jako przyjaciel Morrisa i poprosi o pomoc. Gdzie ma się zjawić?

– Avenue des Champs Élysées – odpowiedział cicho Lamartine.

Mężczyźni rozstali się bez pożegnania. Każdy ruszył w swoją stronę w towarzystwie ludzi z obstawy. Za sekretarzem posuwali się przytuleni do siebie dziewczyna i młody mężczyzna z aparatem

fotograficznym przewieszonym przez ramię. Podobnie wyglądających par było na ulicy więcej, dlatego goryl Lamartine'a nie wyczuł niebezpieczeństwa.

Policzki szefa francuskiego Interpolu, Alaina Sucheta, przypominały skorupę orzecha kokosowego zanurzonego przed tygodniem w krowim łajnie. Były mieszaniną głębokich bruzd i nieregularnych narośli w kolorze zgniłozielonym. Kiedy mężczyzna się pochylał, zdawało się, że skóra odkleja mu się od kości, co gwałtownie upodobiło jego twarz do nafaszerowanego jedzeniem wola czapli.

W dużym, ośmiopokojowym mieszkaniu przy rue Manin znajdowało się wiele osobliwości, które większość ludzi uznałaby za zbyteczne. Taką właśnie osobliwością było dla komisarza Saksona pomieszczenie, do którego został przed przeszło dwiema godzinami poproszony. W ponad trzydziestometrowym pokoju nie stało nic poza sprzętem do ćwiczeń kulturystycznych. Komisarz nigdy nie przypuszczał, że poważny człowiek za jakiego miał Sucheta, oddaje się tak młodzieńczym zajęciom. Podczas rozmowy szef francuskiego Interpolu ani na chwilę nie przestawał biegać, skakać, robić przysiadów i pompek, wymachiwać ciężarkami i podnosić seriami sztangę. Sakson z rękami w kieszeniach spodni krążył za nim i ciężko sapał. Miał dość tego pokoju, swojego poświęcenia, bo właśnie za poświęcenie uważał fakt swojego przyjscia do Sucheta, z trudem powstrzymywał się przed trzaśnięciem drzwiami i zakończeniem tego irytującego spotkania.

– Potrzebuję jak najszybciej informacji o tym człowieku – powtórzył głośniej niż zamierzał. – Informacji, panie Suchet. Ten gość

wcale nie jest dla mnie zabawny – dodał, widząc lekki uśmieszek Sucheta.

Ręcznik przeleciał obok głowy Saksona i uderzył w ścianę. Suchet spudłował, albo chciał spudłować. Wariat, pomyślał komisarz i odwrócił się w stronę drzwi.

– Jest pan bardzo nerwowy, komisarzu – odezwał się poważnie Suchet. – Dobrze, że pan do mnie z tym przyszedł. Postaramy się z panem współpracować. Sprawdzimy, co wiemy o Calthropie i natychmiast pana powiadomimy. Na razie zajmijcie się ochroną Sabatiniego.

– Zależy mi na czasie – westchnął Sakson. Wiedział już, że niewiele zdziałał. Nie pomogło wstawiennictwo Paixa jednego ze starszych agentów Interpolu. Suchet był zazdrosny i nie zamierzał dzielić z nikim łupu. Komisarz był wściekły, ale starannie ukrył to pod maską obojętności. Ostatecznie mógł poprosić o pomoc któregoś ze swoich zwierzchników, może nawet sprawa dotarłaby do ministerstwa, ale w ten sposób rozstałby się z szansą złapania Sabatiniego. Sakson wierzył, że dzięki Calthropowi uda mu się udowodnić paryskiemu bossowi przestępstwo.

– Będę czekał – powiedział spokojnie i wyszedł z pokoju.

Minutę później Alain Suchet znajdował się pod prysznicem. Zniknęła gdzieś niefrasobliwość, z jaką przedstawił się komisarzowi. Teraz był skupiony i poważny. Wykonał telefon do swojego biura przy rue Gay Lussac i zarządził błyskawiczną naradę. Pół godziny później, przekraczając dozwoloną szybkość pędził do biura. W takich chwilach zapominał o swojej brzydocie i wydawało mu się, że mógłby się przespać ze wszystkimi hollywoodzkimi symbolami seksu. Teraz im pokażesz, zasrańcom, powtarzał sobie w duchu i

dociskał gaz. Instynkt podpowiadał mu, że cała sprawa śmierdzi i warto się nią zainteresować. O współpracy z komisarzem Saksonem nie myślał poważnie, ważny był tylko sukces, który mógł odnieść francuski Interpol. Sukces i jego osobista kariera.

Calthrop wrócił do hotelu o godzinie osiemnastej trzydzieści. Był wypoczęty i zadowolony ze spędzonego czasu. Całe popołudnie oglądał obrazy wiszące w kilku najlepszych paryskich galeriach, po czym udał się do niewielkiej restauracji należącej do niejakiego Touveta. Człowiek ten od ponad trzydziestu lat proponował gościom francuskie przysmaki. Calthrop pojawiał się u niego zawsze, ilekroć przebywał w Paryżu. Jako wytrawny smakosz zamówił tam wędzonego łososia, trufle i żabie udka. Zestaw uzupełniły białe wytrawne wina, w tym jedno alzackie oraz czerwone Vouvray.

Recepcjonista w hotelu podał Calthropowi grubą, zaklejoną kopertę. Dodał, że zostawiono ją przed godziną. Calthrop dał mu pięć franków i wsiadł do windy. Dokładnie sprawdził czy koperta nie była otwierana. Jeżeli ktoś umieścił tam ładunek wybuchowy kierowany impulsem elektrycznym i wiedział, że koperta znajduje się w rękach adresata, detonacja mogła nastąpić w każdej chwili. Calthrop nie miał pojęcia co mogło być w środku. Pod palcami wyczuwał tylko papier. Odetchnął, kiedy znalazł się w pokoju i ze środka koperty wypadły zdjęcia. Było ich dziesięć, a na każdym znajdowali się dwaj mężczyźni: Lamartine i Lavel. Na dwóch widać było także ich obstawę. Zdjęcia były dobre, wywołano je zaledwie przed dwiema godzinami. Calthrop poznał to po lekkim zwilgotnieniu papieru. Ktoś bardzo się spieszył, aby je szybko dostarczyć.

Morris Lavel, uśmiechnął się lekko Calthrop, rozpoznając swojego dawnego pośrednika. Handlarz bronią zestarzał się, ale z pewnością była to ta sama twarz. Nie mylił się, na odwrocie zdjęcia widniał podpis i adres. Było także kilka dodatkowych informacji, gdzie ostatnio pracował, z kim utrzymuje kontakty i kto jest jego aktualną żoną. Drugiego z mężczyzn Calthrop widział po raz pierwszy. Z podpisu dowiedział się kim jest. Natychmiast domyślił się w jakim celu ci dwaj mogli się spotkać. Dotknął torby, w której nosił broń. Był pewny, że colt python kaliber 6 mm, którego wyjął ze skrytki na poczcie w okolicach dworca Saint Germain, bardzo mu się teraz przyda. W torbie znajdował się cały komplet narzędzi do zabijania: trzy noże, kilka plastikowych ładunków wybuchowych, kusza, składana rura do wydmuchiwania strzał i specjalnie przerabiany karabin venom HW77.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Dwie minuty później znajdował się w budce telefonicznej w pobliżu hotelu. Odnalazł kartkę z telefonem do Raufera. Wykręcił numer i czekał. Podświadczenie liczył sekundy i obserwował ulicę. Zza szyby w budce wszystko wyglądało bardziej kolorowo niż w rzeczywistości. Światła samochodów, lamp i okien falowały i zachęcały do spaceru po mieście. Budynek starego hotelu „Crillon” przypominał o tej porze zaczarowane zamki z filmów Walta Disneya. Upłynęła minuta, ale Raufer nie odezwał się.

Kiedy po raz jedenasty palec Calthropa dotknął tarczy telefonu, minął kwadrans po siódmej. W budce telefonicznej naprzeciwko domu Raufera nikt nie podnosił słuchawki.

Calthrop wyraźnie się zaniepokoił. Tym razem nie chodziło mu o własne bezpieczeństwo, martwił się o los kolegi i jego rodziny.

Wrócił do hotelu, skąd zabrał rewolwer i nóż, który przymocował sobie na szerokiej gumie do tydki.

Tego wieczoru w Paryżu został z pewnością pobity rekord szybkości w jeździe samochodem. Calthrop aż dwa razy zaledwie zdołał wymknąć się policji, a kilkakrotnie o włos uniknął wypadku. Przy Bulwarze Woltera zwolnił i zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od domu Raufera. Nic nie wzbudzało jego podejrzeń. Kilku przechodniów, jedna zakochana para na ławce i sporo jadących samochodów, to była w tej dzielnicy norma. W samochodach zaparkowanych na chodniku nikogo nie zauważył, a kwiatek w mieszkaniu kolegi stał na swoim zwykłym miejscu. Zapalił światło na klatce schodowej i szybko wbiegł po schodach. Chciał zadzwonić, ale klamka sama ustąpiła pod ciężarem dłoni. Drzwi otwarte.

Calthrop wyjął spod pachy rewolwer i ostrożnie wszedł do środka. W pokoju i w kuchni paliło się światło. Stąpał bardzo powoli, próbując przebić wzrokiem mrok w korytarzu. Najbardziej obawiał się pokoiów, w których panowały ciemności. Wiedział, że jest dokładnie odsłonięty. Gdyby ktoś chciał go w tej chwili wykończyć, zrobiłby to bez większych problemów. Wystarczyło stać w mroku i nacisnąć spust. Calthrop nie cofnął się jednak. Chciał być wobec Raufera w porządku, a poza tym musiał wiedzieć, co tu się stało. Zbyt wiele ich łączyło, aby tak po prostu odejść i nie sprawdzić podejrzanej ciszy w mieszkaniu. Nawet nie drgnął, kiedy jego oczy spotkały się ze wzrokiem żony Raufera. Jej spojrzenie było zimne i odpychające. Kobieta nie żyła. Leżała na podłodze z trzema ranami w piersi. Sprężynowiec, ocenił Calthrop i ruszył bokiem do pokoju. Tam również panował porządek, ani śladu rabunku czy przeszukiwania mieszkania. Raufer siedział związany na krześle, a wokół

jego szyi zaciśnięty był cienki drut. Calthrop nie miał wątpliwości, że ma do czynienia z trupem.

W mieszkaniu panowała absolutna cisza. Może dlatego skrzypnięcie drzwi zabrzmiało jak rozdierany materiał. Calthrop błyskawicznie kucnął za fotelem. Ktoś wszedł do środka. W korytarzu zapaliło się światło. Usłyszał kroki. Pobiegł do kuchni. Córka Raufera, Sophie, siedziała przy matce i próbowała ją podnieść.

– Nie żyje – odezwał się spokojnie Calthrop. – Przyszedłem tu przed pięcioma minutami. Drzwi były otwarte. Nie rozumiem jeszcze, w jaki sposób morderca się tu dostał. Może twój ojciec go znał?

Dziewczyna patrzyła na niego nieufnie, ale widać było, że potrafi zachować zimną krew. Nie histeryzowała ani nie wrzeszczała, co sprawiło Calthropowi wyraźną ulgę.

– Dlaczego ona? – wyszeptała, gładząc matkę po włosach.

– On też – powiedział bez zająknięcia Calthrop. – Zabito ich oboje. Gdybyś tutaj była, zabiliby również ciebie. To fachowa, bezlitosna robota...

Gdzieś w oddali rozległ się sygnał policyjnego wozu. Calthrop instynktownie spojrzął w okno. Stopniowo zaczynał doceniać przeciwnika. Domyślał się, że za wszystkim ukrywa się Sabatini. Nie mógł to być przypadek. Brakowało mu tylko ogniwa, które sprowadziło mordercę do Raufera. Sygnał policyjny coraz bardziej się zbliżał.

– Muszę coś sprawdzić – powiedział szybko i wbiegł do łazienki.

Nie pomylił się, w wannie leżał młody mężczyzna z podciętym gardłem.

– Sophie! – zawołał wyczekująco.

Dziewczynyna zjawiała się prawie natychmiast.

– Znasz go?

– Widziałam go dzisiaj u nas – powiedziała dziewczynyna, unikając spojrzeniem krwi. – Było z nim jeszcze czterech mężczyzn i dwie kobiety. Kilka godzin temu, po pańskiej wizycie...

– Sophie, musisz być teraz bardzo dzielna – Calthrop mówił bardzo spokojnie, ale jego mózg w szalonym tempie odliczał sekundy. – Zaraz tu będzie policja. Pamiętaj, nie wolno ci o mnie nic powiedzieć, po prostu mnie nie ma. Rozumiesz?

– Tak – odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Dopiero teraz zauważył, że była bardzo ładna. Wysoka z wydatnym biustem, z twarzą przypominającą nieco urodą włoską gwiazdę filmową, Monikę Vitti.

– Bądź mądra – powiedział. – Będą cię przesłuchiwać. Odezwę się po wszystkim. Twój ojciec był moim przyjacielem i znajdę morderców. Zaufaj mi.

Kiedy znajdował się kilkadziesiąt metrów od domu Rauera minął go wóz policyjny. Zahamował z piskiem opon. Wściekły sygnał umilkł. Czterech policjantów wbiegło do budynku.

Calthrop wsiadł do samochodu i baczniej niż do tej pory rozejrzał się. Jeżeli ludzie Sabatiniego obserwowali dom, z pewnością zauważyli także jego. Teraz wiedzieli, jak wygląda i znali numery jego samochodu. W Paryżu robiło się zbyt gorąco, sytuacja zmieniła się tak gwałtownie, że musiał podjąć decyzję. Mógł natychmiast wyjechać i po pewnym czasie wrócić, mógł też zaryzykować i spróbować działać dalej. Wiedział, że już teraz, kilkanaście minut temu podjął ryzyko. Nigdy dotychczas nie ryzykował tak bardzo. Jeżeli córka Rauera zdradzi go, mógł mieć duże kłopoty z opuszczeniem Francji. W podobnej sytuacji zawsze zabijał. Nie zostawiał za sobą śladów,

tam, gdzie nie musiał. Dlatego tak mało o nim wiadano, dlatego nie figurował w kartotekach policji, poza 1963 rokiem, kiedy to zatrzymano go w związku z zamachem na generała de Gaulle'a. Wtedy był jednak całkowicie czysty, prawie natychmiast go wypuszczono.

Patrzył w lusterko i zastanawiał się, który z samochodów, jadących z tyłu może być niebezpieczny. W którym siedzi facet ze spluwą i marzy o tym, aby go ukatrupić. W tysiącach świateł trudno było cokolwiek zauważyć. Żadne doświadczenie nie pomagało. Skręcił w jedną z bocznych uliczek i zatrzymał wóz. Odczekał pięć minut, ale nikt za nim nie pojechał, nikt w pobliżu się nie zatrzymał. Wsiadł i nie oglądając się wszedł do pobliskiej bramy. Tam stanął i ostrożnie wyjrzał na ulicę. Teraz ich dostrzegł. Peugeot 604 wyjechał zza rogu. W świetle latarni Calthrop doskonale widział siedzące w środku postacie. Było ich dwóch. Zaparkowali na chodniku, parę metrów za renaultem Calthropa. Jeden z nich wysiadł i pobiegł do bramy, w której schował się Calthrop. Był niski, krępy, z krzywymi jak piłkarz nogami. Przypominał byka, który biega po ulicy w poszukiwaniu celu. Prawą ręką pod kurtką jakby sprawdzał bicie własnego serca. To na pewno jeden z tych, którzy zamordowali Raufera i jego żonę, pomyślał Calthrop i schował się głębiej w cień. Niski mężczyzna stanął w bramie i nadśluchiwał. Jego dłoń wysunęła się lekko spod kurtki i mocniej zacisnęła na rękojeści pistoletu. Nosił miękkie zamshowe buty na gumie, które nie wydawały żadnego odgłosu. Kiedy zniknął z pola widzenia kumpla, Calthrop zagroził mu drogę wykonując prawą ręką szybki ruch. Nóż przeciął gardło głęboko i skutecznie. Mężczyzna nie zdążył wydać z siebie głosu, osunął się powoli na chodnik. Calthrop spokojnie wyjął mu z ręki broń jakby obawiał się, że upadnie i narobi hałasu. Trzy minuty później zwłoki znalazły się w śmietniku.

Kierowca siedzący w peugeocie zaczął się niecierpliwic. Chciał wysiąść, ale musiał się trzymać rozkazów. Jeżeli jego kolega, Pierre, przez pięć minut nie wróci, miał wracać. Nie wolno mu było opuścić samochodu. Wiercił się więc niespokojnie, stukał palcami w kierownicę i nerwowo cmokał ustami. Jeszcze dwadzieścia sekund i powinien odjechać. Sięgnął do kieszeni po papierosy, ale nie zdążył ich wyjąć. Drzwi po jego stronie otworzyły się gwałtownie i Calthrop przystawił mu do skroni pistolet Pierre'a.

– Przesiądź się, szybko – rozkazał, wyjmując mu spod marynarki pistolet. – Nóż... Połóż go z tyłu. Dobrze. Wy zabiliście Rauffera i jego żonę?

– Gadaj zdrów – warknął kierowca.

Lewy łokieć Calthropa wylądował ze straszliwą siłą na jego nosie.

– Jest na pewno złamany w kilku miejscach – powiedział cynicznie Calthrop. – Będziesz mówił?

Kierowca trzymał się rękami za twarz i próbował zatrzymać płynącą krew. Głowę odchylił do tyłu i syczał z bólu.

– Zabił Pierre – odpowiedział niewyraźnie. – Ja czekałem w samochodzie...

– Zrobiłeś mi zdjęcie? – Calthrop puknął go lufą w rękę.

– Tak, tak... – wyjęczał kierowca. – Aparat zabrał Pierre.

Calthrop wiedział, że to kłamstwo. Dobrze zdążył obszukać swoją poprzednią ofiarę. Nie odezwał się, podniósł z tylnego siedzenia nóż, wypuścił ostrze i zdecydowanym ruchem wbił je w ucho kierowcy.

– Jeżeli pociągnę, będziesz pochowany bez ucha – wyszeptał łagodnie. – Gdzie masz aparat?

– Zabierz go – Kierowca podał mu mały aparat fotograficzny firmy Kodak. – i wyjmij ten nóż...

– Kto was przysłał?

– Lamartine, sekretarz pana Sabatiniego...

– Skąd wiedział o Rauferze?

– Chłopcy złapali faceta, który próbował obserwować dom pana Sabatiniego – tym razem kierowca odpowiedział szybko i konkretnie. – Ten idiota patrzył przez lornetkę i błyskał szklami... – zaśmiał się złośliwie mężczyzna.

– Czy powiedział coś więcej? – naciskał Calthrop.

– Nie – odpowiedział kierowca. – Nie zdążył. Rzucił się na jednego z naszych ludzi i tamten wypruł mu flaki. To był jakiś szczeniak... Cholernie głupi.

– Nachyl się – Calthrop pokazał mu głowę podłogę samochodu. – Szybko.

Kierowca nieufnie schylił się do przodu nie spuszczać z oczu swojego prześladowcy.

– Niżej – ręka Calthropa docisnęła mu głowę prawie do podłogi. – Nie ruszaj się teraz.

– Nie zabijaj mnie – załamał się kierowca i zaczął płakać. – Mam rodzinę... Dzieci... Powiem ci wszystko. Pomogę wykończyć Sabatiniego... Nie zabijaj mnie...

Facet trząsł się jak galareta. Calthrop wiedział, że nic już z niego nie będzie. Uderzył go ręką pistoletu w kark i sprawdził puls. Wyczuwał pod palcami jak powoli słabł.

Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i wyjął kanister z benzyną. Pięciolitrową zawartość wylał na trupa kierowcy i siedzenia peugota. Rozejrzał się, sprawdził czy nikt się nie zbliża i rzucił do środka zapaloną zapalniczkę. Ogień buchnął natychmiast. W ciągu

kilkunastu sekund Calthrop znalazł się w swoim renault 5 i ostro ruszył z miejsca. W lusterku widział płonący jak pochodnia samochód goryli Sabatiniego. Po drodze zmiażdżył butem aparat fotograficzny i wyrzucił go na skrzyżowaniu do studzienki ściekowej

Podjeżdżając na parking hotelu „Crillon” myślał o córce Raufera. Zastanawiał się, czy opowiedziała o nim policji. Jeżeli to zrobiła, to już za chwilę mógł się natknąć na komitet powitalny z najbliższego posterunku.

Nagła narada o godzinie czwartej rano była dla trzech mężczyzn, siedzących w surowo urządzonej gabinecie Alaina Sucheta, jak taniec ze stukilowym odważnikiem na szyi. Stopniowo, bardzo powoli ożywiła ich mocna kawa i twarde, niewygodne krzesła. Szef francuskiego Interpolu ziewał szeroko, nie załaniając ust. Ciężko pracował przez całą noc i dopiero teraz jego organizm upomniał się o minimalną chociaż dawkę snu. Jeszcze poprzedniego dnia poprosił o pomoc Interpol z Kanady, Stanów Zjednoczonych i Anglii. Przez kilkanaście godzin dziesiątki ludzi siedziało przy komputerach, sprawdzając kolejne informacje i adresy. W każdym z czterech krajów sporządzono listy Charlesów Calthropów, jakich gdziekolwiek i kiedykolwiek udało się zatrzymać. Agenci Interpolu i policja poruszali się jak w gorączce. Telefonowali i jeździli po wszystkich miastach, miasteczkach i wsiach, dobijali się do setek drzwi i błyskawicznie weryfikowali komputerowe informacje.

W tej pierwszej, szaleńczej fazie poszukiwań nie znaleziono dosłownie nic. Lista Calthropów coraz bardziej się kurczyła, aby w końcu zmniejszyć się do zera. Nigdzie nie natrafiono na ślad, który pomógłby zidentyfikować płatnego mordercę. Suchet był zły i

rozczarowany. Tym bardziej że cała akcja została uruchomiona na jego prywatną prośbę. Coś takiego mogło się zdarzyć wyłącznie dzięki jego osobistym, dobrym kontaktom z kolegami z zagranicy. Wystarczył po prostu telefon i cała kosztowna machina Interpolu ruszyła naprzód.

– Nie znaleźliśmy nic – powiedział Suchet, patrząc z wysiłkiem na dwóch swoich agentów. – Na temat Calthropa wiemy tyle samo co przed rozpoczęciem poszukiwań. Dlatego właśnie was wezwałem. Rzucacie wszystkie swoje dotychczasowe zajęcia i bierzecie się za tę sprawę. Bez dyskusji – uciął gwałtownie, widząc, że jeden z agentów chce zaoponować. – Macie się zająć wyłącznie Charlesem Calthropem, tylko tym facetem...

– Mam nadzieję, że nasi koledzy z zagranicy nie zapomną o nas – odezwał się barczysty brunet z twarzą playboya.

– Jeżeli coś przyjdzie, natychmiast to dostaniecie – odpowiedział Suchet. – Powiedziałem im, że za tą sprawą może stać ktoś, kogo warto by zatrzymać. Instynkt mi mówi, że jesteśmy na tropie czegoś większego. Ten gość nie przyjechał tu tylko dlatego, że chce sprzątnąć Sabatiniego. Myślę, że jest to fachowiec o wiele za dobry na taką robotę. Sabatiniego mógłby zastrzelić zwyczajny terrorysta lub jakiś bezrobotny, były żołnierz Legii. Nie wiem, co jest grane, ale nie spocznię dopóki się nie dowiem.

– Czy Sabatini musi żyć? – zapytał nagle drugi z agentów, pulchny, niski blondyn w okularach.

– Antoine, zależy mi na czasie – odpowiedział Suchet, niedwuznacznie sugerując, że interesuje go tylko Calthrop. – W jaki sposób go znajdziecie, to wasza sprawa. Sabatinim zajmuje się policja, a konkretnie komisarz Sakson z wydziału kryminalnego.

Kiedy dwaj agenci opuścili gabinet Sucheta, zbliżała się siódma. Antoine Lebel, syn emerytowanego komisarza policji, otworzył drzwi swojego nowego citroena i skinął głową w stronę Georga Fuche, który kilkanaście metrów dalej otwierał swój wóz. Obaj rozumieli się bez słów. Współpracowali od kilku lat i przyzwyczajono się, że wszystkie sprawy prowadzili razem. Lubili swoją pracę. Brali na siebie najtrudniejsze zadania. Suchet, o którym mówiono w ministerstwie, że jest doskonałym fachowcem nie ukrywał, że wyjątkowo ich ceni.

Lebel był po trzydziestce, miał żonę i jedno dziecko, trzyletnią dziewczynkę, podobną do ojca jak dwie krople wody. Po służbie w wojskach powietrznodesantowych, policji i brygadzie antyterrorystycznej, trafił na własną prośbę do Interpolu. Wszędzie szła za nim opinia człowieka niezwykle błyskotliwego i przewidującego. W jego aktach jednak powtarzało się często jedno zdanie: „Ze względu na fizyczną słabość nie nadaje się do bezpośrednich działań”. To była prawda. Od początku nie wyróżniał się sprawnością fizyczną. Jeszcze w szkole w bójkach z kolegami przeważnie przegrywał, na gimnastyce śmiały się z niego nawet dziewczęta, a w wojsku dziwiono się, dlaczego jest taki uparty i koniecznie chce być komandosem. Żeby utrzymać się w oddziale, trenował trzy razy więcej od innych, oddał kilkakrotnie większą ilość skoków na spadochronie i spędził o wiele więcej godzin na ćwiczeniach z samoobrony. Stał się sprawny, ale nie na tyle, żeby wzbudzać zaufanie przełożonych i podwładnych. W brygadzie antyterrorystycznej zajmował się przede wszystkim opracowywaniem planów i odnajdywaniem przeciwnika. Kilka razy wziął udział w akcji i za każdym razem trafiał do szpitala. W końcu zdecydował się odejść do Interpolu, gdzie liczyła się także

inteligencja. Szybko awansował i sam minister kilkakrotnie korzystał z jego rad. Wśród pracowników francuskiego Interpolu utarła się opinia, że Lebel jest najbardziej upartym agentem w całej Francji. Niektórzy twierdzili nawet, że gdyby zechciał, mógłby zastąpić sondę do wżernikowania ludzkiego wnętrza.

Antoine Lebel był poza tym idealnym mężem, ojcem i synem. Nigdy nie zapominał o swoich najbliższych i ze wszystkich sił starał się odsuwać ich od swojej pracy. Na tematy zawodowe nie rozmawiał nawet ze swoim ojcem, emerytowanym, ale bardzo schorowanym, komisarzem policji. Stary Lebel wiele razy próbował naciągnąć syna na zwierzenia, ale od chwili gdy pod wpływem zdenerwowania miał drugi zawał, Antoine Lebel milczał jak grób. Grywali za to namiętnie w szachy. Obaj mieli bardzo ściśle, precyzyjne umysły, więc partie przeciągały się niekiedy do kilku godzin. Wówczas młody Lebel, widząc potajemne znaki matki, w ciągu dziesięciu minut w pięknym stylu przegrywał. Dziadek Lebel szedł uszczęśliwiony do wnuczki, a Antoine do kuchni, gdzie przygotowywał wspaniałe desery. W schludnym, dużym domu na przedmieściach Paryża w dzielnicy Montrouge, rodzina Lebelów prowadziła spokojny i niczym nie wyróżniający się tryb życia. Dziadkowie zajmowali się wnuczką, żona Antoine'a Lebela, Maria, kobieta cicha i niekonfliktowa, pracowała zwykle nad tłumaczeniami nowych włoskich powieści, a sam Antoine uchodził wśród sąsiadów za naukowca.

Był dokładnie kwadrans po dziesiątej, kiedy Lebel zjawił się w biurze wydziału kryminalnego komisarza Saksona. Nie pokazał legitymacji, lecz poprosił o telefoniczne połączenie z komisarzem. Sakson wyszedł ze swojego pokoju i zaintrygowany podszedł do strażnika. Ponury policjant pokazał mu palcem Lebela.

– Komisarz Sakson – przedstawił się szef wydziału kryminalnego. – O co chodzi?

Lebel odwrócił się i spokojnie wyciągnął ręce z kieszeni spodni. Nie chciał, aby napięcie policjanta przeszkodziło mu w osiągnięciu porozumienia. Domyślał się, że w tej chwili uważają go za stukniętego lub terrorystę.

– Jestem Lebel – powiedział cicho, nachylając się komisarzowi do ucha. – To moja legitymacja – pokazał dokument i błyskawicznie schował go z powrotem. – Chcę porozmawiać.

– W porządku – Sakson skinął głową strażnikowi i pokazał Lebelowi przejście.

W ogromnej, poprzdzielanej szklanymi ściankami sali, siedziało kilkadziesiąt osób i nie zwracało uwagi na otoczenie. Z niektórych pomieszczeń dobiegały głosy przesłuchiwanym, z innych stukot maszyny do pisania lub jednostajny szum teleksu. Przez ten podobny do targowego zgiełk przebijały się dźwięki telefonów i nawoływania policjantów biegnących do wyjścia.

– Prowadzę sprawę Charlesa Calthropa – zaczął ad razu Lebel. – W aktach Interpolu nic na jego temat nie ma. Sprawdziliśmy w kraju i za granicą. Przypuszczam, że sprawa zabierze nam trochę czasu i trzeba będzie działać standardowo. Suchet opowiedział mi o waszej rozmowie...

– Tak, byłem u niego – zgodził się komisarz, przełykając z satysfakcją ślinę. – Nie przyjął mnie najlepiej. Właściwie miałem wrażenie, że mu przeszkadzałem i wolałby pozostać przy podnoszeniu ciężarów.

– To pozory – wyjaśnił bardzo uprzejmie Lebel. – Mój szef ma niekiedy słabsze dni, jak wszyscy zresztą. Teraz jednak ja osobiście

prowadzę poszukiwania i chętnie będę z panem współpracował. Ze swojej strony mogę obiecać, że będę pana informował na bieżąco o naszych działaniach. Teraz robimy wszystko, aby znaleźć kogoś, kto znał Calthropa lub po prostu go widział. Mój współpracownik, Fuche, obstawia w tej chwili wszystkie ważniejsze hotele i sprawdza gości.

– Nie zazdrozczę – mruknął ze zrozumieniem Sakson. – Znałem ludzi, z którymi pracował pana ojciec. Cieszę się, że to właśnie pan prowadzi tę sprawę. Dogadamy się...

– Potrzebuję informacji, jeżeli natkniecie się na coś podejrzanego – powiedział Lebel. – A może już coś macie?

– Zgadza się – potwierdził komisarz. – Mamy coś takiego. Wczoraj ktoś wysadził w powietrze faceta razem z samochodem. Nie, nie ładunek, po prostu benzyna. Znaleźliśmy we wraku spalone zwłoki, pistolet, a kilkanaście metrów dalej, dziś rano, śmieciarze odkryli drugiego trupa. Poderżnięte gardło a w marynarce magnum. Sprawdzamy go. Niech pan zaczeka chwilę – Sakson wstał i wyszedł ze swojego pokoju.

Wrócił po pięciu minutach i położył na biurku plik papierów. Wziął z wierzchu niewielkie zdjęcie i podał Lebelowi.

– To ten trup – powiedział z dwuznacznym uśmiechem. – Ten gość był jednym z goryli Sabatiniego. Calthrop nie traci czasu. Przypuszczam, że ten w samochodzie to również jego robota. Ciekawe jak oni go znaleźli?

– Byliście już u Sabatiniego?

– Wybieram się tam dzisiaj – odparł Sakson, zaciskając pięści.

– Dopadnę tego skurwysyna, choćbym miał zdechnąć nad tą sprawą...

Komisarz spostrzegł, że trochę się zagalopował, ale złość mu nie przeszła.

– Lebel, chcę żeby wszystko było jasne – kontynuował, nerwowo stukając palcami w stół. – Zależy mi na przyłapaniu Sabatini. Od kilku lat dobieram się do niego i za każdym razem to ścierwo mi ucieka. Tylko on, tylko Sabatini jest dla mnie ważny. Calthrop może mnie do niego zaprowadzić, ale nic poza tym. Możecie go sobie schrupać, Lebel. Calthrop jest twój. Zgoda?

Lebel nie odpowiedział od razu. Przyglądał się zaczerwienionym oczom komisarza i zastanawiał się, jak ma postąpić. Coś z nim nie tak – pomyślał, nie zmieniając wyrazu twarzy. Doświadczenie nauczyło go jednak, że w policji i wszystkich służbach specjalnych potrzebne jest nieraz coś więcej niż zwykłe poczucie obowiązku. Zajadły upór i nienawiść komisarza mogły się tutaj okazać bardzo przydatne. Poza tym nie wątpił, że Sakson był doskonałym fachowcem.

– W porządku – powiedział tonem zasadniczym i nie wzbudzającym nieufności. – Proszę się kontaktować ze mną osobiście. Lepiej będzie jeżeli unikniemy pośredników. Tylko w nagłych przypadkach będę polegał na moim współpracowniku Fuche'u.

– Doskonale – ucieszył się komisarz. – Z mojej strony wyślę do pana Fukiera. To młody policjant, ale bystry i bardzo gorliwy. W razie potrzeby, oczywiście.

– Proszę do mnie zadzwonić – powiedział wstając Lebel. – To wyjątkowo ciężka sprawa. Za mało czasu, komisarzu, zdecydowanie za mało mamy czasu. Ten Calthrop może go kupić w każdej chwili, a my zostaniemy na lodzie.

– Pilnujemy go dzień i noc – odpowiedział uspokajająco Sakson. – Robimy zdjęcia każdemu, kto do niego wchodzi i wychodzi.

Sabatini jest w tej chwili najlepiej strzeżonym facetem w całej Francji. Do tego dochodzą jego ludzie, którzy nie odstępują go nawet w nocy. Im dłużej wytrzymamy, tym lepiej dla nas. Miejmy nadzieję, że w końcu czegoś się dowiemy o Calthropie. Sprawdzamy w Paryżu wszystkich najemników, pośredników i handlarzy narkotyków. Penetrujemy więzienia i wypyujemy o Calthropa dziennikarzy...

– Co? – prawie wrzasnął Lebel. – Dziennikarzy? Co pan najlepszego robi komisarzu? Przecież ten facet będzie nas miał jak na dłoni.

– Spokojnie, Lebel – Komisarz po raz pierwszy uśmiechnął się i sięgnął po papierosa. – Mówiąc dziennikarzy, miałem na myśli naszych dobrych znajomych. Mam kilku przyjaciół w tej branży. To całkowicie pewni ludzie. Prosiłem ich o dyskrecję dopóki czegoś nie złapiemy. Proszę się nie denerwować nimi.

– Nie podoba mi się ten pomysł, ale już za późno – pokiwał głową Lebel. – Pozostaje tylko wierzyć, że któryś z nich nie spije się i nie wygada wszystkiego jakiejś dziwce.

Pół godziny później Lebel szedł szybkim krokiem rue de Rivoli, uginając się pod ciężarem wielkiego, puszystego misia. Obiecał go córce jeszcze w ubiegłym tygodniu, a o obietnicach nigdy nie zapominał. Wsiadł do swojego Citroëna i natychmiast połączył się z biurem Interpolu.

– Tu Lebel – powiedział. – Dajcie mi Fuche'a. Fuche? Masz coś nowego?

– Na razie nic – zaskrzeczał w głośniku baryton Fuche.

– Dogadaj się z rezerwacją w amerykańskich liniach lotniczych, niech sprawdzą wszystkich Calthropów, jacy w ciągu dwóch tygodni do tyłu i do przodu rezerwowali u nich bilet. To samo zrób u nas,

u Niemców i Szwajcarów. Pamiętaj, wszystkich Calthropów muszę mieć u siebie na biurku najpóźniej do jutra rana. Wszystkich mężczyzn, oczywiście. I nie musi to być koniecznie Charles – dodał Lebel, włączając odsłuch.

– Dobrze – szept Fuche'a nie wyrażał najbardziej przyjaznych uczuć. Prawdopodobnie inaczej zaplanował sobie tę noc – pokiwał głową Lebel, ale nie zmienił zdania.

Musiał spróbować i tej szansy. Jeżeli nie ma się nic, trzeba szukać po omacku, tę zasadę wpoił mu ojciec jeszcze w dzieciństwie. Stary Claude Lebel nie rezygnował nigdy i tego samego nauczył syna.

Kiedy zatrzymał się przed domem, powitał go codzienny widok. W oknie na piętrze stał dziadek Lebel z wnuczką na ręku i oczekiwała.

– Zapomniałem – Lebel rozłożył ręce i zrobił zawieszoną minę.

Wnuczka i dziadek tylko wymienili spojrzenia.

– Zabierz go na górę, tato – zawołała dziewczynka, a Antoine Lebel po raz kolejny zrozumiał, jak bardzo wszyscy troje są do siebie podobni. Z satysfakcją zabrał z siedzenia olbrzymiego misia i wszedł do domu.

3.

W chwili gdy córka Antoine'a Lebela przytulała po raz pierwszy nowego misia, Morris Lavel wsiadł do swojego lśniącego czystością, białego saaba. Było ciepło, chociaż nie tak samo jak poprzedniego dnia. Lavel otworzył okno, zapalił papierosa i wyjął ze schowka w samochodzie przeciwsłoneczne okulary. Zanim włożył kluczyk do stacyjki obejrzał się za trzema smukłymi dziewczynami, które zamiast bluzek nosiły coś w rodzaju pajęczyny. Lavel pomyślał, że mógłby je poderwać, ale zmienił natychmiast zdanie, gdy spojrzął na zegarek. Nawet gdyby zrobił to z wszystkimi trzema w ciągu pół godziny i tak nie zdążyłby na umówione spotkanie. Zrezygnowany westchnął ciężko.

– Nie odwracaj się – usłyszał z tyłu szept. – Jestem Calthrop i mam do ciebie interes. Kogo chcesz wynająć, żeby mnie sprzątnął?

– Skąd wiesz? – zapytał Lavel, czując się tak jakby połknął granat. Nawet nie próbował patrzeć w lusterko. Wiedział, że z Calthropem lepiej nie ryzykować. Postanowił zachować absolutny spokój i nie próbować żadnych głupich sztuczek.

– Kogo? – powtórzył Calthrop.

– Luisa Vinnensa...

– Nie znam – przerwał zabójca. – Kto to jest?

– Młody, ale dobry – odpowiedział Lavel. – Działa krótko i

przeważnie w Azji. Parę razy był podobno w Australii, ale nic pewnego nie wiadomo. Nigdzie nie notowany. Sam wiesz, że w naszej branży niewiele się można dowiedzieć. Tak o nim mówią. Ja polecałem go tylko raz i sprawdził się. Sabatini chciał najlepszego na ciebie. Jego sekretarz, Lamartine...

– Domyślam się – uciął Calthrop. – Teraz zapamiętaj wszystko dokładnie. Nie pojedziesz na spotkanie z Vinnensem lecz skontaktujesz się z nim dopiero dziś wieczorem i umówisz na jutro. Lamartine'owi powiedz za godzinę, że znalazłeś kogoś odpowiedniego. Ten ktoś nazywa się Philip Marcou. Zapamiętałeś?

– Tak, Philip Marcou – potwierdził Lavel, który jeszcze nie bardzo rozumiał o co Calthropowi chodzi.

– Żeby cię nie męczyć powiem, że Marcou to ja...

– A niech to! – wyrwało się La velowi. – Chcesz mi wykręcić taki numer? Przecież Sabatini...

– Nie będzie już żył – z tyłu doleciało warknięcie przypominające muzykę z filmu „Szczęki”. – Nie masz zresztą wyboru.

– Sabatini ma dwóch synów, żonę i tego cholernego Lamartine'a – ręce handlarza bronią zacisnęły się na kierownicy z taką siłą, że opuszki palców zrobiły się białe. – Będę spalony. Takich rzeczy się nie robi.

– Cóż, Lavel, czasami trzeba – Calthrop poklepał go po ramieniu. – Gdzie miałeś się spotkać z Vinnensem?

– Przy Palais de la Découverte. Za niecałe pięćdziesiąt minut – wyjaśnił Lavel, w popłochu kombinując jak wywinąć się z niewygodnej sytuacji. Cisza, jaka zapanowała w samochodzie zorientowała go, że Calthrop jeszcze na coś czeka. Domyślił się i powoli, dobitnie wycedził: – Na głowie będzie miał kapelusz safari, na prawej

dłoni sygnet z rubinem, a w rękę neseser ze złotymi okuciami.

– Daj mi swoją wizytówkę. Zadzwonię o szóstej wieczorem i mam nadzieję, że będę już przez ciebie umówiony gdzie trzeba – Calthrop zawiesił głos i dokończył: – I nie bądź głupi, Lavel. Ludzie nie są niezastąpieni. Jeżeli spróbujesz mnie wystawić, możesz być pewny najgorszego. Wiesz kim jestem i jak pracuję, więc zachowaj spokój i pomyśl lepiej jak zabezpieczyć się przed rodziną i przyjaciółmi Sabatiniego. Teraz pojedę popatrzeć sobie na pana Vincensa i zapamiętać młodszego kolegę po fachu – Calthrop zaśmiał się, rozległo się ciche trzaśnięcie drzwi i Lavel został sam.

Nie bał się, czuł raczej nieokreśloną irytację. Był ambitny i trudno było mu pogodzić się z faktem, że znajdował się w czyimś ręku. Ambicja walczyła u niego z rozsądkiem. To drugie mówiło mu, że Calthropa powinien unikać jak ognia i nie próbować go przechrzyć. Ambicja podpowiadała mu, żeby zaatakować z całą siłą i zniszczyć przeciwnika. Włączył radio i wolno ruszył przed siebie. Jechał zupełnie bez celu, a w jego głowie pomysły urządzały sobie mecz rugby.

W drzwiach od tarasu domu Lebelów pojawiła się pani Lebel i zawołała na tyle głośno, że mąż ją usłyszał.

– Antoine, telefon do ciebie!

Dziewczynka po raz kolejny próbowała dosięgnąć brody ojca, ale tym razem nie napotkała już jego rąk, lecz koc, który dziadek zarzucił jej na głowę. Kiedy wreszcie się wyplątała, po ojcu nie było już śladu – stał przy telefonie i poważnie kiwał głową.

– Dlaczego tak późno? – zapytał zbyt spokojnie, aby rodzina nie wyczuła w jego głosie napięcia. Udawali, że zajmują się swoimi

sprawami, ale tego rodzaju telefony zawsze ich niepokoiły. Matka, żona policjanta, nigdy nie pozbyła się podświadomej obawy o życie syna. Żona, pozornie tylko pogodzona z jego nieunormowanym trybem życia, również bała się najgorszego. Ojciec, stąpając teraz ciężko, drobnymi kroczkami, wiedział najbardziej, co może oznaczać nagły telefon i tego rodzaju zachowanie syna. Zbyt wiele przeżył i zbyt długo przesłuchiwał ludzi, aby nie poznać dobrze tysięcy skomplikowanych reakcji w sytuacjach szczególnych. Wystarczyło mu spojrzeć na syna by wiedzieć, że w biurze Interpolu dzieje się coś bardzo nietypowego.

– Coś poważnego, prawda? – zapytał, kiedy Antoine odłożył słuchawkę.

– Tak – odpowiedział syn, nie patrząc na ojca. – Były małe problemy, ale teraz wszystko znów ruszyło do przodu. To był dobry telefon.

Dziesięć minut później znajdował się już na szosie. Nie śpieszył się, ale nie jechał też zbyt wolno. Przeżuwał w myślach telefon do komisarza Saksona. Ktoś nieznany poinformował policję że zbrodnia przy Bulwarze Woltera była dziełem Calthropa. Informator nie ujawnił się, ale sam fakt, że wiedział o Calthropie mówił za siebie. Sprawę należało potraktować poważnie. Dlatego Lebel rzucił wszystko i osobiście postanowił obejrzeć mieszkanie, w którym znaleziono ofiary.

Przy drzwiach budynku czekał już na niego komisarz. Dwaj policjanci zostali na dole, jeden stanął na schodach nasłuchując i obserwując drzwi.

Lebel nacisnął dzwonek. Mimo dłuższego oczekiwania obaj z komisarzem czuli, że są obserwowani. Sakson wyjął policyjną

legitymację i podniósł do góry. Zamek szczęknął i ciężkie drzwi powoli się uchyliły. Sophie Raufer była blada, ale jej wygląd świadczył, że nie załamała się. Jej dżinsy były nowe, bluzka wyprasowana, a włosy puszyste i umyte nie dalej jak przed godziną. W przedpokoju stały spakowane walizki. Lebel zauważył to prawie natychmiast.

– Czy to się nigdy nie skończy? – zapytała dziewczyna, wpuszczając ich do środka.

– Pani wyjeżdża? – zdziwił się komisarz. – Przykro mi, ale na razie to niemożliwe. Musi pani pozostać w Paryżu jeszcze jakiś czas. To normalne, dopóki się sprawa nie wyjaśni.

– Wiem, wiem – potwierdziła panna Raufer. – Chcę się tylko wynieść z tego mieszkania. To chyba nie jest takie dziwne...

– Oczywiście, panno Raufer – wtrącił Lebel. – Może pani zmienić miejsce zamieszkania. Proszę nam tylko zostawić swój nowy adres.

Sophie odetchnęła cicho i z wdzięcznością spojrzała na Lebela.

– Czy mówi pani coś nazwisko Charles Calthrop? – zapytał nagle agent Interpolu. Zrobił to tak szybko i tak miłym głosem, że można było pomyśleć, iż pyta o cenę cukierków czekoladowych.

Dziewczyna spojrzała na niego, ale nie było to spojrzenie kogoś całkowicie zaskoczonego. Jej oczy wyrażały raczej zdziwienie.

Komisarz rozglądał się po pomieszczeniu i udawał, że jest całkowicie pochłonięty tą czynnością.

– Czy to morderca? – pytanie Sophie zostało postawione z odzieniem zaczeźności. – Tyle razy już ze mną rozmawialiście...

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – powtórzył cierpliwie Lebel. – Calthrop, czy to coś pani mówi?

– Absolutnie nic – zaprzeczyła dziewczyna. – Pierwszy raz to nazwisko słyszę.

– Dziękuję pani – powiedział uprzejmie Lebel i obaj z komisarzem skierowali się do wyjścia.

– Proszę nie zapomnieć o adresie – wtrącił Sakson, kiedy schodzili już ze schodów.

Zanim się pożegnali, Lebel powiedział na wpuł do siebie

– Coś tu jest nie tak, komisarzu.

– Myślę, że ktoś chce nas zrobić w konia – odpowiedział Sakson. – Poczekamy. Na razie poobserwujemy sobie tę pannę. Ma silne nerwy, piekielnie silne jak na taką jatkę. W końcu to byli jej rodzice...

Tapczan wygiął się po raz ostatni, a sprężyny wydały przeciągły jęk, który zlał się z krzykiem Moniki Sabatini. Jej paznokcie stopniowo zaczęły wysuwać się spod skóry Jima Parottiego, który z westchnieniem przewrócił się na plecy.

– Jesteś najlepszą dupą, jaką kiedykolwiek rznąłem – powiedział, sięgając po papierosa.

– Ty świntuchu – udała oburzenie i jej udo znalazło się na jego brzuchu. – Gdybyś nie był taki ładny i nie miał takiego interesu – sięgnęła mu do krocza – nie mielibyśmy sobie nic do powiedzenia.

– Nie gadaj, przyjechałem tu, bo chciałaś – zaśmiał się z chłopcym wdziękiem Parotti. – Nie mogłaś wytrzymać, cipciu...

– Nie zapominaj, że jestem od ciebie starsza – powiedziała cicho, naciągając na siebie prześcieradło. – Myślę, że już pora żebyś wrócił do Stanów. Twój ojciec na pewno się niepokoi.

– Nie jestem dzieckiem! – obruszył się młodzieniec.

– Ale jesteś synem Luciano Parottiego, capo capini rodziny Gambino – pocałowała go w ucho i zaczęła bawić się jego czarnymi skręconymi jak makaron włosami. – Jeżeli twój ojciec dowie się, z kim byłeś w Paryżu, może być z tobą źle. On nie będzie tego ukrywał przed moim byłym mężem. Musisz wracać, Jim. Mike Gambino nie należy do ludzi, którzy przymykają oczy na gachów swojej byłej żony. Jest zbyt próżny, aby ci to przebaczyć. Mimo że wyszłam za Sabatiniego, wciąż czuję, że tamten uważa mnie za swoją własność. Nie przeszkadza mu, ale czeka na mój błąd, żeby mnie upokorzyć. Sabatiniego nie ruszy, bo to zbyt kosztowne i niepotrzebne, ale ciebie rozedrze na kawałki. Mnie także nie czekałoby nic lepszego. Francois nie wybaczyłby mi nigdy...

– Kochasz tego starego parcha? – powiedział cynicznie Parotti i zgasił papierosa na podłodze.

Monika Sabatini wykorzystała ten moment i szybko wstała z tapczanu. Dochodziła czwarta po południu i musiała wracać do męża. Dwie godziny spędzone z młodym Parottim dostatecznie ją odprężyły i teraz chciało jej się spać. Poza tym chciała namówić chłopaka do powrotu. Podniosła z fotela szlafrok i szczelnie się nim okryła. Wiedziała, że jest piękna i zgrabna, ale nie zносиła myśli, iż ktoś mógłby się przyzwyczaić do widoku jej nagiego ciała.

– Oczywiście, że go kocham – odpowiedziała przekornie i zniknęła w łazience.

Drzwi zostawiła otwarte, tak że Jim mógł ją doskonale widzieć. Lubiła być podglądana i lubiła kiedy robił to właśnie Jim Parotti.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytał chłopak, obserwując ją spod przymrużonych powiek.

– Wkrótce – usłyszał jej głos poprzez szum prysznic.

– Chyba rzeczywiście wrócę – powiedział na wpół do siebie. – Ciekawy jestem, czy wynajęli tego faceta!

– Tego, o którym mi opowiadałeś?

– Aha, tego płatnego mordercę! Chętnie bym takiego gościa zobaczył. Ojciec mówił, że jest o wiele lepszy od jego ludzi... Wiesz, nie mogę sobie tego wyobrazić...

– Ja też – powiedziała już z bliska, wycierając sobie włosy ręcznikiem. – Natrzyj mi plecy – dodała i podała mu butelkę z kremem nawilżającym.

Zsunął jej z ramion szlafrok i delikatnie zaczął rozcierać krem. Kiedy chciał ją znowu przyciągnąć do siebie, odsunęła się zdecydowanie i szybko zaczęła ubierać.

– Starczy, kochanie – uspokoiła go cmokając w jego stronę ustami. – Sabatini będzie się niepokoił.

On również wstał i założył na siebie ubranie. Przypominał trochę pudła, który za bardzo wyrósł i nie może znaleźć miejsca. Wielka góra mięsa, pokryta pięknie opaloną skórą. Idealny samiec, na widok którego sikały w majtki wszystkie uczennice i wszystkie żony, mające starych mężów.

Wyszli z mieszkania dziesięć minut później, starannie zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy gruba firanka w rogu przy oknie poruszyła się i wyszedł zza niej Charles Calthrop. Był zmęczony, ale bardzo zadowolony z tego co usłyszał. Zdjęcia Moniki Sabatini i jej młodego kochasia otrzymał zaledwie cztery godziny temu. Ludzie Raufera podali też dokładny adres mieszkania Parottiego i zapowiedzieli, że wycofują się. Nie byli mu już potrzebni. Domyślił się, dlaczego Sabatini z nim zadarł i dlaczego napadnięto na jego dom w Kanadzie. Zrozumiał, że przez tę głupią dziwkę zamordowano mu matkę. Jego stosunek do Sabatiniego uległ prawie natychmiastowej

zmianie. Stary mafioso był tylko narzędziem w ręku młodej żony, Calthrop nie miał wątpliwości. Ten drobny z pozoru szczegół zdecydował, że w ciągu kilkunastu sekund morderca zmienił plan działania.

Pięć ministerstwa spraw wewnętrznych już poraż trzeci spadała z potworną siłą na biurko w stylu Ludwika XIV. Paroi toczył z siebie pianę i ciskał z oczu pioruny na trzech stojących niemalże na baczność tuż przed nim ludzi. Suchet, Sakson i Lebel w milczeniu czekali aż atak gniewu minie.

– Czyście panowie oszaleli!? – krzyczał minister. – Tylko dlatego, że coś wam się wydaje, uruchamiacie Interpol w kilku krajach na skalę co najmniej zamachu stanu. I to dla kogo? Dla Francois Sabatiniego, zwykłego właściciela ekskluzywnego kasyna... Milczcie! Znam wasze poglądy na jego temat. Ale przypominam wam, panowie, że dopóki nie przyniesiecie mi dowodów, dopóty Sabatini będzie uczciwym, lojalnym obywatelem. To przestroga dla was, komisarzu Sakson. Nie bądźcie zbyt gorliwi, bo gotowy jestem pomyśleć, że coś z wami niedobrze. Zrozumieliście?

Komisarz Sakson skinął głową, ale jego twarz zrobiła się sina z wściekłości. Gdyby nie doświadczenie i wpojone za młodu posłuszeństwo wobec przełożonych, powiedziała by temu zasranemu ministrowi, co o nim myśli. Takich ministrów przeżył już kilku i za każdym razem musiał się od nowa przyzwyczajać.

– A wy, Suchet, prywatnie uruchamiacie agentów Interpolu zupełnie nie licząc się z kosztami i ludźmi...

– Panie ministrze jest to w naszej pracy normalna praktyka... – przerwał twardo szef Interpolu.

– Nawet jeżeli jest to normalna praktyka – bulgotał minister – to ktoś musi za to zapłacić. Poza tym nie każdy jest pańskim kolegą, Suchet i nie każdy zgadza się na tego rodzaju działania.

– Jesteśmy na tropie faceta, który specjalizuje się w politycznych zamachach... – zaczął Sakson.

Lebel tytnął spod oka na komisarza i omal nie parsknął śmiechem. Sakson powiedział to z takim przekonaniem, że obaj z Suchetem prawie mu uwierzyli. Przynajmniej w tej chwili. Minister zadyssał się, opadł na fotel i wytarł czoło białą jak śnieg chusteczką.

– Tylko ze względu na waszą dotychczasową praktykę – odezwał się po kilku minutach – przymknę oko. I jeżeli już zamierzacie bawić się w ściganie tego Calthropa, to radzę zebrać dowody, że on naprawdę istnieje. Fakty, panowie, interesują mnie fakty. Jeszcze jeden taki występ i będziecie musieli pożegnać się ze służbą w policji. A Interpol poradzi sobie także bez was...

Wszyscy trzej nawet nie chcieli sobie wyobrazić, że mogliby odejść ze służby. Spuścili głowy i udawali skruchę. Niewiele ich to kosztowało, a minister był zadowolony i mógł później opowiadać żonie lub kochance jak świetnie radzi sobie ze swoimi ludźmi. On zresztą także wiedział, na czym polega ich gra i w pełni ją akceptował. Wyznawał zasadę, że pewne sprawy muszą być załatwiane w określony sposób. Tak było przyjęte i nie zamierzał tego zmieniać.

– Gdybyście jednak znaleźli tego mordercę – powiedział słodkim głosem – docenimy to. Czekam na raporty w tej sprawie. Do widzenia, panowie.

Łysa czaszka ministra pochyliła się, a ręce zaczęły nerwowo grzebać w papierach. Było jasne, że mogą się oddalić.

Dziesięć minut przed godziną szóstą po południu Calthrop oddał w recepcji klucz i poinformował, że wyjeżdża ponieważ jego matka ciężko zachorowała. Recepcjonista ze zrozumieniem pokiwał głową, ale jego spojrzenie pozostało niewzruszone.

– Mam nadzieję, że jeszcze pana zobaczymy w naszym hotelu, panie Brown – powiedział sztywnym, uprzejmym tonem. – Przykro mi, że musi pan wyjechać.

Calthrop opuścił hotel i szybkim krokiem skierował się do samochodu. Odegrał tę czułą scenę pożegnania celowo. Miał czas przyrzec się zachowaniu recepcjonisty i upewnić się, czy ktoś go obserwuje. Teraz nie miał wątpliwości, że hotele były pod obserwacją. Dobrze im idzie, pomyślał z uznaniem o paryskiej policji. Była to jedyna na świecie policja, której się obawiał. Doskonale pamiętał klęskę, jaką wraz z bratem ponieśli, przygotowując w 1963 roku zamach na de Gaulle'a. A wszystko było tak precyzyjnie przygotowane. Wydawało się, że Charles Calthrop dostatecznie odwrócił uwagę policji, aby Szakal zdążył zrealizować kontrakt. Nie udało się, w policji francuskiej znalazł się wówczas ktoś, kto potrafił działać i przewidywać równie precyzyjnie jak oni. Calthrop zapamiętał nazwisko tego człowieka. Lebel stał się dla niego przeklętą wizytówką Francji. To był także dowód, dla którego Calthrop nigdy nie przyjął tutaj żadnego zamówienia.

Wsiadając do samochodu widział detektywa hotelowego w towarzystwie faceta, który wyglądał jak żywcem wyjęty z komiksu. Wysoki, barczysty, krótko, po amerykańsku ostrzyżony, z twardą, kwadratową szczęką. Do tego dochodził papieros, który jak psi ogon poruszał się w jego ustach, poświęcili Calthropowi wystarczająco dużo czasu, aby się zdradzić. Detektyw zadał sobie nawet trud i

zanotował numery rejestracyjne wozu Calthropa. Nie ulegało wątpliwości, że hotel „Crillon” przestał być w tym momencie miejscem przyjemnym i dyskretnym.

Punktualnie o szóstej znajdował się w budce telefonicznej przy rue Richelieu. W pobliżu sunął sznur samochodów, wiozących gości do paryskiej opery komicznej. W niektórych sklepach oświetlono już wystawy, jakby w ten sposób chciano zagwarantować sobie większość klientów.

– Tu Philip Marcou – odezwał się do słuchawki, patrząc obojętnie na toczące się obok normalne życie. – Wszystko w porządku?

– W porządku – odpowiedział Lavel. – Jesteśmy umówieni z Lamartine'em jutro o dziewiątej. U niego w biurze.

– Mam nadzieję, że pomyślałeś o sobie, Lavel – Calthrop powiedział to jakby od niechcenia. – Może jeszcze kiedyś się zobaczymy...

– Może się zobaczymy – powtórzył handlarz bronią, odkładając słuchawkę.

Nie lubi mnie, pomyślał cynicznie Calthrop. Wiedział, że nie może ufać Lavelowi i powinien jak najszybciej wynieść się z Paryża. Wszystko działo się za szybko i trudno było przewidzieć, co jego przeciwnik o nim wiedział. Calthrop analizował sytuację. Był pewny, że szuka go zarówno policja, jak ludzie Sabatiniego. Teraz mógł dołączyć do nich Morris Lavel. Do tego dochodziła córka Raufera. Tylko ona widział go na własne oczy. Calthrop nie wątpił, że gdyby policja miała jego portret pamięciowy, prawdopodobnie nie pozwolono by mu opuścić hotelu. Wynikało z tego, że Sophie Raufer jak na razie milczała.

Wykręcił jeszcze jeden numer i zarezerwował dwa miejsca w

samolocie do Nowego Jorku na godzinę trzynastą piętnaście następnego dnia.

Adres Lavela Calthrop znał jeszcze z dawnych lat. Kilkakrotnie sprawdzał, czy się nie zmienił. Duże, luksusowe mieszkanie w pobliżu Łuku Triumfalnego było dla handlarza bronią idealnym miejscem. Mieszkał tam w towarzystwie kochanek, które często zmieniał. Tego jednak Calthrop nie wiedział. Informacja, którą otrzymał od ludzi Raufera wraz ze zdjęciami, mówiła o żonie, nie wspominała o kochankach. W sumie nie było to istotne – Calthropa interesował Lavel, nie jego kobiety.

Calthrop nałożył rękawiczki i spokojnie sięgnął po tłumik. Broń wsunął pod marynarkę w specjalnie uszyte szelki. Kiedy wysiadał z samochodu, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Wieczorem w tej części miasta było szczególnie tłoczno i hałaśliwie. Błysk aparatów fotograficznych i neonowych reklam pogrążał wszystko w niespokojnym drganiu.

Calthrop postawił samochód tuż przed wejściem do budynku, w którym mieszkał Lavel. Wszedł na piętro i nacisnął dzwonek. Stał z boku, tak żeby go nie było widać, ze środka rozległy się odgłosy kroków. Ktoś patrzył przez wizjer. Palce Calthropa błyskawicznie uruchomiły mały, japoński magnetofon, z którego rozległ się płaczliwy, dziecinny głos:

– Nie mogę wstać, proszę mi pomóc... Kręci mi się w głowie...

Zamek szczęknął i po chwili z mieszkania wyrzwał Morris Lavel. Kiedy zobaczył Calthropa, chciał się cofnąć, ale nie zdążył. Strzał zabrzmiał jak głośnie klaśnięcie w zimowych rękawiczkach. Kula utkwiała w samym środku czoła.

– Kochanie, co się z tobą dzieje? – z mieszkania doleciał kobiecie głos. – Ile można na ciebie czekać?

Calthrop nie tracił czasu. Wciągnął Lavela do środka, zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł do sypialni, gdzie leżała na łóżku kolejna kochanka handlarza. Nie należała do najmłodszych i z bliska przypominała suszoną śliwkę. Calthrop nie wzruszył się jej rozpaczliwym spojrzeniem i zastrzelił ją również precyzyjnie jak Lavela. Chwilę potem opuścił mieszkanie, zamykając za sobą drzwi. Klucz wyrzucił do najbliższego śmietnika. W Paryżu pozostała mu do załatwienia jeszcze jedna sprawa. Ta najważniejsza.

Wyłożone czerwonym dywanem schody w willi Francois Sabatini zostały pokonane w trzech skokach. Pod wpływem gwałtownego podniecenia wywołanego telefonem z lotniska Sergio Lamartine zgubił gdzieś swój wyważony spokój. Jak szalony, bez pukania, wpadł do gabinetu szefa i oparłszy się o biurko zaczął wypluwać z siebie słowa.

– Szefie, mamy go... Dzwonił nasz człowiek ze związków. Z rezerwacji... Interpol zażądał sprawdzenia wszystkich Calthropów. Właśnie nadeszła informacja z Kolumbii, że mieszka tam brat Calthropa, niejaki Roger. Podobno jest misjonarzem i siedzi z Indianami gdzieś w dżungli.

– Doskonale, Sergio – pochwalił Sabatini, sięgając po pomarańczę. – Czy wiesz już, co powinieneś zrobić?

– Musimy uprzedzić gliny – powiedział spokojnie Lamartine. – Myślę, że możemy wykorzystać naszych przyjaciół w Kolumbii. Miejmy nadzieję, że nasz Calthrop kocha swojego braciszka...

Obaj uśmiechali się ironicznie, a Sabatini poklepał sekretarza po ramieniu.

– Pojedziesz tam i zrobisz wszystko, żeby Calthrop się do nas

zgłosił. – W słowach Sabatiniego zabrzmiało coś na kształt groźby. – On musi wiedzieć, że jego brat ma kłopoty. I nie śpiesz się z wykończeniem faceta. Jeżeli go potrzymamy trochę dłużej, łatwiej będzie porozmawiać z Calthropem. No, śpiesz się chłopcze.

Lamartine prawie natychmiast udał się na najbliższą pocztę. Nie zwracając niczyjej uwagi, zadzwonił do swojego kolumbijskiego współpracownika, niejakiego Perery, który na stałe przebywał w Bogocie. Wydał mu odpowiednie instrukcje, podkreślając wyjątkowość sprawy. Perera błyskawicznie zrozumiał, że musi się śpieszyć albo spotka go coś złego. Kiedy Lamartine odkładał słuchawkę, Kolumbijczyk pędził już do swojego jaguara i modlił się w duchu, żeby wyprzedzić policję.

Godzinę później z rezydencji biskupa wyszedł młody kleryk i wsiadł do jaguara. Młodzieniec zaczerwienił się jak panienka, kiedy Perera wręczył mu gruby plik banknotów. Schował je do kieszeni pod sutanną i dopiero wtedy odetchnął. Pierwszy raz robił coś za pieniądze i wiedział, że narusza tajemnicę Kościoła. Uległ tej słabości, ponieważ jego ciało rwało się do życia i przyjemności. Widział wokół siebie bogactwo i widział nędzę. To drugie doskonale znał, teraz chciał popróbować tego pierwszego.

– To jest miejsce, gdzie pan go znajdzie – powiedział do Perery, podając mu zapisaną w pośpiechu kartkę. – Nie chce się nigdzie przenieść, chociaż jest chory...

– Czy ksiądz jest pewny, że chodzi o tego człowieka? – zapytał raz jeszcze Perera.

– Innego nie ma – potwierdził kleryk, z lubością przyglądając się luksusowemu wnętrzu jaguara. – W Kolumbii jest tylko jeden obcokrajowiec o nazwisku Calthrop, który służy w zakonie.

Archiwum biskupa jest dobre, dokładne... Na niego wołają teraz ojciec Polo. To imię zakonne.

Klnąc głośno na wszystko, co zagrażało mu drogę, Perera, jechał szeroką Avenida Caracas, chcąc jak najszybciej poinformować o wszystkim Manuela Ribeiro. Człowieka tego nazywano „rezydentem z Medellin i za odpowiednią sumę lub referencję można było załatwić u niego wszystko. Był nietykalny, ponieważ nikt nie potrafił udowodnić mu zbrodni.

Mężczyzna na ekranie po raz ostatni zacisnął usta na piersi kochanki i znieruchomiał. Jim Parotti wstał z fotela i wyłączył magnetowid. Uwielbiał takie filmy. Uwielbiał patrzeć jak ludzie się pieprzą i robią ze sobą różne dziwne rzeczy. Ilekroć był znudzony lub zdenewrowany brał się za oglądanie filmów pornograficznych. Ci, którzy go znali, mówili, że ma cztery słabości: dziewczyny, papierosy, szybkie samochody i pornografię. Młody Parotti nie zaprzeczał – był raczej dumny ze swoich zainteresowań.

W samych spodenkach zbliżył się do okna i spojrzął na upstrzony światłami Paryż. Zbliżała się dziesiąta. Miasto już od dwóch godzin tętniło nocnym życiem. Z okna wyglądało jak podziurawiona, czarna pończocha, przez którą prześwituje biel skóry. Po tym wszystkim poruszały się dziesiątki małych punkcików, sprawiających wrażenie mrówek rzuconych na stygnącą galaretkę.

Przeciągnął się, poprawił palcami włosy i włączył radio. W pokoju rozległa się cicha, nastrojowa piosenka Beatlesów. Parotti skrzywił się i zmienił kanał. Tym razem w radiu zaczęło huczeć i wyć. Dopiero za trzecim razem znalazł to, co chciał. Przy dźwiękach rege

poszedł do łazienki wziąć prysznic.

Oczywiście nie słyszał jak Calthrop włożył wytrych w zamek i otworzył drzwi. Tej nocy Parotti nie oczekiwał żadnej wizyty i nigdzie się nie wybierał. Musiał podjąć decyzję, której wolałby nie podejmować. Stał pod lejącą się z prysznica wodą i w zamyśleniu patrzył pod nogi. Zdawał sobie sprawę, że Monika Sabatini słusznie go ostrzegała przed Nike'em Gambino. Nigdy nie został dopuszczony do interesów rodziny Gambino, ale kilka razy na prośbę ojca wyświadczał jej drobne przysługi. Wiedział, jakimi metodami potrafiła przekonywać swoich wrogów. Parotti, który nigdy nie kierował się rozsądkiem, tym razem na zimno próbował znaleźć najlepsze rozwiązanie. Jego zmysły i ciało gorączkowo pragnęły żony Sabatiniego, ale spryt podpowiadał mu, że powinien natychmiast zrezygnować z niej i wyjechać. Zastanawiał się, jak postąpiłby ojciec, gdyby o wszystkim wiedział. Czy zastrzeliłby go na rozkaz starego Gambino. A może wymyśliłby dla niego inną karę. Rodzina miała dużo różnych możliwości i część z tych możliwości młody Parotti dobrze znał. Kiedy uświadomił sobie, że znalazł się pomiędzy dwoma szefami mafii, Nowojorczykiem i Paryżaninem, dłonie same zacisnęły mu się w pięści. Był wściekły i czuł się bezsilny. Był pewny, że po ucieczce z Moniką, znaleźliby ich wcześniej czy później. Uderzył czołem w ścianę jakby chciał zabić w sobie te bolesne myśli, ale to nic nie pomogło. Zakręcił kran i masując potłuczone czoło wyszedł z łazienki. Owinął się białym szlafrokiem, na którym artysta wyszył kondora trzymającego w szponach kozła, i gwałtownie zatrzymał się. Tuż przed nim siedział na fotelu Calthrop i trzymał go na muszce rewolweru z tłumikiem.

– Kim pan jest? – wyszeptał z trudem łapiąc oddech. Przewidywał najgorsze.

– Nieważne – odpowiedział Calthrop i pokazał mu lufą fotel naprzeciwko. – Łączą nas pewne interesy. Przez nieuwagę zrobiłeś mi przykrość i będziesz musiał to naprawić.

– A więc nie ojciec pana przysłał? – upewnił się nerwowo Parotti. – A może Sabatini?

– Nie, nie oni – uspokoił go chłodny, ale zdecydowany głos nieznanego. – Teraz nie powinno cię to interesować. Jutro wyjeździemy razem do Nowego Jorku i będziesz wolny...

– Ja nigdzie nie jadę – zaproponował młodzieniec. – Nigdzie z panem nie jadę.

– Pojedziesz, ponieważ możesz mieć tutaj duże kłopoty – Calthrop był cierpliwy. – Pani Sabatini również. Jutro zaprosisz ją tutaj, pożegnasz się i w ten sposób zabezpieczysz się przed nagłym zgonem w najbliższych dniach. Potem pojedziesz ze mną grzecznie na lotnisko i po kilku godzinach odwiedzisz swoich przyjaciół w Nowym Jorku. To bardzo proste i nie wymaga od ciebie wysiłku.

Młody Parotti kręcił się niecierpliwie na fotelu, nie spuszczać oczu z rewolweru. Nieznajomy sprawiał wrażenie człowieka, który wiedział, co robi. Parotti nic z tego nie rozumiał, ale domyślał się, że tamten sporo o nim wie. Jego włoski temperament nie mógł jednak znieść porażki i wbrew rozsądkowi chciał się zemścić. Wyobrażał sobie, że dopada tego podstarzałego rewolwerowca i kopie go z całej siły w jaja. Gdyby tylko tamten chociaż na moment przestał go trzymać na muszce. Bóg chyba zlitował się nad Parottim, bo Calthrop położył rękę na udzie, a lufa rewolweru skierowała się w dół. Nowojorski Włoch nie zdążył podziękować stwórcy, ponieważ w tej

samej sekundzie rzucił się na intruza. Jego mózg przestał pracować, a pięści wyskoczyły gwałtownie do przodu. Czuł, że musi wygrać.

Zdziwienie pojawiło się dopiero po kilkunastu minutach, kiedy odzyskał przytomność. Na jego głowę spadł strumień zimnej wody z wazonu. Dopiero teraz Parotti uświadomił sobie, że mógłby już gryźć ziemię, gdyby nie cierpliwość Calthropa. Wyłącznie opanowaniu prześladowcy zawdzięczał swoje przebudzenie. Calthrop, nie ruszając się z fotela, uderzył go w brzuch wyprostowaną nogą. Zrobił to tak nagle i z tak potworną siłą, że atak Parottiego mógł wzbudzić tylko śmiech.

– To nie było potrzebne – Calthrop powiedział to takim tonem jakby chciał zasugerować zupełnie coś innego.

– Czego pan chce? – zapytał Parotti zrezygnowanym głosem. – Co to za zwariowany pomysł z tym Nowym Jorkiem? W dodatku chce pan ściągnąć tu Monikę... Po co?

– Dowiesz się, kiedy wylądujemy na lotnisku Kennedy'ego. Jesteś całkiem bezpieczny i nie musisz się niczego obawiać. Jeżeli nie będziesz się wygłupiał, wszystko dobrze się skończy. W przeciwnym razie zabiję cię lub zrobi to Sabatini. Przypuszczam, że wykastrowałby cię jak młodego byczka. Masz jakieś wątpliwości?

Parotti tylko pokręcił głową i ciężko opadł na łóżko. Calthrop popatrzył na niego przez dłuższą chwilę, jakby oceniał, czy szczeniak już dojrzał.

– Chodź ze mną – rozkazał, pokazując ręką łazienkę. – Nie bój się, nie jestem pedziem – dodał, widząc szeroko otwarte oczy Parottiego. – Tam spędzisz noc.

Przykuł chłopaka kajdankami do kranu, rzucił mu do wanny poduszkę i koc, po czym spokojnie położył się spać. Mimo że ścięła

go w tej chwili policja całego Paryża i ludzie Sabatiniego, o czym doskonale wiedział, zasnął prawie natychmiast. Jego nerwy wciąż były zdrowe, a dłonie nigdy nie pocily się.

Mężczyzna, który oparł się o stół w recepcji hotelu „Biron”, był nienagannie ubrany i jak niewielu gości pasował idealnie do zabytkowego wnętrza. Recepcjonista uklonił się na jego widok i patrzył wyczekująco. Miał wyrobione oko i nieomylnie potrafił odróżnić klasę gościa.

– Dobry wieczór. Poszukuję przyjaciela, który miał się tutaj zatrzymać – odezwał się elegancki przybysz. – Czy pan Charles Calthrop zameldował się już u was? To dżentelmen i nie powinien się spóźnić. Mam nadzieję, że pojawił się tutaj przede mną.

Uprzejma twarz recepcjonisty stopniowo zmieniała swój wyraz. Najpierw nie spodobał mu się akcent gościa, później bezbarwny wzrok. Kiedy wreszcie z ust tamtego padło nazwisko Calthropa, recepcjonista zacisnął zęby i skinął ręką na stojących w holu dwóch mężczyzn. Zanim gość skończył mówić, zdążyli już stanąć za nim i dokładnie mu się przyjrzeć.

– Pan pozwoli z nami – odezwał się niższy, z rzucającą się w oczy łysiną. – Interpol – dorzucił szeptem, pokazując legitymację.

Elegancki mężczyzna nawet nie mrugnął. Agenci nie wyczytali z jego twarzy ani odrobiny zaskoczenia. Wydawało się, że czekał tu na nich i z ulgą przyjął ich obecność.

Wyszli na ulicę. Obaj agenci szli po obu stronach zatrzymanego i nie spuszczała go z oczu. Kiedy zbliżali się do samochodu, eleganckik wykonał błyskawiczny skok do przodu, okręcając się w locie, po czym odbił się z obu nóg i zadał im dynamiczne uderzenia w twarz.

Agenci upadli na chodnik z taką siłą jakby zderzył się z nimi pociąg pośpieszny relacji Paryż – Bonn. Kilka godzin później lekarze stwierdzili u nich naruszenie podstawy czaszki i wstrząs mózgu.

Nieznamy oddalił się pośpiesznie, nie zauważając, że w samochodzie agentów drzemał kierowca. Kiedy otworzył oczy i zobaczył co się stało, nie wysiadł lecz chwycił za radiotelefon i zaczął niecierpliwie wywoływać biuro. W tym samym czasie nie spuszczał z oczu uciekiniera.

– Czarny garnitur, biała koszula, muszka... Wiek około czterdziestki... Prawdopodobnie siwawy. Z wyglądu raczej mikry, chudy... Wsiadł do samochodu. Odjeżdża...

Kierowca przestał mówić i odczekał aż czerwony renault alpine turbo zbliży się do niego, przejedzie obok i skieruje się na rue de Varenne. Zdołał zauważyć numer rejestracyjny i zaciśnięte na kierownicy ręce tamtego.

– Jedź za nim – usłyszał rozkaz Fuche'go. – Postaramy się do ciebie dołączyć. Informuj na bieżąco, którądy jedziecie...

Fuche poderwał na nogi wszystkich agentów, jakich miał pod ręką. Siedmiu ludzi rzuciło się do swoich samochodów i po chwili zarzynając silniki, pędziło w kierunku uciekającego renaulta. Kilka minut później dołączyła do nich paryska drogówka i pościg rozpoznał się na dobre.

Lebel, którego Fuche natychmiast poinformował o wszystkim, wybiegł z domu w krótkich spodenkach i piżamie. Wystartował jakby mu przyłożono do karku gorący pogrzechacz. Był średnim kierowcą, ale w takich przypadkach nie potrafił się oszczędzać. Naciskając raz za razem klakson, kluczył pomiędzy samochodami i z piskiem opon hamował na chodnikach. Miał sporo szczęścia, że

nikogo nie przejechał. Radiotelefon miał włączony, więc stale dochodziły do niego informacje jak przebiega pościg. Uciekinier jechał dokładnie w jego kierunku. Lebel miał coraz większą nadzieję, że uda mu się zablokować tamtemu drogę.

Lebel znajdował się na rue Froidevaux i najchętniej zamknąłby oczy. Jego stopa wciskała gaz z taką siłą, że samochód mógł w każdej chwili roztrzaskać się na pierwszym lepszym zakręcie.

– Lebel – usłyszał w radiotelefonie głos Fuche'go. – Jedziemy za nim w kierunku rue la Tombe Issoire. Spróbuj zablokować mu drogę.

– Mam małe szanse. Wpakowałem się w jakiś korek – odpowiedział Lebel, zjeżdżając na chodnik. Przechodnie rozbiegli się w popłochu na boki, a mocno wstawiony młodzieniec uznał ten wy czyn za godny splunięcia pod własne nogi.

Na skrzyżowaniu z Bulwarem Saint Jacques Lebel stracił panowanie nad samochodem i zamiast blokady zrobił kółko, zatrzymując się na ładzie samarze z belgijską rejestracją. Otrząsnął się, machnął ręką na zbierających się ludzi i pobiegł w stronę pościgu. Nie miał z tym problemu, ponieważ syreny policyjne wyły już z daleka, a uciekinier mrugał światłami, ostrzegając jadących przed nim kierowców.

Wariat, przemknęło przez myśl Lebelowi, kiedy czerwony re-nault alpine mignął mu przed oczami. Wariat albo świetny kierowca, poprawił się po kilku sekundach. Tuż obok niego zahamował gwałtownie zielony ford sierra Fuche'go. Lebel wskoczył do środka i poczuł natychmiast, że szybkość wciska go w siedzenie. Zapiął pasy i sięgnął do schowka po pistolet.

– Przestraszysz go, Lebel – zaśmiał się Fuche na widok gołych nóg kolegi. – Dobrze, że przynajmniej zabrałeś górę od pizamy...

Wjeżdżamy na Boulevard Jourdan – zawołał do radiotelefonu.

Za nim pojawiły się dwa wozy policyjne.

– Przy Avenue d'Italie będzie blokada – usłyszeli nawoływania i przeraźliwy warkot ciężkiego samochodu ciężarowego. – Uważajcie, z tyłu macie drugi kontener!

U góry pojawił się policyjny helikopter, z którego rozległ się głos nawołujący do zjeżdżania na bok. Większość kierowców zaczęła skręcać w przyległe uliczki lub na chodnik.

– Kierowca czerwonego renaulta alpine! Proszę się zatrzymać! Proszę się zatrzymać! – cierpliwie wołał policjant w helikopterze.

– Nie stanie – warknął Fuche. – Ten skurwiel już dwa razy ominął kolczatkę. Calthrop ma sympatycznych znajomych...

Lebel wyjął mu z ręki mikrofon i powstrzymując atak suchego kaszlu zawołał:

– Chcę mieć tego faceta żywego! Tu Lebel, tu Lebel... Ten gość musi żyć! Czy w helikopterze jest snajper?

– Nie ma – policjant z drogówki powiedział to takim tonem jakby Lebel zaproponował mu pójście do łóżka.

– Cholera – teraz głos Lebela przypominał pocieranie garnka piaskiem.

– Przed wami blokada! Uwaga! Przed wami blokada! – krzyczał przez radiotelefon jakiś głos.

Lebel odruchowo spojrzął na licznik. Jechali z szybkością prawie dwustu kilometrów a Fuche zachowywał się tak, jakby zdrzemnął się na chwilę przed telewizorem. Nikt w sekcji Lebela nie miał wątpliwości, że umiejętności rajdowe Fuche'go są duże, ale tym razem mogły nie wystarczyć. Tak przynajmniej myślał Lebel.

Dwieście metrów przed kontenerem blokującym drogę czerwony renault alpine zaczął hamować, sto metrów dalej uciekający skręcił gwałtownie kierownicę, przestawiając wóz o sto osiemdziesiąt stopni do kierunku jazdy. Policjanci w helikopterze zdawali się tylko na to czekać. Czyjeś ręce rzuciły w dół cztery pięciolitrowe pojemniki z olejem. Uderzyły w asfalt tuż przed uciekającym samochodem. Fuche zatrzymał swojego forda kilkanaście metrów od wielkiej olejowej plamy, na której renault próbował nabrać szybkości. Obróciło go dwa razy, uderzył bokiem w krawężnik, po czym sprytnie próbował stopniowo się rozpędzić. Zanim jednak to zrobił, otoczyło go siedem wozów, z tego cztery należące do agentów Interpolu.

Policjanci wycofali się dyskretnie po dziesięciu minutach, zostawiając przestępcę w rękach kolegów ze służb specjalnych. Po piętnastu minutach na miejscu pozostali tylko trzej pracownicy miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania. W ciągu kolejnych piętnastu minut plama oleju została usunięta i na Boulevard Jourdan ruch samochodów został całkowicie odblokowany.

31 sierpnia, w czwartek, punktualnie o godzinie dziesiątej, Jim Parotti nie na żarty przestraszył swoją kochankę, Monikę Sabatini, kiedy odmówił pójścia z nią do łóżka. Włożyła mu rękę w spodnie, ale zanim poczuła twardość jego organu, wyrwał się i nerwowo posadził ją w fotelu.

- Kochanie – skamlał śmiesznie. – Dziś nie mogę. Dziś chcę cię widzieć tylko przez chwilę, bo inaczej nie wytrzymam i pójde skopać tego starego łajdaka Sabatiniego.
- Może jednak moglibyśmy...
- Nie – miotał się po pokoju Parotti. – Chcę wyjechać, ponieważ

zamierzam tu jeszcze wrócić i załatwić tę sprawę do końca. Będziesz moją żoną, choćby to miasto miało zamienić się w poligon wojskowy...

– Co ci się stało, kochanie? Nigdy tak do mnie nie mówiłeś.

– Podjąłem decyzję – wargi młodzieńca wykrzywiły się w sposób, który miał oznaczać twardego faceta. – Wyjadę dziś i wrócę za tydzień. Nie pytaj mnie, co chcę zrobić, bo i tak ci nie powiem. Myślę, że dorosłem już do pewnych rzeczy...

Objęła go w pasie i pocałowała nie zamykając oczu. Instynktownie wyczuwała nienaturalność ich pożegnania, ale tłumaczyła to młodym wiekiem Parottiego i całą sytuacją. W końcu Sabatini i Gambino mogli wszystko odkryć, a wówczas byłiby z pewnością bezlitośni. Wydawało jej się, że zaczyna rozumieć rozdrażnienie i chłopcę przekorę Jima Parottiego.

– Dobrze – westchnęła. – Niech będzie jak chcesz. nTylko pilnuj się, proszę. Nie zrób jakiegoś głupstwa, bo...

Zatkał jej usta dłonią i sentymentalnie spojrzał w oczy.

– Chcę ci coś ofiarować – powiedział cicho. – Przyrzeknij, że otworzysz to dopiero w samochodzie, kiedy mnie już nie będzie przy tobie. To drobiazg, ale powinien ci się spodobać...

Parotti mówił to wszystko z silną egzaltacją. W innych warunkach Monika Sabatini może zwróciłaby na ten fakt uwagę, teraz jednak było jej żal chłopaka i liczyło się tylko to, że są razem. Zupełnie innego zdania był Charles Calthrop, który ukrył się, jak poprzednio, za firanką, w której dodatkowo wyciął mały otwór. Z trudem hamował śmiech, widząc Parottiego w roli romantycznego kochanka. W dodatku nagły ascetyzm seksualny Włocha bardzo go zaskoczył. Sądził, że tego rodzaju mężczyźni mogą się kochać

z kobietami nawet na przystanku autobusowym lub w metrze. A tymczasem Parotti wstydził się go.

Calthrop patrzył jak pani Sabatini bierze z rąk Parottiego eleganckie pudełeczko z prezentem i ze spuszczoną głową wychodzi z pokoju. Parotti, jak mu Calthrop nakazał, pozostał na miejscu. Siedział w bezruchu i tępo patrzył w podłogę. Po chwili usłyszeli trzaskanie drzwiami. Zostali sami.

– Obawiam się chłopcze, że kariery aktorskiej nie zrobisz – powiedział Calthrop, wychodząc zza firanki. – Przygotuj się. Za godzinę jedziemy na lotnisko.

Parotti obojętnie skinął głową, ale jego oczy patrzyły z nienawiścią. Przysięgł sobie w duchu, że po przylocie do Nowego Jorku zadba o to, aby jego prześladowca został odpowiednio ukarany. Na tamtym terenie miał przyjaciół, którzy z pewnością nie odmówią mu takiej przysługi.

W jednej z wilgotnych piwnic paryskiego biura Interpolu Brian Smith nie mógł zdecydować się, jak ma postąpić. Agent, który go przesłuchiwał zaraz po schwytaniu, pytał przede wszystkim o Calthropa. Milczenie Smitha podsumował groźbą, która prawdopodobnie nie była czczym gadaniem. Przez całą noc i przedpołudnie nikt do więźnia nie zajrzał. Nie przyniesiono mu nawet jedzenia i czegoś do picia. Smith znał te sposoby. Chodziło o to, żeby aresztant szybko skruszał i zaczął mówić.

Około pierwszej po południu do piwnicy wszedł Antoine Lebel w towarzystwie swojego współpracownika, Fuche'go. Obaj agenci wyglądali tak, jakby ich wymemlał w zębach tygrys. Lebel miał na sobie ubranie niejakiego Clauda, męża swojej sekretarki. Pani Claud

pracowała w biurze francuskiego Interpolu od ponad dziesięciu lat i nic jej już nie dziwiło. W ciągu kilku dni potrafiła bezbłędnie ocenić każdego nowo przyjętego agenta i odpowiednio z nim postępować. Dla niektórych była miła i wylewna, dla innych zasadnicza i nieprzystępna, a dla Lebela po prostu opiekuńcza. Część pracowników biura uważała ją za kochankę małego Antoine'a. To dzięki niej Lebel nie musiał być przewidujący bardziej niż to było konieczne.

Fuche ubrany był w przybrudzony garnitur, a jego koszula i krawat sprawiały wrażenie dadaistycznego malowidła. Mimo to barczysty współpracownik Lebela prezentował się o wiele lepiej od swojego kolegi. Miał szczęście być właścicielem twarzy, która nawet z dziesięciokilogramowymi workami poniżej oczu mogła się kobietom podobać.

Smith zareagował na ich widok wymownym spojrzeniem.

– Ma pan dziesięć minut na dogadanie się z nami – powiedział z naciskiem Lebel. – Skąd pan zna Calthropa?

– W tej chwili nie mam ochoty na żarty – zaśmiał się ironicznie Smith. – Czy nie macie zwyczaju karmić więźniów?

– Stracił pan dwadzieścia sekund – wtrącił beznamytnie Fuche.

– Jak na faceta, który uciekał przed policją i wiózł w bagażniku kilogram marihuany jest pan w dobrym nastroju...

– Co! – Smith aż podskoczył w górę. – Chcecie mnie wpakować w handel narkotykami? Nie uda wam się...

– Są świadkowie i zeznania, że w pańskim samochodzie znaleźliśmy marihuanę – ciągnął niewzruszony Fuche.

– Z tego miejsca możemy wyjść jako współpracownicy lub jako wrogowie. Pan wylądzuje w więzieniu na długie lata, panie Smith.

Taki upór utrudnia nam porozumienie się.

– Czego chcecie? – warknął Smith i obaj agenci wyczuli, że pokłnął haczyk.

– Skąd znasz Calthropa? – Lebel zaczął mówić więźniowi po imieniu.

Smith postanowił mówić. Powiedział o Leragerze i jego zleceniu. W szczegółach opisał strzelaninę z Calthropem i swoje przypadkowe ocalenie. Lebel nie przeszkadzał mu i uważnie słuchał. Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic poza konsternacją. Dopiero kiedy Smith skończył opowiadać, Lebel zastukał w drzwi i kazał przynieść do piwnicy śniadanie dla więźnia. Historia Charlesa Calthropa zaczynała się stopniowo wyjaśniać. Poza telefonem z lotniska i informacją o kolumbijskim zakonniku, Rogerze Calthropie, Interpol od godziny wiedział o tragicznej śmierci Moniki Sabatini. Ładunek wybuchowy ukryty w małym pudełku był na tyle silny, że rozerwał żonę paryskiego mafioso na drobne kawałki. Lebel nie łudził się, że był to przypadek. Od początku uważał, że w ten sposób Calthrop zaatakował Sabatiniego. Motyw tego morderstwa nie był dla niego dostatecznie jasny.

Próbował ukryć przed sobą, że tajemniczy zawodowy zabójca trochę go rozczarował. To nie w jego stylu, myślał usilnie starając się znaleźć rozwiązanie zagadki: dlaczego właśnie żona a nie sam Sabatini?

– Zastanawia mnie tylko twoje cudowne ocalenie – powiedział powoli do Smitha. – Jak to możliwe?

– Proste – odparł Smith, odsłaniając brzuch i ręce. – W śrucie była kurara, a właściwie jej preparat. Facet nafaszerowany tym świństwem wygląda jak martwy. Dlatego Calthrop wrzucił mnie do

helikoptera i odleciał. Możecie sobie popatrzeć na blizny... Są jeszcze świeże.

– A helikopter? – zapytał Fuche.

– Możecie go obejrzyć. Zatonął w bagnie tylko do połowy – Smith tłumaczył się szybko i pewnie. – Każcie to sprawdzić, jeżeli mi nie wierzycie. W środku powinny być trupy Dolorsa i Lane'a.

– Czego chcesz od Calthropa? – mruknął zmęczonym głosem Lebel.

– Zabiję go – odpowiedział bez cienia wahania Smith. – Wy-myśliłem dla tego gościa bardzo ładną śmierć – mężczyzna oblizał z nienawiścią wargi.

– To możliwe – powiedział prawie automatycznie Lebel. – Teraz jednak popracujesz z naszymi ludźmi nad jego portretem. Postaraj się, Smith.

Kiedy więzień rzucił się łapczywie na jedzenie i kawę, Lebel i Fuche znajdowali się już w windzie. Na górze czekał na nich Suchet. Stał oparty o drzwi i przebierał palcami w paczce papierosów.

– Najpierw wyzwał mnie od skurwysynów i leniów – powiedział tajemniczo, kiedy weszli do jego gabinetu. – Potem zwymyślał Saksona. Wreszcie kazał nam jak najszybciej wyjaśnić sprawę Calthropa. Przypuszczam, że kolesie Sabatiniego ostro się do naszego ministra zabrali i teraz on weźmie się za nas. Tak się jednak składa, że jest mi to na rękę i postaram się nie zawieść naszego przełożonego. Liczę na was, panowie.

Lebel nie odezwał się, patrzył łakomie na filiżankę z kawą, stojącą na biurku Sucheta. Fuche przeciągnął się z wyraźną ulgą. Dopiero teraz naprawdę mógł zacząć działać.

– Lebel, wyjedźcie pan jeszcze dziś – dokończył Suchet. – Musi

pan odnaleźć tego drugiego Calthropa i zorganizować jego przyjazd do Paryża. Był pan już w Kolumbii, prawda?

Pytanie zostało postawione raczej retorycznie, ponieważ Lebel zwiedził w ciągu wielu lat swojej pracy w Interpolu prawie cały świat.

– A Fuche – Suchet pokazał palcem agenta. – powęszy na miejscu. I ostrzegam, że jeżeli Calthrop zastrzeli Sabatiniego, może to być nasza ostatnia rozmowa. Mam nadzieję, że nie muszę tłumaczyć co to oznacza.

Kiedy rysopis Calthropa dotarł na lotnisko w Orly, morderca znajdował się od dwóch godzin na pokładzie samolotu do Nowego Jorku. Agenci Interpolu i wydział kryminalny komisarza Saksona przeczesywali lotniska, hotele, dworce, restauracje i ulice. Z portretem Calthropa zapoznano kilkudziesięciu policjantów oraz drugie tyle prostytutek. Z każdą godziną powiększał się krąg pracowników teatrów, kin, kasyn i nocnych klubów, którzy wśród swoich gości wypatrywali płatnego zabójcy. Ludzie, których ze względu na podobieństwo zatrzymano i sprawdzano, okazywali się jednak niewinni.

Dopiero kilka minut po godzinie jedenastej w nocy jeden z recepcjonistów hotelu „Crillon” coś sobie przypomniał. Długo patrzył na portret pamięciowy Calthropa, po czym wahając się powiedział:

– Wydaje mi się, że ten pan u nas mieszkał – podniósł wzrok na młodego agenta Interpolu, który zawisł dosłownie wzrokiem na jego ustach. – Twarz podobna. Nie jestem pewien, ale to mógł być ten człowiek. Oczywiście mogą się mylić, pan rozumie, tyłu mamy gości każdego dnia...

– W którym pokoju mieszkał i jak się nazywał? – przerwał niecierpliwie agent.

Recepcjonista wziął książkę meldunkową do rąk i wodząc palcem od góry do dołu sprawdzał poszczególne nazwiska. Zrobił to kilkakrotnie, ale nie mógł się zdecydować. W końcu rozejrzał się po hallu i gestem ręki zawołał hotelowego.

– Dobrze., że już jesteś – powiedział z nutką nadziei w głosie. – Czy pamiętasz dobrze naszych gości, Ivo?

Detektyw, który niczemu się nigdy nie dziwił, spojrzał na stojącego obok agenta i pokiwał głową. Widząc jednak, że to nie wystarczyło, burknął:

– Wszystkich. Ich buźki śnią mi się po nocach... Nie znam tylko tych, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zameldowali się w naszym hotelu.

– A tego? – wtrącił agent, podsuwając mu pod nos zdjęcie z portretem Calthropa.

– Był tu taki – detektyw nie odrywał oczu od zdjęcia. – W każdym razie podobny. Silny, barczysty facet. Taki dobrze zakonserwowany typ.

– Zastanawiam się czy to nie był ten agent reklamowy – powiedział niepewnie recepcjonista. – Ten Brown, Robert Brown. Tak się nazywał.

– Masz rację – potwierdził detektyw. – To może być podobizna tego Browna. Chociaż Brown był młodszy. Ten na zdjęciu wygląda raczej na starszego gościa.

– Portret może zniekształcać – dodał agent. – Kiedy się wprowadził?

Recepcjonista przekartkował szybko książkę i odpowiedział:

– Zameldował się rano 29 sierpnia. Zwolnił pokój 30 o szóstej po południu. A więc wczoraj...

- Aha, ten Brown miał wąsy – przypomniał sobie detektyw.
- Można przykleić lub zapuścić – głos agenta zdradzał, że myślnami jest już gdzie indziej.

Poszukiwania Roberta Browna, obywatela amerykańskiego, jakie rozpoczęły się kilkanaście minut później, nie mogły w najmniejszym stopniu zagrozić Calthropowi. Wiedział, że Interpol szybko odnajdzie jego fałszywe nazwisko na liście pasażerów do Nowego Jorku, ale będzie to działanie spóźnione.

Calthrop, jadąc żółtą, nowojorską taksówką w towarzystwie Jima Parottiego, czuł się całkowicie bezpieczny. Tylko on wiedział, że Mr Brown umarł na lotnisku Kennedy'ego w chwili, gdy jego paszport został podarty w kawałeczki i wrzucony do klozetu.

4.

Srebrny, sześciordzwiowy lincoln z miejscową rejestracją zatrzymał się płynnie na rogu Pięćdziesiątej Piątej Ulicy i Piątej Avenue. Padał gęsty deszcz i ulice Nowego Jorku przypominały zęby rekina zawinięte w falujący muślin. Gwałtowne podmuchy wiatru z brzękiem uderzały o blachę i szyby samochodu. Nieliczni przechodnie kryli się pod parasolami lub kurczowo krzywili twarze za postawionymi kołnierzami.

Pierwszy wysiadł kierowca. Ubrany był w długi prochowiec i przypominał byka, który zaraz weźmie kogoś na rogi. Nie zwracał uwagi na deszcz, tylko uważnie rozglądał się po chodnikach i oknach najbliższych domów. Jego lewa ręka ani na moment nie wysunęła się z kieszeni płaszcza. Zastrzeliliby natychmiast każdego, kto wykonałby jakikolwiek podejrzany ruch. W końcu zatrzymał spojrzenie na St. Regis Hotel i szybko otworzył tylne drzwi samochodu. Ze środka wysunęła się najpierw parasolka, a zaraz potem męski but. Z drugiej strony samochodu wysiedli błyskawicznie jeszcze dwaj ludzie i po chwili wszyscy czterej pośpiesznie wbiegli do hotelowego hallu.

Luciano Parotti pomógł swojemu szefowi, Frankowi Gambino, zdjąć płaszc i spojrzeniem nakazywał kierowcy pozostać w samochodzie. Osobisty goryl starego Gambino, ciemnoskóry mężczyzna z

Sycylii, zwany Combo, oddał płaszcz w szatni i pierwszy wszedł do zacisznego baru. Wrócił po kilkunastu sekundach.

– W porządku, szefie – powiedział suchym dyszkantem. – Cze-ka na pana.

– Zostań tu, Combo – rozkazał Frank Gambino i pierwszy wszedł do baru.

– Miej oczy – dorzucił cicho Parotti i ruszył za swoim szefem.

W barze było niewiele osób. Pora została wybrana właściwie, ocenił Parotti. Do lunchu pozostała jeszcze godzina i jak na razie krzeselka przy stolikach stały puste. W środku sali, blisko okna, siedzieli dwaj mężczyźni pogrążeni w milczeniu. Jednym z nich był Calthrop, drugim Jim Parotti.

Brzydka, pokiereszowana twarz Luciano Parottiego nawet nie drgnęła na widok syna. Niepokój eksplodował gdzieś w środku głowy, ale doświadczony mafioso doskonale potrafił to ukryć.

Calthrop wstał i uprzejmie uściśnął dłoń Frankowi Gambino. Stary szef jednego z najpotężniejszych syndykatów zbrodni w Ameryce uśmiechnął się lekko, co miało oznaczać, że docenia gest Calthropa. Jego oczy prześlizgnęły się po sylwetce zawodowego mordercy i zatrzymały na młodym Parottim.

– Dzień dobry, Jim – powiedział słodkim głosem. – Długo się nie odzywałeś. Niepokoiłiśmy się o ciebie, chłopcze.

– Musiałem wyjechać, don Gambino – odezwał się młodzieniec, nie podnosząc oczu. – Miałem problemy...

– Cóż – przerwał Gambino. – Wielka szkoda, że nie zwróciłeś się do mnie o pomoc. Wiesz, że z twoim ojcem jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni i niczego nie mógłbym ci odmówić.

– To była osobista sprawa...

– Rozumiem – skinął głową stary, ale jego chuda, końska twarz wyraźnie zszarzała. – Pan Calthrop zapewne nie spotkał się z tobą przypadkiem, prawda?

Jim Parotti nie odpowiedział. Spojrzał na Calthropa i w jego oczach pojawił się lęk. Wiedział, że jego przyszłość rozstrzygnie się za kilkanaście minut i rozwścieczał go fakt, że ktoś zrobi to za niego. Wściekłość jego była tym większa, im jaśniej zdawał sobie sprawę z własnego położenia.

– Panie Gambino – odezwał się cicho Calthrop – przykro mi, że ten młody człowiek jest pana dobrym znajomym. Przez swoją naiwność skomplikował bardzo wiele spraw. Zbyt wiele powiedział i przez to zabito moją matkę. Mógłbym go zastrzelić ale na to jest przecież zawsze czas. Chcę wiedzieć dlaczego właśnie pan zainteresował się moją osobą.

– Proszę nic nie ukrywać – powiedział nagle Luciano Parotti. – Chcę znać prawdę o moim synu.

– Dobrze – zgodził się Calthrop. – Jim ma w Paryżu kochankę, której opowiedział o waszym zamiarze zlecenia mi pewnej roboty. Ta kobieta przekazała to swojemu mężowi, który postanowił nasłać na mnie swoich ludzi i chwilowo unieszkodliwić. To się nie udało, ale zginęła niewinna kobieta. Domyślcie się panowie, że od tamtej chwili nie jest to dla mnie wyłącznie zawodowy problem.

– Nazwisko tej kobiety – Gambino podniósł brwi, a jego oczy zrobiły się bardzo blade.

– Monika Sabatini...

– Zabiję cię – jęknął młody Parotti, ale nie poruszył się z miejsca. – Przysięgam, że zabiję cię, ty gadzie.

Frank Gambino nie odezwał się ani słowem. Patrzył przeciągle na Jima Parottiego i wszyscy przy stoliku wiedzieli, co ta cisza oznacza.

Luciano Parotti poruszył się jakby chciał wstać, a jego potężne pięści zacisnęły się pod stołem. Nie mógł znieść, że jego ukochany syn był zdrajcą i w dodatku okazał całej rodzinie brak szacunku. Nie mieściło się mu w głowie, że tak właśnie mógł postąpić Włoch, człowiek, którego ojciec był szanowanym obywatelem Ameryki. Gdzie była wdzięczność za opiekę i ochronę? Czyżby tak łatwo zapomniał o życzliwości don Gambino dla całej rodziny Parottich? Dla Luciano Parottiego było to coś gorszego niż zwykły donos na policji. Zdrada interesów syndykatu i zdrada dona, bo tak właśnie rozumiał romans syna z byłą żoną szefa, to wszystko zasługiwało tylko na jedną karę.

– Ta kobieta już nie żyje – powiedział spokojnie Calthrop i położył na obrusie najnowszy numer „Le Figaro”. – To było konieczne.

Młody Parotti chwycił gazetę w obie ręce i nerwowo zaczął czytać krótką wiadomość. Kiedy skończył, wyglądał tak jakby przez rok nie opuszczał sauny.

– To nie koniec – kontynuował Calthrop. – Jej mąż zaangażował ludzi, którzy próbują mnie znaleźć i zastrzelić. Poinformował o mnie policję i Interpol. Mam nadzieję, że po śmierci żony zmieni zdanie. Wiem natomiast na pewno, że Interpol o mnie nie zapomni i będzie mnie szukał aż do skutku. Mam na swoim koncie sporo trupów i mógłbym mieć jeszcze jednego, ale postanowiłem oddać wam waszego człowieka. Sami będziecie wiedzieli najlepiej, co z nim zrobić.

– Jim – syknął stary Gambino – idź do samochodu i zaczekaj tam.

Parotti junior pochylił się i odwinął nogawkę spodni. Jego palce objęły ostrożnie niewielkie pudełko przyklejone plastrem do łydki. Gambino i Parotti również zajrzeli pod stół. Calthrop dostrzegł ich pytające spojrzenie.

– Ładunek wybuchowy – powiedział beznamiętnie morderca. – Reaguje na impuls elektryczny. To był jedyny sposób, żeby nie próbował ucieczki.

Kiedy młody Parotti wyszedł z baru, Calthrop spojrzął dyskretnie na zegarek. Obaj mafiosi zauważyli to spojrzenie i przystąpili do ubijania interesu.

– Pewni ludzie chcą przejąć interesy naszego syndykatu – zaczęła Gambino. – Od blisko roku nasze wpływy z handlu narkotykami zmniejszyły się o jedną czwartą. Domyśla się pan, co to oznacza. Powiedziano mi, że jest pan człowiekiem, który mógłby nam pomóc.

– Kim są ci ludzie? – zapytał Calthrop.

– Nie wiem – wtrącił się Parotti. – Próbowaliśmy już kilka razy i wszystko na nic. W tej chwili wiemy na pewno, że ich baza mieści się w Sao Paulo, w Brazylii. No, nie jest pan pierwszy. Ci przed panem nigdy się już nie odezwali do nas. Za to my znajdujemy sporo trupów wśród naszych zaufanych ludzi. Szczególnie w portach i na lotniskach. Najczęściej znikają nasi pośrednicy. Proszę się nie dziwić, ale w naszym środowisku jest to zwyczajna wojna. A my nie chcemy tej wojny przegrać. Poza tym zależy nam na dyskrecji. Minęły już czasy, kiedy po ulicach płynęła nasza i policyjna krew. Teraz robi się to po cichu. Nikomu nie zależy na zbytnim rozgłosie. Mamy swoje interesy i pragniemy spokoju, panie Calthrop. Jeżeli pan się zgodzi, otrzyma pan do dyspozycji wszystkie nasze środki, a nie muszę mówić, że są one bardzo potężne.

– Wiem – zgodził się Calthrop. – Milion dolarów plus kosztą dodatkowe. To moja cena.

– W porządku – kiwnął głową Frank Gambino.

– Kto wie o naszej rozmowie? – zapytał Calthrop.

Stary mafioso nie okazał zdziwienia i rzeczowo odpowiedział:

– Poza mną i szefem moich żołnierzy – tu skinął na Parottiego – mój osobisty kierowca i obstawa. Nie licząc Jima, oczywiście.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak wyrok. Calthrop nie wydawał się przekonany, bo popatrzył na obu gangsterów z odcieniem wyczekiwania.

– Wiedzą o naszej rozmowie ludzie z syndykatu – dodał niechętnie stary Gambino. – Czy muszę podawać ich liczbę?

– Nie – odpowiedział Calthrop, wstając z miejsca. – W nagłych przypadkach zostawiajcie mi informacje pod tym numerem. – Wyjął z kieszeni kartkę z telefonem i przez chwilę trzymał ją przed oczami Parottiego. Kilkucyfrowy numer nie był łatwy do zapamiętania. Parotti powtórzył sobie w pamięci wszystkie cyfry i potwierdził, że zapamiętał.

To samo zrobił don Gambino. Kartka zniknęła w kieszeni marynarki Calthropa.

– Mam jeden warunek – dodał Calthrop. – Chcę, abyście zajęli się Sabatinim. Interpolem sam się zajmę.

– To nie będzie trudne – odpowiedział szybko Gambino. – Muszę jednak wiedzieć, czy nie zamierza pan zabić Sabatiniego. On będzie o to pytać. Czy pana zemsta została już zaspokojona? Czy krew jego żony wystarczy?

– Tak. Ona była winna i dlatego musiała zginąć. Sabatini był tylko narzędziem. Jeżeli to zrozumie, może być o swoje życie spokojny. W przeciwnym razie zabiję go – stwierdził beznamiętnie.

Don Gambino patrzył na twarz Calthropa i usilnie starał się odgadnąć, co naprawdę skłoniło go do przyjęcia kontraktu. Domyślał się, że nie były to pieniądze. Wszystko wskazywało na to, że nie była to również zemsta. Calthrop zabił Monikę Sabatini i prawdopodobnie

uznał, że załatwił sprawę. Dlaczego jednak nie zastrzelił młodego Parottiego? Dlaczego naraził się na to, że tamten poznał jego twarz? Czy jest całkowicie przekonany, że rodzina Gambino nie wybaczy Jimowi Parottiemu zdrady i zabije go? Skąd ta pewność? A może jakaś gra, jakaś podstępna improwizacja lub przemyślany plan? Don Gambino uśmiechnął się, co wcale nie uczyniło jego twarzy przyjemniejszą, i zapytał wprost:

– Calthrop, dlaczego pan ten kontrakt przyjął? Dlaczego zaryzykował pan i młody Parotti żyje?

Brwi mordercy uniosły się wysoko w górę i w jego oczach można było zobaczyć zdziwienie. Ten jeden bardzo wyrazisty gest upewnił obu Włochów, że Calthrop traktuje tę sprawę jak każdą inną.

– Jestem zawodowym mordercą, don Gambino – słowa Calthropa brzmiały naturalnie i szczerze. – Interesował mnie człowiek, który zadał sobie trud i odnalazł mnie na mojej wyspie. Zdaję sobie sprawę, że nie było to łatwe. Chłopaka nie zabiłem, ponieważ wiedziałem, że pan to zrobi. Wbrew temu co ludzie myślą o moim zajęciu, ja nie lubię zabijać. Czy ta odpowiedź pana zadowala?

Stary mafioso skinął głową, ale zrobił to z pewnym rozczarowaniem. On sam bardzo lubił zabijać i robiłby to nadal, gdyby nie jego pozycja. Ojciec rodziny Gambino wyżywał się na polowaniach w górach. Był kiepskim strzelcem, ale nigdy nie rezygnował. Potrafił godzinami ścigać swoją ofiarę, aż padła martwa. W jego gabinecie znajdowało się kilkadziesiąt wypchanych głów niedźwiedzi, lwów, kozłów, tygrysów i bawołów. Tajemnica myśliwskich sukcesów Franka Gambino tkwiła w broni, jaką się posługiwał. Był to nowoczesny karabin maszynowy M 16.

Calthrop wstał, obrzucił wzrokiem wchodzących gości i wyszedł z baru. Z rękami w kieszeniach opuścił hotel i wolnym krokiem ruszył w kierunku pobliskich sklepów. Od ściany po przeciwnej stronie ulicy oderwały się cztery barczyste sylwetki i podążyły za nim. Calthrop nie domyślał się nawet, że Jim Parotti zlekceważył polecenie dona i nie wsiadł do limuzyny.

Pięć minut później Frank Gambino osobiście stwierdził nieobecność młodego Parottiego. Po raz pierwszy w życiu twarz mafioso zrobiła się sina z wściekłości, a w kącikach ust pojawiły się banieczki piany. To już nie był brak szacunku, to było zwykłe lekceważenie. Gambino odwrócił się do swojego capo i wycharczał ze ściśniętym gardłem:

– Luciano, mój drogi, twój syn musi umrzeć. Musi bardzo szybko umrzeć. On nam zagraża. To takie smutne, ale on nigdy nie chciał być jednym z nas.

Limuzyna ruszyła, a myśli Luciano Parottiego skoncentrowały się na działaniu, które nigdy w życiu nie przyszło mu do głowy. Miał zabić własnego syna i wiedział, że tym uczynkiem nie zdoła zatrzeć hańby, jaka na niego spadła. Nawet jeżeli nikt mu nic nie powie w przyszłości, wszyscy będą mu potajemnie współczuli lub sztydzić.

Prawie metrowej długości iguana rozciągnęła się na gałęzi zwisającej nad wodą i leniwie patrzyła na mijającą go starą, zardzewiałą motorówkę. Poplamione i niechlujnie zapięte mundury kolumbijskich policjantów nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. Bardziej interesowała ją poranna drzemka i kilkumetrowa anakonda, która wysunęła się właśnie z wody.

Na rzece Meta panował spokój i atmosfera leniwego wyczekiwania. Motorówka dobijała do brzegu, a jeden z policjantów pomachał przyjacielsko ręką w stronę siedzących na ziemi Indian. Dorośli prawie nie zareagowali, tylko dzieci ciekawie wyszły im naprzeciw.

Misja katolicka, w której od wielu lat mieszkał i pracował ojciec Polo vel Roger Calthrop, była niewielka i rzadko ją odwiedzano. Wszyscy Indianie mieścili się w dwóch dużych szałasach, opartych na długich kijach. Pomiędzy dwoma szałasami znajdował się mały kościół, przed którym stał kilkumetrowy krzyż, głęboko wkopany w ziemię. Z kościoła wyłonił się niski, wątły mężczyzna w białym, misjonarskim habicie. Podszedł do policjantów, którzy podali mu napisaną na maszynie kartkę. Pod spodem widniały dwie urzędowe pieczęcie i zamaszty podpis komendanta miejscowego posterunku. Ojciec Polo pokiwał ze zrozumieniem głową, odszedł na bok do jednego ze starszych Indian, coś mu krótko wytłumaczył i wrócił do motorówki.

Zaryczał silnik i po chwili wszyscy trzej ruszyli w górę rzeki. Ojciec Polo siedział obojętnie z tyłu i patrzył zamyślony na kipiącą życiem dżunglę. Myślał o swoich Indianach i o przyrodzie, która coraz szybciej umierała. Było mu żal świata, który cywilizacja już dawno skazała na zagładę. Czuł przepełniający go smutek i modlił się, aby Bóg dał mu siły i by nie zwątpił w człowieka. Tak bardzo chciał uratować nawróconych przez siebie Indian i coraz częściej zdawał sobie sprawę z własnej bezsilności.

Za zakrętem motorówka gwałtownie zwolniła i podpłynęła do brzegu. Unosił się tam na wodzie turystyczny samolot z 1957 r., Cessna 150. W środku, w otwartych drzwiach siedział barczysty, nieogolony pilot i popijał z bu elki whisky. Jego prawa ręka zwiisała

luźno na oparciu, a nogi dyndały nad wodnymi pływakami.

Policjanci podpłynęli do brzegu i skinęli na zakonnika, żeby wysiadł z motorówki. Ojciec Polo usłuchał i ciężko zsunął się na piasek. Chwilę potem otrzymał uderzenie kolbą pistoletu w kark i stracił przytomność. Pilot zeskoczył z samolotu na brzeg, wyjął z kieszeni strzykawkę i błyskawicznie zrobił zastrzyk zakonnikowi. Schował starannie strzykawkę i wyciągnął z kieszeni gruby plik banknotów. Oczy policjantów zrobiły się okrągłe jak dwudziestopięciocentówki. Pilot obojętnym ruchem rzucił banknoty do motorówki i pochylił się nad zakonnikiem. Wydawało się, że pragnął stąd jak najszybciej odlecieć. Policjanci rzucili się do motorówki i w tym momencie w ich plecach pojawiły się po dwie małe czerwone dziurki. Poprzedziły je cztery ciche pyknięcia. Pilot odkręcił od pistoletu tłumik i całość wepchnął do bocznej kieszeni luźnych spodni.

Kiedy ciała policjantów znalazły się w wodzie, prawie natychmiast rzuciły się na nie zwabione krwią piranie. Po kilkunastu minutach małe, żarłoczne rybki ogryzły Kolumbijczyków aż do kości. Na dno rzeki opadły tylko pasy i broń. Pilot wskoczył do motorówki, podniósł z podłogi banknoty, zapuścił silnik i nakierował motorówkę na kępę korzeni pośrodku rzeki. W ostatniej chwili zdążył wyskoczyć na pływak samolotu.

Motorówka wybuchła w momencie, gdy bezwładne ciało ojca Polo znajdowało się już na pokładzie Cessny. Pilot przypiął zakonnika pasami i w pośpiechu włączył silnik. Po kilkunastu sekundach znaleźli się w powietrzu i samolot wziął kurs na Villavicencio.

Tego samego dnia, 1 września, w piątek o godzinie jedenastej trzydzieści pięć Antoine Lebel otrzymał ważną wiadomość. Na tę jedną stronę maszynopisu pracowało przez ostatnie kilkanaście godzin osiemdziesięciu policjantów oraz dwustu specjalistów od informatyki, techniki i administracji. Blisko dwadzieścia różnego rodzaju anten, umieszczonych na nowoczesnym gmachu Interpolu w Lyonie, odebrało w ciągu doby ponad sześć tysięcy meldunków, które supernowoczesny Commutator rozszyfrował i błyskawicznie uporządkował. Paryskie biuro Interpolu otrzymało meldunek dziesięć minut po tym, jak odebrano go w budynku niedaleko Rodanu.

Informacja dotarła do Lebela na lotnisku tuż przed odlotem do Bogoty. Agent wręczył mu ją osobiście na schodkach do samolotu.

Znajdowali się dokładnie na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, kiedy Brian Smith, siedzący po prawej stronie Lebela, odezwał się z trudem hamując ciekawość:

– Co nowego o Calthropie?

Lebel popatrzył na niego tak, jakby wybierał się do ubikacji. Zdecydował się zabrać ze sobą Smitha, wykorzystać jego doświadczenie i nienawiść do Calthropa, ale do końca nie mógł się pozbyć uczucia, że było to zbyt duże ryzyko. Wciąż jednak Smith był jedynym człowiekiem, który widział osobiście mordercę. Ten fakt dawał Kanadyjczykowi sporą przewagę nad tymi, którzy musieli posługiwać się rysopisem. Agent doskonale wiedział, że czujne oczy Smitha mogą rozpoznać Calthropa nawet wówczas, gdy zechce zmienić wygląd. W każdym razie było to o wiele prawdopodobniejsze, niż się z pozoru wydawało.

– Mówiłeś prawdę – zaczął ostrożnie Lebel. – Nasi ludzie rzeczywiście znaleźli helikopter z dwoma trupami w środku. Znaleźli

również Leragera i jego córkę. Nie zyli od kilku dni. Nasi amerykańscy współpracownicy przekazali nam informację, że dzwonił do nich człowiek, który rzekomo zna i widział w Nowym Jorku Calthropa. Na razie jednak się nie ujawnił. Znajdziemy Calthropa, znajdziemy wcześniej czy później. A ty nie bądź głupi, Smith i postaraj się.

– Jaką mam gwarancję, że jeżeli wam pomogę, uwolnicie mnie? – wyszeptał na wpół do siebie Smith.

– Jeżeli będziesz z nami współpracował, możesz się nie martwić o przyszłość – uspokoił go Lebel. – Za późno na myślenie, Smith. Teraz jesteś w naszej sieci i nie powinieneś się szarpać. Interpol potrzebuje takich ludzi jak ty, potrzebuje dobrych informatorów.

Głowa Smitha odwróciła się do okna, a w oczach pojawił się błysk. On jeden wiedział, że nie podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Wciąż lękał się, że ręce Interpolu okażą się za krótkie i zdoła się wymknąć. Kanada była dużym krajem, a on znał doskonale każdą najmniejszą dziurę, w której mógłby się schronić i zniknąć na parę lat. Lebel zareagował tak, jakby słyszał jego myśli. Podał mu gazetę i mruknął:

– Interpol nie zapomina nigdy o swoich ludziach. Nasz bank informacji jest z pewnością największy na świecie...

Po tych słowach agent zamknął oczy i usnął. Smith przyglądał mu się przez chwilę, po czym wypił drinka i także zasnął.

Było wcześniej rano. Boeing 747 stopniowo się opróżniał. Lebel i Smith zeszli z pokładu jako jedni z pierwszych. Obaj korzystali z immunitetu dyplomatycznego, dlatego ich bagaż został im prawie natychmiast dostarczony. Przy wyjściu z lotniska czekali na nich trzej agenci z amerykańskiej sekcji wydziału do walki z narkotykami. Przywitali się w milczeniu.

Po drodze do dwóch zaparkowanych nie opodal samochodów Amerykanie zdawkowo zapytali Lebela o drogę i z uśmiechem poinformowali, że w Kolumbii rzeczywiście zrobiło się niebezpiecznie. Agent zaprosił Lebela i Smitha do pierwszego wozu i sam wsiadł za kierownicę. Żółty Chevrolet corvette ugiął się lekko i ostro ruszył do przodu. W tym samym momencie dwaj pozostali agenci wsiadali do stojącego z tyłu BMW. Nie zdążyli otworzyć drzwi bo obok pojawiły się dwa motory, a siedzący na nich zamaskowani ludzie rzucili im pod nogi wiązkę granatów. Napastnicy musieli wszystko dokładnie obliczyć, ponieważ granaty eksplodowały prawie natychmiast po zetknięciu z ziemią.

Kierowca chevroleta zareagował nieprawdopodobnie szybko. Dostrzegł motocyklistów już w momencie zbliżania się do drugiego samochodu. Zanim nabrał prędkości, zreduował biegi, wcisnął gwałtownie sprzęgło, włączył wsteczny, zahamował i z przeraźliwym piskiem ruszył do tyłu. Pierwszy z motocyklistów przestraszył się, w ostatniej chwili ominął jadący z przeciwka wóz i zanim ujechał dziesięć metrów wybuch rozerwał go na kawałki. Drugi napastnik miał więcej czasu, skręcił w bok i przeciąwszy chodnik wjechał w strumień samochodów. Dwadzieścia sekund później nadział się na ciężarówkę wiozącą banany.

Lebel rzucił się w kierunku wypadku, a Smith i agent z brygady antynarkotykowej pobiegli na miejsce pierwszego wybuchu. Nie było już kogo ratować. Obaj agenci leżeli poszarpani odłamkami, a samochód przypominał odlew twarzy znokautowanego boksera.

Dłonie Lebela jednym szarpnięciem ściągnęły kask z głowy leżącego na jezdni mężczyzny. Był młody, mógł mieć nie więcej jak dwadzieścia lat. Żył jeszcze i z przerażeniem w oczach trzymał się za brzuch. Mocno krwawił.

– Chłopcze – zawołał Lebel – kto was, nastął?

W pobliżu rozległ się sygnał karetki pogotowia. Przez sporą grupkę gapiów przedzierali się Smith i kierowca chevroleta. Młodzieniec tracił przytomność, coraz bezmyślniej patrzył na Lebela.

– Zajmiemy się nim – za plecami Francuza rozległ się głos człowieka z brygady antynarkotykowej. Kierowca miał na twarzy grymas, który nie dawał rannemu żadnych szans.

Lebel zrozumiał, że Amerykanie zrobią wszystko, aby wycisnąć z motocyklisty wszystkie informacje. Nie miał także wątpliwości, że zrobią to bardzo sprawnie.

Ravenite Social Club przy Mulberry Street No. 247 w Nowym Jorku był ulubionym miejscem odpoczynku Franka Gambino. Tradycyjnie już spotykał się tutaj ze starymi znajomymi z innych rodzin mafijnych. W klubie bywali również ludzie zaprzyjaźnieni z mafią, Żydzi, Irlandczycy i większość powszechnie szanowanych sędziów, polityków, prawników, przywódców związkowych i biznesmenów. Uśmiechy, jakimi obdarzali się panowie z towarzystwa, mogły oznaczać wszystko.

Dochodziła godzina czwarta po południu. Pięciu mężczyzn usiadło w miękkich, skórzanych fotelach i bez pośpiechu zapaliło cygara. Ten pozornie mało znaczący zwyczaj zbliżał ich do siebie, dawał poczucie, że należą do establishmentu. Wypielęgnowane, uśmiechnięte twarze, nienaganne garnitury firmy „Brook Brothers” i zaokrąglone brzuszki sprawiały wrażenie, że za chwilę rozpocznie się tutaj zebranie kółka wesołych emerytów.

Frank Gambino podniósł dłoń. Mężczyźni uciszyli się i natychmiast skoncentrowali. W interesach nie było miejsca na żarty.

Luciano Parotti zamknął drzwi i usiadł za plecami swojego szefa.

– Sytuacja skomplikowała się – zaczął Gambino. – Człowiek, którego wynajęliśmy do wykonania kontraktu, ma pewne kłopoty... – zawiesił głos jakby szukał odpowiedniego słowa. – Te kłopoty mogą być większe i mogą być mniejsze. Poszukuje go Interpol i Francuzi, a ściślej nasz znajomy, Francois Sabatini. Zastanówmy się, przyjaciele, co powinniśmy zrobić, aby ochronić nasze interesy. Calthrop jest nam potrzebny i wiele wskazuje na to, że wykona swoją robotę. Myślę więc sobie, że powinniśmy mu pomóc i pohamować Sabatiniego w jego zemście, Francuz pierwszy zaczął i dostał nauczkę. Powinien ją dostać także od nas, ponieważ to w nasze interesy zdecydował się uderzyć. Z drugiej strony łączą nas wspólne zainteresowania i byłoby źle rozpocząć wojnę.

Frank Gambino przerwał na chwilę, sięgnął po filiżankę z kawą i wypił dwa łyki. Zgasił cygaro i potoczył wzrokiem po szefach nowojorskiego syndykatu. Słuchali go bardzo uważnie. Gambino oblizwał wargi i kontynuował:

– Myślę, że znalazłem rozwiązanie tej sytuacji. Przede wszystkim musimy powstrzymać Sabatiniego i przekonać, że właśnie teraz nie powinien przeszkadzać Calthropowi. Jeżeli się zgodzi, a wierzę, że tak właśnie postąpi, wtedy zaczekamy, aż ten zrealizuje kontrakt. Pytanie brzmi: kto będzie nam wówczas bardziej potrzebny – Calthrop czy Sabatini? Kto będzie bardziej kłopotliwy?

Tym razem cisza trwała dłużej niż poprzednio. Wszyscy wiedzieli, że decyzja, którą za chwilę podejmą, będzie wiążąca. Zakładali, że Calthrop usuwając tajemniczych przeciwników mafii i syndykatu jeszcze bardziej wzmocni swoją pozycję. Najbardziej obawiali się konsekwencji działania agentów Interpolu. Jeżeli raz natrafili na trop

Calthropa, nigdy już z niego nie zejda. To stwarzało niebezpieczeństwo dla ludzi syndykatu, mogło zakłócić równowagę wśród najważniejszych rodzin mafijnych w Ameryce. Zgodni byli, że źle się stało, iż Calthrop został odkryty. Wiedzieli, że mogliby zrezygnować z jego usług i wynająć innego zawodowego mordercę. Problem polegał na tym, że nie było nikogo odpowiedniego na jego miejsce. Na tym rynku istniała ścisła selekcja i nie było mowy o przypadkach. Liczyli się wyłącznie zawodowcy.

– Jestem za tym, żeby powstrzymać Francuza – przerwał ciszę Carlo Corleone. – Trzeba dać czas Calthropowi. Po wykonaniu zlecenia trzeba go będzie usunąć. Potem przyjdzie pora na Sabatiniego.

– Kto jest za? – powiedział Gambino podnosząc rękę.

Wszystkie dłonie uniosły się ku górze. Była to rzadka chwila jedności. Los Calthropa został przesądzony.

– Jest jeszcze jeden kłopot – westchnął Gambino. – Syn naszego drogiego Luciano Parottiego, Jim, zdradził.

Teraz był to całkowicie inny rodzaj ciszy. Oczy zebranych mężczyzn zwróciły się na siedzącego za plecami Gambino, Parottiego. Capo capini wytrzymał to spojrzenie, ale jego dusza płonęła. Czuł, że musi coś powiedzieć.

– Mój syn zdradził i poniesie za to odpowiednią karę – odezwał się, zaciskając mocno szczęki. – Teraz jest sam i nikt mu już nie pomoże. Dla syndykatu i dla rodziny jest martwy.

Don Gambino dał znak Parottiemu i wtrącił:

– Chłopak dużo wie i gdzieś się ukrył. Trzeba go szybko znaleźć. Proszę was, abyście pomyśleli również o policji. Jeżeli on tam się zgłosił, jeżeli zacznie mówić, możemy mieć dodatkowe kłopoty...

Nowojorscy bossowie skinęli tylko głowami, że dobrze zrozumieli sytuację. Żaden z nich nie dał poznać po sobie, że zdrada młodego Parottiego może mieć groźniejsze skutki. Taka myśl pojawiła się w ich głowach, ale zasłoniła ją prawie natychmiast liczba nazwisk ludzi, którzy nie odmówią syndykatowi pomocy.

– Luciano pojedzie do Paryża i porozmawia z Francuzem – powiedział Gambino, wstając z fotela. – Zrobi to szybko i na pewno skutecznie.

Starsi panowie podnieśli się i udali do wyjścia. Na zewnątrz przestało padać i można było nie rozkładać parasolek.

Dwie godziny wcześniej Calthrop znajdował się na Czterdziestej Siódmej Ulicy. Przyjechał tam metrem. Po drodze zauważył czterech mężczyzn, którzy cierpliwie mu towarzyszyli. Szedł powoli wzdłuż jubilerskich wystaw, często zatrzymywał się i patrzył w szyby. Udawał, że bardzo interesuje go złoto i brylanty. Szybko zorientował się, że śledzący go mężczyźni nie są zawodowcami. Popelnili tak wiele błędów, wystawiali się tak dokładnie, że Calthrop zaczynał mieć wątpliwości, czy słusznie ich podejrzewa. Oceniał, że ma do czynienia z osiłkami, którzy pragną zarobić parę dolarów.

Spojrzał na numer domu i wszedł na klatkę schodową. Znajdował się na miejscu. Podszedł do domofonu i nacisnął dzwonek. Po chwili usłyszał kobiecy głos:

- Kto tam?
- Charles – powiedział cicho. – Charles Calthrop...
- Czy to możliwe? – kobieta była wyraźnie poruszona. – Myślałam, że nie żyjesz?...
- Chcę ci na moment zostawić bagaż – przerwał. – Muszę coś

jeszcze załatwić. Otwórz drzwi. Zejdź proszę, na dół i wnieś ją na górę. Później ci wytłumaczę wszystko.

Kobieta nie odezwała się więcej. Calthrop pchnął drzwi i wsunął za nie walizkę. Ponownie je zatrzasnął. Wyjął spod marynarki swojego weihrauchu HW 45 i błyskawicznie przykręcił do lufy tłumik. Schował broń pod pachę, nie wypuszczając jej z ręki. Była pod marynarką, a lufa zaledwie nieznacznie napinała materiał.

Przeszedł ulicę i uprzejmie ustępując miejsca spacerującym tam żydowskim biznesmenom, zbliżył się do idących za nim mężczyzn. Kiedy znaleźli się blisko niego, odwrócił się bokiem i nacisnął spust. Pistolet wciąż tkwił pod pachą, a kule wylatywały przez materiał marynarki nieco poniżej ramienia. Każdy pocisk był nadpiłowany, tak, żeby rozrywał się w ciele ofiary. Atak Calthropa był tak niespodziewany, że dwaj pierwsi nie zdążyli w żaden sposób zareagować. Z rękami w kieszeniach kurtek przewrócili się na chodnik, nie wydając z siebie głosu. Dwaj pozostali byli całkowicie zaskoczeni. Patrzyli na swoich kolegów i bezwiednie wykrzywili twarze. Przypominali nietoperze, które ktoś przybił do ściany. Kolejne trzy sekundy wystarczyły Calthropowi, aby umieścić w ich sercach po jednym pocisku.

Nikt z przechodniów nie odgadł, skąd padły strzały. Tłumik zagłuszył głucho trząśnięcia iglicy, a panujący na ulicy ruch i hałas samochodów, zdezorientowały stojących blisko ludzi. Morderca spokojnie oddalił się, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Po raz kolejny udało mu się nie zostawić za sobą śladów.

Pięć nanut później znajdował się w luksusowym mieszkaniu Rosemary Greenwood, jego kochanki z lat młodości, doświadczonej agentki CIA. Wiele razy wspólnie opracowywali szczegóły rozmaitych

zadań specjalnych Rosemary. Kobieta kochała Calthropa i robiła wszystko, aby jak najdłużej zatrzymać go przy sobie. Domyślała się, w jaki sposób zarabiał na życie, ale nigdy na ten temat nie rozmawiali. Calthrop pomagał jej, ponieważ korzystał z jej kanałów informacji i podobała mu się. Poza tym lubił opracowywać precyzyjne plany, które potem ktoś realizował. Niejeden raz uśmiechał się, widząc krzykliwe tytuły na pierwszych stronach gazet. Wyobrażał sobie, jaką minę mieliby szefowie tej zasłużonej organizacji, gdyby dowiedzieli się, kto współpracuje z ich najzdolniejszą agentką. Na szczęście zarówno Rosemary Greenwood, jak Charles Calthrop starannie ukrywali swoją znajomość. Był to trudny do zrozumienia układ, w którym oboje czuli się dobrze. Ona go kochała, a on o tym wiedział i nigdy nie próbował się jej pozbyć.

Pięć minut przed piątą skończyli się kochać. W sypialni zrobiło się szaro i widać było, że za kilka lub kilkanaście sekund znów zacznie padać deszcz. Leżeli na dużym materacu, a wokół nich piętrzyły się poduszki. Panna Greenwood lubiła miękkie, przytulne wnętrza, dlatego jej mieszkanie przypominało domek dla lalek. Pełno w nim było obrazów, stolików, lampek, foteli, wazonów, kwiatków i dywanów. Dla każdego, kto pojawił się w tym mieszkaniu, od początku było jasne, że właścicielka jest stuprocentową kobietą.

Calthrop leżał na plecach, a jego palce delikatnie bawiły się puszystymi włosami Rosemary. Trzymała głowę na jego piersi i spod przymkniętych powiek patrzyła przez okno. Mężczyzna czuł ciepło jej ciała, ale jego zmysły nie działały, teraz myślał wyłącznie o tym, co zamierzał jej powiedzieć.

– Kocham cię – odezwała się tak cicho, że zaledwie mógł ją usłyszeć. – Masz kłopoty, prawda?

– Mam plan, który muszę zrealizować – odpowiedział zdecydowanie. – Chcę ci zaproponować kontrakt, chcę żebyś zrobiła to, o co cię poproszę. Najpierw posłuchaj, a potem podasz swoją cenę.

Rosemary Greenwood znów była skupiona i zimna. Czowała, że Calthrop proponuje jej zadanie, na którym może wiele stracić. Intrygowało ją, dlaczego właśnie do niej z tym przyszedł. Czy miał aż tak duże kłopoty? A może tylko jej ufał? Nie, pomyślała prawie natychmiast, zawodowi mordercy nikomu nie ufają. Może po prostu uważa, że jest dobra, że wykona kontrakt i zrobi to jak zawodowiec.

– Rosemary, nie męcz się – powiedział, jakby czytał w jej myślach. – Przychodzę z tym do ciebie, ponieważ ci ufam. To ostatnie zadanie, jakie zamierzam wykonać. Wycofałem się, ale mnie znaleźli, dlatego teraz nie mam wyjścia. Muszę tę sprawę doprowadzić do końca.

Dłonie Calthropa mocniej zanurzyły się we włosach kobiety. Nigdy nie potrafił zrozumieć, w jaki sposób natura połączyła zmysłową kobiecość z silnym, zdecydowanym charakterem policjanta. Wiedział, że Rosemary, która w łóżku zachowywała się jak gorący wulkan, gdyby zaszła potrzeba, potrafiłaby zabić z zimną krwią.

– Zgadzam się – szepnęła i przylgnęła ustami do jego policzka.
– Zrobię wszystko, co zechcesz. Nie chcę pieniędzy.

Dopiero teraz morderca zrozumiał, że musi wybrać. Ta kobieta była gotowa zrobić dla niego wszystko, byle tylko mieć go dla siebie. Gwałtownie poczuł się stary.

– Dobrze – zgodził się, a w jego głosie drżał przez moment odciśnięcie zdziwienia. – Wygrałeś, Rosemary.

Kobieta przytuliła się mocno do niego i westchnęła. Nie wstydziła się, była pewna, że Calthrop ją rozumiał. Tak długo czekała i wreszcie jej marzenie mogło się urzeczywistnić.

Przez następne pół godziny przedstawiał jej swój plan. Nie zapytała o nic, przytakiwała tylko, że wszystko jest jasne i zlecenie zostanie wykonane. Calthrop był zadowolony. W ciągu następnych dziesięciu minut ucharakteryzował się i porównał ze zdjęciem w nowym paszporcie. Teraz był Roderickiem Violl, obywatelem brytyjskim. Ze zdjęcia w paszporcie spoglądała na niego szeroka, uśmiechnięta twarz z brodą i wąsami. Bujne czarne włosy kłębiły się nad czołem prawdziwego Rodericka Viola jak sierść pudła. Calthrop ocenił swoje odbicie w lustrze i z uznaniem kiwnął głową. Teraz nawet bardzo bystre oczy miałyby problem z rozpoznaniem go. Po założeniu fotochromowych okularów w grubej, brązowej oprawce Calthrop był nie do poznania. Kiedy wyszedł z łazienki, Rosemary Greenwood cofnęła się lekko i z nie ukrywanym podziwem powiedziała:

– Daj mi słowo honoru, że kiedy już będziemy razem nigdy się nie przebierzesz, Charles. Czułabym się tak, jakbym cię zdradzała z obcym mężczyzną...

Calthrop nie miał wątpliwości, że był to komplement. Wyciągnął rękę i powoli położył je na szyi Rosemary. Patrzyli sobie w oczy i oboje wiedzieli, że pragną w tej chwili tego samego.

Głowa Jima Parottiego coraz bardziej chyliła się ku dołowi. W końcu czoło mężczyzny oparło się o opróżnioną butelkę whisky i wydawało się, że za chwilę w małej, hałaśliwej restauracji „El Paso” w dzielnicy Washington Heights, rozlegnie się chrapanie. Młody Parotti nie usnął jednak, ponieważ czyjaś ręka postawiła koło niego pełną butelkę Old Grand-Dad i mocno uderzyła go w ramię. Podniósł głowę i potoczył pijanym wzrokiem po lokalu. Wokoło kłębiły się

dziesiątki Irlandczyków, Murzynów, Portorykańczyków i innych emigrantów z Ameryki Środkowej. Zbliżała się północ i o tej porze właściciel i wszystkie miejscowe prostytutki mieli najwięcej roboty.

Jim rozejrzał się, ale nikogo ciekawego nie zobaczył. Jego dwaj koledzy tańczyli z dwoma panienkami, a przy stoliku nie było żywej duszy. Zrezygnowany chciał wstać, gdy jego spojrzenie natrafiło na butelkę. Zaśmiał się głupkowato, chwycił za szyjkę. Otworzył i wlał sobie w przetyk dużą porcję płynu. W pierwszej chwili zrobiło mu się błogo i zapragnął napić się jeszcze raz. Nie zdążył jednak podnieść po raz drugi butelki, ponieważ w jego brzuchu zaczęło się dziać coś strasznego. Parotti otworzył szeroko oczy, chwycił się za krtań, wypuścił butelkę i stracił oddech. Upadł na podłogę i zaczął się zwijać w konwulsjach. Nie trwało to długo. Po dwóch minutach znieruchomiał. Kilka głosów bez przekonania zaczęło wołać właściciela.

Od baru odsunął się barczysty goryl Luciano Parottiego, Adamo, i spokojnie ruszył do wyjścia. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Kiedy zbliżył się do białego chryslera, wymienił krótkie spojrzenie z siedzącym w środku szefem capów rodziny Gambino. Luciano Parotti zrozumiał, że przed kilkoma sekundami stracił syna. Gangster po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że oszaleje. Spojrzał w lusterko kierowcy, ale jego człowiek taktownie patrzył na ulicę. Adamo usiadł z przodu i zatrzasnął drzwi. Parotti wolno podniósł rękę i oparł ją na ramieniu goryla. Wiedział, że musiał to zrobić. Adamo po prostu wykonał rozkaz.

Następnego dnia, 2 września, o godzinie dziewiątej rano, Calthrop znajdował się na lotnisku Kennedy'ego. Kiedy na dużej świetlnej

tablicy komputer wyświetlił napis: SÃO PAULO, a tuż obok numer rejsu, zabójca podszedł do telefonu i kilkakrotnie cierpliwie wykręcał numer. W końcu usłyszał oczekiwany sygnał i powoli, bardzo wyraźnie powiedział:

– Dwadzieścia cztery, trzydzieści pięć, czterdzieści sześć. Co słyszać?

W tym samym mieście, lecz wiele kilometrów dalej, w małym pokoju niedaleko Harlem River, niewielki cyfrowy komputer odczytał szyfr i włączył mały, szpulowy magnetofon. Calthrop rozpoznał głos Luciano Parottiego.

– „Połowę pieniędzy wpłaciliśmy na pańskie konto. Powodzenia”.

Automat wyłączył się, a morderca odłożył słuchawkę. Był zadowolony. Za ten pokój w dość podłej dzielnicy płacił tylko symboliczną sumę. Automat zamówił przed ponad piętnastu laty u znajomego człowieka i zlecił mu unowocześnienie i konserwację sprzętu. Zaraz okazało się, że działa bez zarzutu. Dodatkową zaletą automatycznego telefonu był mechanizm, który kasował zapis po otrzymaniu przez Calthropa informacji.

Mimo że pracownicy lotniska czujnie przyglądali się przechodzącym pasażerom, żaden z nich nie wpadł na pomysł, żeby zatrzymać poważnego obywatela angielskiego z paszportem wystawionym na nazwisko: Roderick Violl. Interpol podał im nazwisko Charlesa Calthropa i Roberta Browna i tych ludzi szukali.

Calthrop usiadł wygodnie w części samolotu przeznaczonych dla pasażerów pierwszej klasy, zapiął pasy i sięgnął po najnowszy numer „The Sunday Times”.

5.

Kapanie kroplówki, pod którą podłączono młodego kolumbijskiego terrorystę, było monotonne i ciche. Znajdował się w stanie krytycznym. Leżał sam w otoczeniu aparatury medycznej, a przy drzwiach pilnowało go dwóch uzbrojonych w karabiny maszynowe mężczyzn.

Od chwili gdy przywieziono go tutaj przed kilkunastoma godzinami, w szpitalu przy szerokiej Avenida de la Americas przebywało stale prawie dwudziestu ludzi z brygady specjalnej. Na oddziale, gdzie go położono wstrzymano jakiegokolwiek odwiedziny. Wszyscy pracownicy szpitala byli starannie sprawdzani, a ich ubrania i bagaże wielokrotnie przeszukiwane. Tym szczególnym środkiem ostrożności nikt się tutaj nie dziwił. Wojna rządu kolumbijskiego z potężną mafią narkotykową, zwaną kartelem z Medellin, trwała już od ponad dwóch tygodni. Liczba zabitych po jednej i po drugiej stronie rosła każdego dnia. Nie oszczędzano nikogo. Wśród zamordowanych przez baronów kokainy znajdowali się ludzie tak znani, jak sędzia Carlos Valencia, pułkownik policji Valdemar Quintero, a także kandydat na prezydenta Luis Carlos Gallan.

Lebel zatrzymał się przy Calle 68. Mieszkanie to zaoferował mu poznany na lotnisku agent z wydziału do walki z narkotykami. Amerykanin nazywał się Clive Meredith i przed trzema miesiącami rząd prezydenta Busha wysłał go do Kolumbii. W tym samym mieszkaniu

zatrzymał się Brian Smith. Obaj mężczyźni wiedzieli, że jeżeli chcą przeżyć, muszą się wzajemnie osłaniać. W Kolumbii każdy biały przypominał paszport ważny tylko w jedną stronę.

Lebel i Smith prawie cały czas przebywali w pobliżu szpitala. Czekali aż terrorysta odzyska przytomność i zacznie mówić. Poza tym Francuz nie ufał Amerykanom i Kolumbijczykom i chciał wiedzieć o wszystkim od razu. Około dziesiątej w nocy jedna z pielęgniarek poinformowała szefa brygady specjalnej, kapitana Jorge Cali, że ranny odzyskał przytomność. Kapitan skinął uprzejmie na Lebela i kilka minut później obaj znajdowali się przy łóżku rannego motocyklisty. Lekarz wyszedł z sali nie starając się nawet udawać, że zależy mu na życiu chorego. Zaraz po jego wyjściu pojawił się Meredith.

– Chłopcze, słyszysz mnie? – powiedział głośno i wyraźnie kapitan Cali. Jego ręka wprawnie włączyła miniaturowy magnetofon.

– Nic nie powiem – jęknął terrorysta, przyglądając się z wysiłkiem Lebelowi.

– Nazwisko człowieka, który cię nasłał? – odezwał się znów kapitan, a jego głos przybrał twardą, rutynową barwę. – Jeżeli nie zaczniesz gadać, pozwolimy ci tu wyzdrowieć i skazemy cię na długie lata więzienia. Kto wie, może nawet dożywocie...

– Pieprzysz, glino...

– Kiedy byłeś nieprzytomny sporo nam powiedziałaś. Zapomniałaś tylko dodać, kto zlecił ci tę robotę. Jeżeli jesteś choć trochę inteligentny, to domyślasz się, że facet dla którego pracujesz nie będzie cię teraz oszczędzał. Na razie mamy cierpliwość i pilnujemy cię, ale możemy stąd odejść i wtedy pożegnasz się z życiem. Może nawet ktoś z personelu poda ci truciznę. Mogą też podłożyć tu

bombę lub po prostu poczęstować cię nożem. Tak, to najbardziej prawdopodobne – zakończył kapitan, zawieszając głos.

Lebel usiadł przy oknie i przyglądał się motocykliście. Wiedział, że kapitan dobrze zagrał i w każdej chwili chłopak może zacząć mówić. Dali mu trochę odpocząć i milczeli. Po pięciu minutach usłyszeli cichy jęk. Zrozumieli, że bandyta załamał się i mają go w rękę.

– Dobrze, będę mówił – zgodził się terrorysta. – Pracuję dla Jose Gonzelo...

Trzej mężczyźni drgnęli na dźwięk tego nazwiska. Był to jeden z szefów kartelu, miliarder, zatrudniający setki ludzi, przyjaciel i opiekun wielu wybitnych osobistości, człowiek zatrudniający dziesiątki najemników z Izraela, RPA i Wielkiej Brytanii. Mimo że policja zajęła wiele z jego posiadłości, rancz, pałacików, laboratoriów, zlikwidowała i zablokowała kilkaset łodzi, samochodów osobowych i ciężarówek, śmigłowców i ponad trzydzieści samolotów, Jose Gonzelo wciąż działał i wciąż atakował.

Dwadzieścia minut później Lebel wiedział to, co chciał wiedzieć. Znał nazwisko człowieka, którego powinien odwiedzić i przesłuchać. Meredith powiedział, że z przyjemnością mu w tym pomoże. Kapitan Cali zgodził się i obiecał zaczekać aż załatwi swoje sprawy. Był człowiekiem, który lubił mieć dobre stosunki z kolegami z wyspecjalizowanych służb zagranicznych. Poza tym miał świetny humor. Udało mu się nagrać zeznanie człowieka, obciążającego bezpośrednio szefa potężnego kartelu. Teraz musiał się zabezpieczyć i zrobić wszystko, aby ten człowiek przeżył i mógł stanąć przed sądem. Nie wątpił, że będzie to bardzo trudne. Kiedy przy pożegnaniu ścisnął dłoń Lebela, powiedział cicho:

– Teraz módlmy się, żeby gazeciarze czegoś nie zwęszyli. Może do rana zdążycie...

Było siedem minut po godzinie drugiej w nocy. W jednej, z bocznych uliczek pomiędzy Carrera 13 a Paraque Nacional zaparkował cicho poobijany volkswagen. Na ulicy paliła się tylko jedna latarnia, reszta była sfłuczona. Okno z tyłu samochodu było otwarte. Ręce człowieka, który siedział w środku obejmowały bazukę. Lufa powoli wysunęła się z samochodu, przez chwilę szukała celu, po czym z hukiem pozbyła się dużego, przeciwpancernego pocisku. Volkswagen ostro ruszył, zostawiając za sobą olbrzymią dziurę w jednym z domów. W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowały się masywne, umocnione od środka stały, drzwi, snuł się gęsty dym i pojawiły się czerwone języki ognia.

Rozległy się pojedyncze strzały. Z wnętrza domu wyskoczyli dwaj młodzi ludzie z ciężkimi M 16. Nie strzelali, nerwowo rozglądali się po ulicy.

Z drugiej strony budynku, na ciasnym podwórku, czaili się trzej ludzie – Lebel, Smith i Meredith. Amerykanin trzymał w rękach krótkofalówkę i spokojnie wydawał rozkazy.

Oczy trzech mężczyzn wpatrywały się w ciemny kontur drzwi. Wiedzieli, że w każdej chwili może tędy uciekać German Uribe, bezpośredni szef rannego terrorysty. Pięciu snajperów z brygady antynarkotykowej nie odrywało spojrzenia od celowników z noktowizorem.

Nagle drzwi od podwórka skrzypnęły i wyszedł przez nie mężczyzna w szlafroku. W rękę trzymał magnum.

– Adwokat tego Uribe – szepnął Meredith. – Coś kombinuje...

Adwokat cofnął się i na podwórko wybiegli dwaj ludzie z M 16. Podbiegli do przeciwniejszej ściany i oparli się o nią plecami. Jeden z

nich stał blisko kryjówki Lebela. Agent wyraźnie słyszał jego przyspieszony oddech. Dopiero teraz po raz drugi pojawił się adwokat, a zaraz za nim sam Uribe. Gangster, podobnie jak jego adwokat, ubrany był w szlafrok. Meredith poczekał aż obaj mężczyźni odejdą kilka kroków od drzwi, po czym włączył krótkofalówkę.

– Teraz! – dźwięk wypowiedzianego przez Amerykanina rozkazu przypominał warknięcie pantery.

W tej samej chwili snajperzy nacisnęli na spust swoich karabinów. Pięć strzałów zabrzmiało jak jeden. Uribe i adwokat przewrócili się na ziemię. Obaj trzymali się za przestrzelone uda. Ich goryle mieli więcej uporu. Nie wypuścili z rąk broni i na oślep zaczęli wypuszczać serie. Z okien posypało się szkło. Lebel spojrzął na Mereditha jakby chciał mu zaproponować drinka. Amerykanin zrozumiał to spojrzenie. Musieli się stąd szybko wynosić.

– Skończcie z nimi – wydał rozkaz Meredith.

Huknęły dwa strzały i z głów obu goryli trysnęła krew.

Smith dopadł leżącego wciąż na ziemi gangstera. W biegu celował do nich ze swojego oriona 6. Żaden z nich nie podniósł broni. Widzieli, co się stało z ich obstawą i woleli nie ryzykować. Smith zabrał im pistolety i błyskawicznie wrzucił sobie na plecy Germana Uribe. Ranny gangster nie protestował, zacisnął zęby i w milczeniu znosił narastający ból w nodze. Lebel i Meredith chwycili pod pachy adwokata i biegiem skierowali się do czekającego na nich w bramie volkswagena. Wepchnęli obu gangsterów na tylne siedzenie, skuwając im ręce kajdankami.

Lebel miał swój wypróbowany sposób zakładania kajdanków. Dwaj Kolumbijczycy siedzieli do siebie tyłem, a ich ręce były skute na krzyż. Byli całkowicie niegroźni. Meredith usiadł z przodu obok

kierowcy i dał znak, że mogą jechać. Lebel, Smith i ludzie z brygady antynarkotykowej ruszyli za nimi mikrobusem. Wiedzieli, że przez kolejne dni w Kolumbii będzie jeszcze bardziej gorąco niż zwykle. Kartel zacznie szukać swoich ludzi i poleje się krew, dziesiątki litrów krwi. Dla każdego z nich nie miało to większego znaczenia. Ich praca polegała na ryzykowaniu i niszczeniu przeciwnika. To była specyficzna odmiana wojny, a na wojnie zawsze ginęli ludzie, także przypadkowi.

Z małego, surowo urządzonego pokoju przy ulicy Raposo Calthrop z niesmakiem obserwował miasto. Sao Paulo tonęło w zanieczyszczeniach i dymie. Ponad dwudziestopięciomilionowe miasto z każdym dniem coraz bardziej przypominało ogromny śmietnik. Wyobraził sobie trzystutysięczny tłum przyjezdnych, którzy codziennie osiedlali się na peryferiach tego molocha. Jadąc do wynajętego z ogłoszenia pokoju, widział po drodze wypadki spowodowane zatruciem tlenkiem węgla. Kierowcy po prostu tracili w pewnym momencie przytomność i rozbijali się na pierwszym lepszym skrzyżowaniu lub zakręcie. Calthrop wiedział, że długo w tym mieście nie powinien pozostawać. Smog, który wisiał w powietrzu, po kilku dniach mógł sparaliżować mózg i uniemożliwić sprawne działanie.

Był 3 września, piąta po południu. W pokoju rozległ się krótki dzwonek. Calthrop nałożył na głowę czarną pończochę z otworami na oczy. Prawą rękę trzymał w kieszeni spodni, gdzie ukrył pistolet. Do drzwi nie podszedł. Stał za progiem w pokoju i zapytał:

- Kto tam?
- Leanos – zza drzwi doleciał gruby, męski głos. Dopiero teraz Calthrop podszedł i nacisnął klamkę.

Szybkim spojrzeniem obrzucił Leanosa. Brazylijczyk miał jasną jak na Murzyna skórę, dużą, szeroką twarz i proste, indiańskie włosy. Mieszaniec, ocenił Calthrop, wprowadzając go do pokoju. Wynalazł tego człowieka z ogłoszenia podobnie jak pokój niedaleko centrum. Leanos nie rozczarował go. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać Brazylijczyk, po prostu nie rzucał się w oczy. Sprawiał również wrażenie wysportowanego i silnego, co dla Calthropa nigdy nie było bez znaczenia.

– Jak długo pracujesz jako detektyw? – zapytał, kiedy Leanos usiadł na krześle.

– Będzie z dziesięć lat – odpowiedział flegmatycznie Brazylijczyk. – Gdybym wiedział, że chodzi o spowiedź, ładniej bym się ubrał...

– Nie bądź głupi – przerwał mu Calthrop. – U mnie możesz zarobić tyle, że wystarczy ci na kilka lat. Cóż, jeżeli masz za dużo pracy, możesz odejść.

Detektyw mierzył przez chwilę Calthropa wzrokiem, ale pod maską z pończochy nic nie wyczytał. Widział tylko oczy, które skojarzyły mu się z właścicielem zakładu pogrzebowego. Podniósł uspokajająco rękę i powiedział:

– W porządku. Co to za robota?

– Muszę cię ostrzec – odezwał się Calthrop, a jego chłodne oczy jeszcze bardziej zaniepokoiły Leanosa. – Jeżeli usłyszysz moją propozycję, będziesz musiał się zgodzić. W przeciwnym wypadku zabiję cię. Decyduj.

– Ile pan daje? – Detektyw zaczynał traktować sprawę poważnie.

– Dwadzieścia tysięcy dolarów. Po wykonaniu roboty piętnaście.

Leanos skrzywił się z zadowoleniem, a spod jego warg wysunęły się niekompletne, pokrzywione zęby. Ktoś musiał go nieźle kiedyś załatwić, pomyślał Calthrop. Brazylijczyk był typem faceta, który w życiu dostaje potężne baty, ale nikomu jak dotąd nie udało się oddać mu ostatniej posługi.

– Zgoda – skinął głową detektyw. – Za taką forszę mogę grać w ciemno.

– Chcę wiedzieć kto próbuje wypchnąć Amerykanów z narkotyków? W twoim mieście jest ktoś, kto za tym stoi. Zależy mi na czasie. Jeżeli dowiesz się czegoś do jutra – Calthrop specjalnie zawiesił głos – zarobisz podwójnie. Czterdzieści tysięcy, Leanos.

Detektyw zaniemówił. Była to taka góra pieniędzy, że w głowie zrobiło mu się przez moment pusto. Wiedział już, że zrobi wszystko, żeby ucieszyć swojego klienta. Znał to miasto jak niewielu innych, wiedział kogo można przekupić, kogo przekonać, a kogo należy zwyczajnie nastraszyć. Robota nie wydawała mu się szczególnie skomplikowana, tym bardziej, że chodziło o narkotykowy biznes. Takie sprawy przeważnie miały długi smród. Postanowił nie tracić czasu. Wziął od Calthropa pięć tysięcy dolarów i szybko wyszedł. W jego głowie ani przez chwilę nie zaświeciła myśl, żeby uciec z pieniędzmi. Zbyt dużo było do stracenia i zbyt wiele do zyskania.

Calthrop nie opuszczał mieszkania. Czekał aż detektyw da znać, że czegoś się dowiedział. Wyjął z neseseru niewielką skrzyneczkę i w ciągu kilku minut podłączył ją do telefonu. Był to identyfikator telefoniczny (Phone I.D.), urządzenie, które w Stanach Zjednoczonych stawało się coraz bardziej modne. Wystarczyło, że ktoś zadzwonił i aparat natychmiast wyświetlał na ekranie jego numer telefonu. Ten gadżet Calthrop stosował po raz pierwszy, ale nie wątpił ani przez chwilę, że okaże się bardzo praktyczny.

Leanos zadzwonił dwadzieścia po ósmej. Mówił szybko i z pewnym podnieceniem:

- To gruba sprawa, cholernie gruba...
- Do rzeczy – uspokoił go Calthrop, zapisując numer telefonu wyświetlony na ekranie identyfikatora.
- Wiem już, że zameldowali się w Vile Nova Jaquare. To centrum dzielnicy nędzarzy w naszym mieście. Mają niedaleko stąd całą ulicę...
- Kto?
- Tego jeszcze nie wiem, to znaczy, nie wiem na pewno. Teraz tam idę. Czuję, że będzie gorąco...
- Czekam na następny telefon – przerwał morderca i odłożył słuchawkę.

Za oknem było już ciemno. Żółto-szare światła na ulicy upodabniały miasto do olbrzymiej polany, na której rozpalono kilkaset tysięcy ognisk. Calthrop przyrządził sobie skromną kolację: kielbaski z konserwy, trzy bułki i mocną kawę. Wszystko zabrał ze sobą ze Stanów. Oceniał, że powinno mu to wystarczyć na dwa dni, później będzie musiał kupić coś na miejscu. Przypuszczał, że przez dwie doby detektyw zdobędzie dla niego informacje i będzie mógł zacząć działać.

Do pierwszej w nocy nic się nie działo. Calthrop leżał na łóżku, palił papierosy i w ciemnościach słuchał brazylijskiej muzyki. Odprężył się i myślami był daleko od Sao Paulo. W wyobraźni widział dojrzałą urodę Rosemary i zastanawiał się, czy uda jej się bez kłopotów zrealizować jego plan. Wiedział, że jego przyszłość tak naprawdę znajdowała się teraz w rękach kobiety. Oczywiście miał zawsze wyjście awaryjne, ale nie zmieniało to faktu, że wolałby, aby Rosemary powiodło się.

Była pierwsza zero cztery. Tym razem Leanos mówił konkretniej.

– To żółtki, Japonce. Wiem na pewno. Mają całą ulicę.

– Jak się nazywa? – zapytał morderca, wpisując na kartce kolejny numer telefonu wyświetlany przez identyfikator.

– Nie ma nazwy... Tu u nas tak jest, nie starcza czasu na nazwy.

Na mapie pan tego nie znajdzie, trzeba trafić. To nie problem. W Vile Nova Jaquare wystarczy teraz zapytać o żółtków...

– Czy dzwoniś z tej ulicy?

– Tak, udało mi się wynająć jako pomocnik sprzedawcy sera.

Chodzę tu i sprzedaję...

– Kim są ci Japończycy? – wtrącił Calthrop.

– Będę wiedział. Spróbuję im sprzedać ser – detektyw był lekko rozgorączkowany i widać było, że w myślach liczył już czterdzieści tysięcy dolarów.

– Dobrze – pochwalił Calthrop. – Pracuj tak dalej.

Udało mu się przespać tylko do siódmej. Obudził go telefon. Morderca sięgnął po długopis i dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

– Byłem tam – tym razem detektyw nie wiadomo dlaczego mówił szeptem. – Mieszkają w takim szarym domu. Łatwo poznać, bo przed drzwiami siedzi kilku facetów i nikogo nie wpuszczają. Aha, w tym domu są wszystkie szyby...

– Wiesz już kim są? – powtórzył pytanie Calthrop, a jego dłoń po raz trzeci spisała z ekranu identyfikatora numer telefonu.

– Jeszcze nie – odpowiedział z irytacją Leanos. – Wejdę tam po dachu...

– Skąd dzwoniś?

– Z budki – odpowiedział detektyw. – Oni tu naprawili wszystkie telefony... Za dwie godziny przyjadę. Podam panu nazwisko

gościa, który za tym stoi. Niech pan czeka i przygotuje forszę...

Calthrop odłożył słuchawkę i parsknął krótkim, pogardliwym śmiechem. Detektyw był naiwny jak dziecko, stwierdził cynicznie. Po tym telefonie wiedział, że Leanos nie pożyje już długo.

W brudnym, zaniedbanym mieszkaniu na skrzyżowaniu Calle 6 i Avenida Caracas odbywało się nietypowe przesłuchanie. Nie było adwokatów, sędziów ani prokuratorów, nie było oficjalnego oskarżenia i dowodów winy, byli wyłącznie trzej ludzie, którzy postanowili zmusić dwóch gangsterów do mówienia.

German Uribe, człowiek kartelu z Medellin i jego osobisty adwokat, Roman Pereira, siedzieli przykuci kajdankami do podłogi, z której wystawały potężne, stalowe haki. Nie ulegało wątpliwości, że Meredith radził sobie w Kolumbii całkiem nieźle. Lebel, który starał się szanować prawo, tym razem milczał. Rozumiał, że nie znajdowali się w Europie i obowiązywały go inne zasady gry. Nie zamierzał także sprzeczać się z kolegami z amerykańskiego wydziału do walki z narkotykami. Przesłuchiwanie zostawił więc Meredithowi i Smithowi, którzy najwyraźniej lubili taką robotę.

Gangsterzy mieli zalepione usta plastrem i nie wysilali się nawet, żeby krzyżeć. Smith pozwolił sobie na otwarcie okna, opuszczając tylko plastikowe żaluzje.

– Skąd wiedziałeś, że przylecą tutaj Francuzi? – zapytał po raz drugi Meredith.

Uribe pokręcił przecząco głową. Był uparty i nie zamierzał mówić.

– Cóż, widzę twoją przyszłość czarno – powiedział Meredith i strzyknął śliną na podłogę. – Ale powiesz, powiesz wszystko, kochasiu...

Wyszedł na moment do drugiego pokoju i wrócił z żelazną klatką, w której znajdowało się zaledwie kilka małych otworów.

– To jest para dość głodnych szczurów – zaczął powoli Meredith. – Wyjmę jednego i włożę ci w spodnie... – przerwał, widząc jak oczy gangstera stają się czerwone z przerażenia. – To znany ci sposób rozwiązywania języka, prawda? Nauczyłem się tego od was i muszę przyznać, że jest to bardzo skuteczny sposób. Taki szczurek może dużo zdziałać dla obywateli. Zawiążemy ci nogawki i damę tysiąc dolarów, że wśliźnie ci się w kichy zanim policzę do dziesięciu...

Lebel odwrócił się i podszedł do okna. Z niesmakiem słuchał Mereditha, ale musiał przyznać, że na Uribe zrobiło to wrażenie. Bandyta przestraszył się i potraktował słowa Amerykanina poważnie. Smith również to zauważył, ale wyraźnie wolałby, żeby gangster został poddany próbie szczura. Takie wyrafinowane okrucieństwo w imieniu prawa bardzo mu odpowiadało. Po raz pierwszy stał po właściwej stronie i nie czuł się obcy. Patrzył wyczekująco na Mereditha.

Uribe zwiesił głowę i zrezygnowany zdecydował się mówić. Jego adwokat odetchnął. Nie miał tak dobrych nerwów jak jego szef i wygadałby wszystko bez specjalnego nacisku ze strony agentów. Smith odkleił plaster z ust gangstera.

– Dobrze, powiem wszystko – zaczął, krztusząc się na początku, Uribe. – Przyznaję, że pracuję dla Jose Gonzelo.

Meredith postawił obok niego miniaturowy magnetofon. Poklepał gangstera protekcjonalnie po ramieniu i powiedział:

– Nie przejmuj się tym. Muszę to dokładnie przesłuchać. Kto wam nadał Francuzów?

– Był telefon... Z Francji – Uribe jeszcze się wahał, jeszcze próbował grać na zwłokę. – Nie bardzo pamiętam... Nazywał się jakoś tak dziwnie...

– No, ciągnij tak dalej, a za chwilę kopnę cię w dupę i trochę się zabawimy – warknął na niego Meredith. – Fakty, albo nasz przyjaciel cię przekona – palce agenta zabębniły o wieko klatki.

Uribe zmiękł ostatecznie. Jąkając się jak zepsuta zabawka, powiedział:

– Perera... Tak się nazywa facet, który nam zlecił robotę. Mieszka w Bogocie i często kontaktuje się z Francuzami.

– Z kim?

– Z Sabatinim, z Francoisem Sabatinim... Mamy wspólne interesy.

– Domyślam się – wtrącił się Lebel. – Czy Perera jest łącznikiem?

– Tak. Przez niego przekazujemy informacje. Tym razem prosił nas o coś extra. Mieliśmy sprzątnąć Francuzów.

Lebel czuł, że Kolumbijczyk ma jeszcze sporo do powiedzenia, że coś stara się ukryć. Powstrzymał gestem Mereditha i kucnął obok gangstera. Pod wpływem przenikliwego, badawczego wzroku agenta, Uribe zaczął się wiercić i patrzeć coraz bardziej nerwowo w podłogę. Nie podobało mu się, że Francuz tak mu się przygląda.

– Czy Sabatini miał jeszcze jakieś życzenia? – zapytał ostrożnie Lebel.

Wzrok Uribe prześliznął się tylko po klatce i spoczął na Lebelu.

– Tak. Prosił o przysługę – powiedział Kolumbijczyk. – Porwaliśmy dla niego takiego jednego zakonnika. Cholera wie, po co mu ten stary, ale przyjacielska próba... Sam pan wie, trudno odmówić.

– Czy ten zakonnik nazywa się Roger Calthrop? – naciskał Lebel. – Gdzie go przetrzymujecie?

– Widzę, że to ktoś ważny... – mruknął trochę zaskoczony gangster. – Tak, chodziło im o tego gościa. W zakonie nazywają go ojciec Polo. Mamy go i jest pod opieką naszego człowieka niedaleko Villavicencio.

– Ilu ludzi go pilnuje? – zapytał Lebel.

– Trzech – odparł bez zająknięcia Uribe. – Ten trzeci to wieśniak. Dość bogaty, ale nie należy do nas. Użycza nam, jak to mówią, schronienia...

Meredith łypnął na gangstera spod oka i wruszając ramionami powiedział:

– Nie rozluźniaj się, Uribe. Czeka cię jeszcze jedna wycieczka. Tym razem odwiedzimy dom tego wieśniaka. Mam nadzieję, że zakonnik żyje.

– Żyje – odrzekł szybko Kolumbijczyk. – Nie mieliśmy go zabijać. To nikt ważny dla nas.

Tego samego dnia w Paryżu o godzinie dziesiątej dwadzieścia, dwaj ludzie uścisnęli sobie dłonie i wygodnie rozciągnęli się na leżakach. Była ciepła, przyjemna pogoda, a słońce nie grzało zbyt mocno. Jasne, popielate chmury odsłaniały co jakiś czas przelatujące wysoko samoloty, a ledwie wyczuwalne podmuchy wiatru delikatnie orzeźwiały.

Francois Sabatini popatrzył przez chwilę w zamyśleniu na swój basen w kształcie ryby i przeniósł wzrok na Luciano Parottiego. Obaj mężczyźni byli ubrani podobnie. Nosili czarne garnitury z lekkim połyskiem, białe koszule, solidne, skórzane mokasy i stonowane, niekrzykliwe krawaty. W klapy marynarek obaj mieli wpięte czarne paski na znak żałoby. Francuz kaszlnął krótko i zapytał:

– Może drinka?

– Whisky – powiedział Parotti, udając, że nie dostrzega jak gospodarz zerka na zegarek. Przyzwyczyił się, że ludzie obcujący z alkoholem lubią znajdować u innych oznaki uzależnienia. Taką właśnie oznaką była dla wielu z nich wczesna pora sięgnięcia po pierwszego drinka. Kogoś takiego Parotti nigdy nie wyprowadzał z błędu, nigdy nie tłumaczył, że od wielu lat pija tylko raz dziennie, nie więcej niż jednego drinka.

Goryl z obstawy Sabatiniego, Gojko Petrovic, oddalił się kilka kroków i szepnął coś do ucha jednemu ze swoich ludzi. Tamten skinął głową i po marynarsku rozkołysanym krokiem udał się przez balkon do domu.

– Don Gambino przesyła panu pozdrowienia i wyrazy współczucia – odezwał się obojętnym tonem Parotti. – Słyszał o tragicznym wypadku i bardzo się tym zmartwił. Prosił, abym powiedział panu, że pragnie zgody i jest gotów uczynić wszystko dla przyjaciół.

Sabatini wyjął z kieszeni ciemne okulary i wolno wsunął je sobie na nos. Wyglądało to tak, jakby chciał się przed czymś zamaskować. Parotti wyczuł w tym odrobinę lekceważenia, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

– Niech pan podziękuje don Gambino i powtórzy, że chcę być jego przyjacielem – powiedział lodowato Francuz. – Nie zamierzam wywoływać wojny z powodu kobiety, która kiedyś należała do niego

– przerwał i celowo przypatrywał się zza czarnych szkieł Amerykaninowi. Wiedział, że to co powiedział, było dla tamtego upokarzające, ale nie mógł sobie odmówić tej małej chwili satysfakcji. – Domyślam się, że nie sprowadza pana tutaj tylko ta sprawa, Parotti.

Brzydka twarz Nowojorczyka rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Wziął z ręki Petrovica drinka i wdychając przyjemny, ostry zapach whisky, powiedział:

– Niepokoi nas pańskie zainteresowanie Charlesem Calthropem. Ten człowiek jest nam potrzebny i nie możemy z niego zrezygnować. Przynajmniej w tej chwili.

Sabatini nie zdołał ukryć cichego westchnienia, które mogło oznaczać irytację, ale mogło być także wyrazem wściekłości. Parotti kontynuował:

– Wiemy, że zaopiekował się pan jego bratem...
– Dużo wiecie – wycedził jadowicie Francuz.
– Don Gambino rozumie pana, rozumie chęć zemsty – ciągnął twardo capo. – Prosi jednak o przysługę. Czy pańska zemsta może zaczekać? Czy o tę przysługę możemy pana prosić?

Palce Sabatiniego wolno pocierały żalobę w klapie. Paryski mafioso doskonale wiedział, że nie była to tylko prośba. Była to tak zwana propozycja nie do odrzucenia. Nawet nie zdenerwował się, raczej uspokoił. Skoro Gambino o wszystkim wiedział, nie było właściwie sensu odmawiać mu tej przysługi. Z drugiej strony zastanawiał się czy nie zostanie to odebrane jako objaw słabości. Tego Sabatini nie mógłby ścierpieć. W dodatku chodziło o człowieka, który pierwszy miał Monikę w łóżku. Francuz, mimo swojego wieku, nie mógł uwolnić się od zazdrości, nie potrafił powstrzymać swojej wyobraźni. Ten piekący bolesny kompleks, tkwił w nim głęboko

i nie pozwalał trzeźwo myśleć. Oczywiście dotyczyło to wyłącznie starego Gambino.

– Ile czasu potrzebujecie? – zapytał, przełamując się z trudem. Rozsądek jednak zwyciężył.

– Nie wiem – odparł Parotti. – Myślę, że niewiele. Powiadomimy pana, kiedy Calthrop skończy.

Sabatini przytaknął. Zapytał na wpuł od niechcienia:

– Czy Calthrop już wie o swoim bracie?

– Nie wie – odpowiedział Amerykanin, zapalając cygaro. – To nie nasza sprawa. Będziemy milczeć. To chyba uczciwa cena za pańską przysługę. O nim wie już zbyt wielu ludzi, dlatego powinien odejść. Proszę czekać na mój telefon.

Francuz dopiero teraz zdjął okulary, położył je na stoliku i wstał. Uścisnął dłoń Parottiego i spojrzeniem nakazał Petrovicowi, aby odprowadził gościa do drzwi. Wyobrażał sobie, jak bolą głowy ludzi komisarza Saksona. Całodobowa obserwacja willi musiała im się dać we znaki. Do tego ta nagła wizyta człowieka z klanu Gambino. Sabatini był tak rozbawiony, że z trudem powstrzymał się, żeby nie zadzwonić do komisarza Saksona i nie zapytać o zdrowie. Zrezygnował tylko dlatego, że wiedział, iż telefony są na podsłuchu. Cóż, sam prosił policję o opiekę i teraz musiał to jeszcze przez jakiś czas wytrzymać. Musiał żyć ze świadomością, że przypomina jajko, które dwaj faceci próbują wypić jednocześnie z obu stron.

Kierowca taksówki najwyraźniej się nudził. Gryzł z dziką, zwierzęcą zaciękością słone paluszki i niecierpliwie spoglądał w lusterko. Od chwili, gdy jego pasażer kazał mu zatrzymać się na chodniku, upłynęła już prawie godzina. Licznik cały czas wybijał cyfry, a

taksówkarz zaczynał się zastanawiać, czyjego klient nie jest przypadkiem stuknięty. Nie wyglądał na takiego, ale zachowywał się co najmniej dziwnie. Po prostu siedział i czytał gazetę. Czasami spoglądał ospale na jadące samochody. Taksówkarz zamierzał się odezwać, kiedy tuż przed jego nosem pojawił się pięćdziesięciodolarowy banknot. Rozpogodził się w ciągu jednej sekundy, chciał podziękować, ale mężczyzna siedzący z tyłu uspokoił go ruchem ręki, że to zbyt wiele.

Kilkanaście metrów dalej zatrzymał się bordowy ford mustang. Calthrop opuścił trochę gazetę i śledził wzrokiem czterech mężczyzn, którzy siedzieli w środku. Jednym z nich był detektyw Leanos. Trzech pozostałych nie znał. Byli to Azjaci. Wysiedli z forda i zdecydowanym krokiem weszli do pobliskiego budynku. Calthrop spojrzął na zegarek, za kilka sekund powinni znaleźć się w mieszkaniu, które wynajmował. Sięgnął do kieszeni i odnalazł przycisk, uruchamiający elektroniczny zapalnik. Kiedy w oknie dostrzegł sylwetkę jednego z nieproszonych gości, spokojnie nacisnął guzik. Wybuch był potężny. Okno zniknęło, a w jego miejsce pojawiła się ogromna dziura. Ściana budynku w kilku miejscach silnie się zarysowała.

Calthrop udał przestraszonego, podskoczył, opuścił gwałtownie gazetę i wrzasnął:

– Czy w tym mieście nie ma chwili spokoju? Niech pan rusza. Nienawidzę bomb, cholernie nienawidzę bomb...

Taksówkarz ruszył i z pobłażliwym spojrzeniem słuchał bełkotu swojego klienta. Jeszcze jeden zasrany Europejczyk, któremu się zdaje, że przyjechał do rajów, myślał. Nie lubił obcokrajowców, zazdrościł im wszystkiego po trochu, a najbardziej pieniędzy.

– Vile Nova Jaquare – powiedział Calthrop, obserwując ulicę. Zapalił papierosa i przyglądał się kipiącej życiem brazylijskiej ulicy.

Po niecałej godzinie wjechali w dzielnicę nędzy. Morderca wypytywał Azjatów, ale w gąszczu slumsowych bud i rozpadających się domów, nie odnalazł nikogo. Wszędzie kłębili się brudni i obdarci wieśniacy. Postanowił zapytać kierowcę.

– Słyszałem, że macie tutaj Japończyków? – odezwał się z nieukrywaną ciekawością rasowego turysty.

– Japończyków? – powtórzył pytanie taksówkarz. – Si, si, senior... Są Japończycy, mało, ale są – mówił łamaną angielszczyzną. – Tu niedaleko... Każdy chce u nich pracować. Oni dawać pieniądze, praca... si, senior, są Japończycy.

Wjechali w ulicę, która sprawiała wrażenie czystszej od pozostałych. Już na rogu Calthrop zauważył kilku mężczyzn ze skośnymi oczami. Wyglądało na to, że nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Taksówka minęła ich i powoli przesuwała się wzdłuż domów z całym, w dodatku czystymi, szybami. Leanos nie przesadzał, stwierdził morderca, oni tutaj rzeczywiście robią porządek. Koło budki telefonicznej kazał kierowcy zatrzymać się. Wiedział, że może być obserwowany, dlatego śpieszył się. Podeszedł do aparatu, podniósł słuchawkę i rzucił okiem na numer. Wszystko się zgadzało, to z tej budki telefonował do niego brazylijski detektyw. Wrócił do taksówki i kazał kierowcy jechać do City.

Wiedział już, że na tej ulicy niewiele może zdziałać. Poza miejscowymi handlarzami, tłumem narkomanów i prostytutek, nie było tu nikogo porządnego. Japończycy mieli każdego obcego jak na dłoni. Calthrop domyślał się, że o to właśnie chodziło. Za parę dolarów można było kupić tutaj każdego.

Po dwugodzinnej jeździe znaleźli się w centrum miasta. Morderca

kazał taksówkarzowi jechać do sklepu, w którym mógłby kupić latające modele samolotów. Kierowca był zachwycony, ponieważ nieco wcześniej otrzymał drugi banknot, a domyślał się, że to z pewnością nie będzie wszystko. Ten dziwny pasażer, który na początku go denerwował, teraz stał mu się prawie bliski.

Calthrop rozczarował jednak kierowcę, ponieważ w pobliżu sklepu modelarskiego rozstał się z nim definitywnie. Brazylijczyk odjechał z kwaśną miną, a morderca wszedł do sklepu. Kupił dwie rzeczy: Varioprop do zdalnego sterowania modeli latających i model jednopłatowego samolotu firmy Grundig. Na jego wyraźną prośbę sprzedawca zapakował wszystko w podłużne pudełko, tak aby nie rzucało się w oczy.

W pobliskim barze Calthrop zjadł lunch, po czym znów znalazł taksówkę. Po raz kolejny tego dnia ruszył w kierunku dzielnicy Vile Nova Jaquare. Tym razem miał nadzieję, że dowie się czegoś więcej.

Taksówka zatrzymała się kilka przecznic przed ulicą Azjatów. Calthrop zlustrował wzrokiem chodnik i natrafił na obdartego czteronastolatka, który palił papierosa i sprzedawał gumę do żucia. Pokazał chłopaka kierowcy i poprosił, aby go zawołał. Taksówkarz wyszedł niechętnie, bojąc się, że zostanie napadnięty. Szepnął coś młodzieńcowi do ucha i szybko chciał wrócić do samochodu. Calthrop powstrzymał go ruchem ręki. Zawołał do środka chłopaka, który nieufnie patrzył na białą skórę nieznanego. Kiedy chłopak wsiadł, natychmiast przystąpił do rzeczy.

– To jest tysiąc dolarów – powiedział i pokazał plik studolarówek. – Możesz to mieć, jeżeli będziesz bystry. Rozumiemy się?

Chłopak skinął głową i oczy zaświeciły mu się do pieniędzy. Wciąż jednak widać było, że nie ufa Calthropowi.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie: kto rządzi ulicą Japończyków? – zapytał morderca, starając się trzymać pieniądze przed oczami młodego Brazylijczyka.

– Nie znam go – odpowiedział chłopak, wycierając rękawem nos. Mówił po hiszpańsku z twardym akcentem.

– Trudno – skrzywił się Calthrop. – Nie chcesz mi pomóc, to wysiadaj. Znajdę kogoś innego. Ten tysiąc to nie wszystko, co chciałem ci dać... Żegnaj, amigo.

Dopiero teraz mózg chłopaka wysłał odpowiednie sygnały, ponieważ pochylił się do ucha Calthropa i szepnął:

– Toshire Matsumito... To straszny człowiek, senior.

– Nie lubisz go?

– Nikt go tutaj nie lubi – odparł cicho Brazylijczyk. – On jest obcy i wykorzystuje nas. Każdej nocy znajdujemy trupy naszych kolegów. On ma pieniądze i wszyscy mu donoszą... – młodzieniec podniósł wystraszony wzrok na Calthropa jakby obawiał się, że ten zdradzi go przed Japończykiem.

– Nie bój się – uspokoił go Calthrop. – Jeżeli chcesz pozbyć się tego człowieka...

– To niemożliwe! – W głosie chłopaka zabrzmiał lęk. – Oni mają broń, helikoptery, dużo dobrych samochodów... Przekupili też wielu naszych...

– Dostaniesz dużo pieniędzy i nikt nie będzie o tobie wiedział – powiedział Calthrop, wsuwając młodzieńcowi do kieszeni sto dolarów. – Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

– U mnie na strychu – odpowiedział szybko chłopak. – Możemy tam pojechać... – przerwał i rozejrzał się bystro dookoła.

Calthrop dał znak kierowcy, że może wsiąść i ruszać.

Chłopak skurczył się, przykrył sobie głowę kołnierzem i pokazywał drogę. Wjechali w rozwalające się domy. Wokoło piętrzyły się butelki, cegły, śmiecie, puszki i kamienie. W oknach i przed domami wisały na sznurach nędzne, podziurawione ubrania. Wśród tego wszystkiego stały porzewiałe samochody, pomiędzy którymi kręcili się pochmurni ojcowie i ich powykrzywiane, nigdy nie leczone, dzieci. Przez otwarte okna samochodu zalatywał smród odchodów i gotowanego jedzenia.

Chłopak klepnął kierowcę w ramię, że może stanąć. Otoczył ich tłumek dzieci, które ciekawie zaglądały do środka. Taksówkarz wysiadł z samochodu i krzyknął coś w ich stronę. Odsunęły się, ale rozległy się przekleństwa i śmiech.

– Niech pan idzie za mną – powiedział Brazylijczyk. – Tylko szybko, senior, bardzo szybko...

Calthrop zapłacił kierowcy i zdecydowanym krokiem poszedł za młodzieńcem. Taksówka ruszyła z piskiem i po kilku sekundach zniknęła za zakrętem. Morderca zrozumiał, że był słabym klientem i nie wybrał się tam gdzie powinien. Uśmiechnął się, w milczeniu pokonując schody. Ktoś wyjrzał ciekawie na klatkę schodową i piskliwy głos odbił się echem od poobijanych ścian. Chłopak nie zareagował, machnął ręką z lekceważeniem i otworzył zamknięte na kłódkę drzwi. Calthrop wszedł ostrożnie, starając się nie porysować skóry neserera i nie połamać pudełka z modelem samolotu.

Znajdowali się na strychu. Deski pooklejane były plakatami z wizerunkami gwiazd muzyki i filmu. Wszędzie stały butelki po winie i puszki po piwie. Na wybitym okienku wisała brudna, przeźroczysta szmata, a na podłodze stały trzy krzesła. Stół miał trzy nogi i podparty był koszem, w którym leżały zgniłe banany.

Calthrop usiadł na krześle i pokazał chłopakowi miejsce naprzeciwko. Tamten był tak zaaferowany wizytą; że posłuchał go prawie automatycznie.

– Chcesz się stąd wyrwać? – zapytał Calthrop, patrząc przenikliwie na chłopaka.

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Młody Brazylijczyk nie ufał mu jeszcze, wciąż się oswajał. Zbyt wiele przeżył i zbyt twarde było jego życie, aby uwierzyć komuś tylko na słowo. Calthrop zrozumiał go, wyjął pieniądze i położył na stoliku.

– Są twoje – stwierdził. – Proponuję ci umowę. Jeżeli pomożesz mi załatwić tutaj pewną sprawę, ja pomogę ci wyjechać z tego miejsca. Dam ci pieniądze, które umożliwią ci zamieszkanie tam, gdzie zechcesz. Będziesz mógł się uczyć lub pracować. To zależy od ciebie.

– Ile dostanę – chłopak był konkretny.

– Tu jest dziewięćset dolarów – odparł Calthrop. – Razem z tym co już ci dałem, masz równo tysiąc. Pomnóż to przez dziesięć. Odpowiada ci?

Chłopak schował pieniądze do kieszeni wewnątrz kurtki i pochylił się, sięgając za dużą, rozpadającą się skrzynkę. Calthrop nie spuszczał go z oka w każdej chwili gotowy połamać mu kręgosłup. W rękach chłopaka pojawiły się dwie puszkę piwa. Postawił je na stoliku i mrużąc oczy, powiedział:

– Zgadzam się, senior. Co mam robić?

Terenowy mercedes 280 GE zostawiał za sobą gęsty kurz. Droga była wyboista i pokryta dziurami. Po lewej stronie ciągnęła się wypalona dżungla, po prawej rosło coś podobnego do trawy.

Gdzieniedzie tkwiły kikuty drzew, z których wyrastały zielone liście. Widać było, że przyroda i człowiek toczą tu bezlitosną walkę o przetrwanie.

Perera przełączył reduktor biegów i silnik mocniej zawył.. W odali pojawiły się nieregularne kontury zabudowań. Lamartine, który siedział obok, ziewnął przeciągle i wyjął z kieszeni długie, hawajskie cygaro. Przytknął je do nosa i głęboko wciągnął powietrze. Wyraz jego twarzy upodobił się do poobiedniego wizerunku prezydenta. Było mu błogo i przyjemnie. Co pewien czas spoglądał ukradkiem na Pererę i podziwiał twardy, męski profil Brazylijczyka.

Gospodarstwo, do którego przyjechali, składało się z trzech budynków: dużego drewnianego domu, garażu i stodoły. Wjazd na podwórko zagradała wysoka, metalowa brama. Kiedy samochód zatrzymał się Perera nacisnął klakson, zza budynku wynurzył się przygarbiony, ponury typ i leniwie podszedł do bramy. Sprawiał wrażenie nierozgarniętego i brudnego. W jego twarzy mieszały się rysy białej i indiańskiej rasy. Lamartine, nie wychodząc z samochodu, skrzywił się z niesmakiem. Wyobraził sobie smród, jaki czuć było od tego człowieka.

– Senior Perera – mruknął wieśniak, rozpoznając gościa. – Pan Rodriguez ucieszy się...

Brama została otwarta i po chwili mercedes zahamował w tumanie kurzu na podwórko. Perera uśmiechnął się porozumiewawczo do Lamartine'a, co miało oznaczać, że za chwilę przekona się jak dobrze wszystko zostało przygotowane. Biały garnitur Perery robił się coraz bardziej szary, a jaskrawa, czerwono-żółta koszula przesiąkła potem i śmiesznie drgała, przykleiwszy się do jego wydatnego brzucha. Lamartine zauważył małego, chudego mężczyznę w skórzanych

butach z cholewami, który powoli wyszedł z domu. Nie śpieszył się, lecz zachęcająco skinął na gości metalowym kubkiem, który trzymał w dłoni.

Perera podszedł do niego i podał mu rękę. Zrobił to gestem człowieka, który wie, że robi komuś uprzejmość. Wieśniak ubrany był w zieloną koszulę i luźne, poplamione spodnie. Teraz właśnie wycierał o nie pomarszczone ręce. Lamartine nie zdążył wysiąść z samochodu, ponieważ z garażu doleciało przenikliwe stuknięcie. Odwrócił głowę i prawie natychmiast przesiadł się za kierownicę. Zrobił to odruchowo, bez paniki, ale dostatecznie szybko. Perera nie drgnął nawet. Patrzył w wylot lufy pistoletu i nie mógł zrozumieć, skąd nagle wyrósł przed nim mężczyzna w ciemnym, lśniącem garniturze. Obaj wieśniacy rzucili się na ziemię i nie poruszali się.

Drzwi do garażu otworzyły się z trzaskiem i sekundę później rozległ się strzał. Kula uderzyła w szybę mercedesa na wysokości głowy Lamartinea. Francuz schylił się instynktownie, ale szyba wytrzymała. Przełączając biegi i wciskając gaz myślał z wdzięcznością o zapobiegliwości Perery. Nie miał wątpliwości, że wyłącznie kuloodpornej szybie zawdzięczał życie.

Z garażu wybiegł Smith, pochylił się i wycelował w oponę. Lamartine zrobił ostry zakręt, dostrzegając kątem oka innego agenta. Widział jak tamten odbezpiecza granat i unosi rękę nad głowę. Jeszcze moment i granat wylądował mu na głowie, przemknęło przez głowę Francuza.

Lebel trzymał pistolet przy karku Perery i ze spokojem zawodowca obserwował wyczyny Lamartine'a. Wiedział, że niezależnie od tego czy sekretarz Francois Sabatiniego zdoła uciec, on miał już w rękach wszystkie brakujące karty. Perera zaczął mówić bez

specjalnego naciskania, tego był pewien. A to wystarczy, aby wszczęć śledztwo przeciwko paryskiemu bossowi.

Smith już po raz trzeci spuszczał. Lamartine rozbił na miazgę agenta z granatem. Uderzył w niego w chwili, gdy ręka wyrzucała śmiertelny ładunek. Granat przeleciał przez podwórko i z hukiem eksplodował pod nogami Smitha, Kanadyjczyk był tak zdziwiony, że nawet nie odwrócił głowy. Jego ciało zawisło na stojącym pod ścianą rowerze, a dłoń kurczowo zacisnęła się na pistolecie.

– Nie ruszaj się – ostrzegł Lebel Pererę. – Twój przyjaciel nie ma żadnych szans.

Lamartine jednak był wyraźnie górą. Rozpędził mercedesa i uderzył w bramę. Terenowy wóz zwolnił na moment, po czym ciągnął za sobą fragment pociętych drutów, zaczął oddalać się w stronę miasta. W oknie domu pojawił się Meredith i starannie wymierzył do uciekiniera z sześciostrzałowego oriona. Kiedy naciskał cyngiel doskonale wiedział, że Lamartine wydostał się z zasadzki i niewiele mogą mu zrobić. Zaklął tylko pod nosem i opuścił rewolwer.

– Nie musimy się śpieszyć – usłyszał za sobą głos Lebela. – Ten człowiek ma w Paryżu wystarczająco dużo przyjaciół, żeby go zamknąć. Wcześniej czy później odezwie się do nich. To jest więcej niż pewne, Meredith.

Amerikanin popatrzył na Lebela roztargnionym wzrokiem i podszedł do opartego czołem o ścianę Perery. Brazylijczyk skurczył się lekko, jakby obawiał się nagłego uderzenia. Meredith uśmiechnął się. On także zrozumiał, że złapali faceta, który będzie mówił.

– Smith i twój człowiek nie żyją – powiedział cicho Lebel. – Gospodarz jest ranny w nogę, a jego parobek uciekł w pole. Musimy stąd odjechać, zanim Lamartine zawiadomi ludzi w Medellin,

Perera zbyt dużo dla nich znaczy, żeby go zostawili w spokoju.

– Masz rację – potwierdził Meredith. – Zajmiemy się nim. A ten? – pokazał palcem podłogę.

Lebel pochylił się i otworzył ciężką klapę. Podłoga wyglądała w tym miejscu wyjątkowo dobrze. Widać było, że ktoś zadawał sobie sporo trudu, aby piwnica mogła być zawsze wykorzystana. Wielka, stalowa zasuwą przykręcona była tylko z jednej strony. Od zewnątrz. Piwnica mogła więc służyć za idealne więzienie. Wystarczyło wyciągnąć ze środka przeszło dziesięciometrową drabinę i człowiek umieszczony na dole nie miał żadnych szans na ucieczkę. Lebel patrzył w ciemny otwór, czując bijący stamtąd chłód.

– Może ojciec wyjść – zawołał w dół. – Już po wszystkim.

Rozległo się skrzypnięcie drabiny i po chwili z piwnicy wygramolił się umazany błotem zakonnik. Jednym dmuchnięciem zgasił świecę, którą trzymał w ręku. Mrużąc oczy rozejrzał się po pokoju.

– Dzięki Bogu, że już po wszystkim – powiedział tonem człowieka, który strawił życie na przeniknięciu tajemnicy cierpliwości. – Nic z tego nie rozumiem. Strzelacie do siebie, moi drodzy, jak za przeproszeniem na polowaniu. Trudno mi jednak odgadnąć, jaką rolę ktoś przewidział dla mnie.

Popatrzył na Lebela i przeniósł wzrok na Mereditha. Obaj agenci nigdy przedtem nie widzieli człowieka, który zadawałby pytania w równie stoicki sposób. W dodatku byli pewni, że zakonnik nie udawał. Jego spokój był jakby wrośnięty w jego ciało.

Lebel założył kajdanki na ręce Perery i przykuł Brazylijczyka do ciężkiego, żelaznego łóżka w rogu pokoju. Meredith zrozumiał, że Francuz bierze na siebie sprawę zakonnika i bez słowa wyszedł na podwórko. Jednym spojrzeniem upewnił się, że jego współpracownik

nie żyje. Wszedł do garażu i pchnął drewniane wrota. Usiadł na siedzeniu starego amerykańskiego jeepa, którym tu przyjechali i sięgnął do radiostacji.

– Tu Meredith – powiedział zmęczonym głosem. – Wyślijcie helikopter.

Dokładnie w tym samym momencie Lebel zatrzymał się przed zakonnikami i zapytał:

– Czy ojciec kontaktuje się ze swoim bratem, Charlesem?

I znów ta przekłeta, kościelna maska, przeklął w duchu Lebel. Z twarzy zakonnika nie potrafił wyczytać absolutnie nic. W swojej karierze policjanta i agenta Interpolu nigdy jeszcze nie spotkał kogoś takiego. Fakt, że był to pierwszy klecha, z którym zetknął się zawodowo, niczego nie zmienił. Według wszelkich prawideł psychologii, jakimi karmiono go na kursach z kryminalistyki, coś takiego nie powinno istnieć. A jeżeli istniało, to było martwe.

– Zadał mi pan dziwne pytanie? – odezwał się ojciec Polo. – Nie widzę związku...

Lebel postanowił zagrać wprost. Usiadł na łóżku i pokazał palcem Pererę.

– Czy ojciec wie kim jest ten mężczyzna? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi. – To przestępca. Przez takich ludzi giną tysiące dzieci... Tak, dzieci, bo one głównie zaczynają brać narkotyki. Ten człowiek zarabia na tym tysiące dola rów. On wyjaśni, dlaczego ojca porwali i zamknęli w piwnicy – Lebel odwrócił się do Perery i zachęcił go dłonią do mówienia. Gest zrobił swoje, ponieważ Brazylijczyk poruszył się niecierpliwie i wyszeptał:

– Czego chcesz?

- Powiedz ojcu Polo prawdę...
- Nie znam jej – odpowiedział Perera. – Zadzwonili z Paryża i kazali mi zająć się porwaniem tego człowieka. Miałem go przetrzymać. Prawdopodobnie chodziło o szantaż.
- Zgadza się – skinął głową Lebel. – Chodziło o bardzo szczególny rodzaj szantażu. Dla pewnych ludzi jest ojciec wyjątkowo cennym zakładnikiem.

Na zewnątrz rozległ się szum lądującego helikoptera. Lebel wprowadził z domu Pererę i przekazał go dwóm barczystym, ciemnoskórym policjantom. Chwycili go pod pachy i błyskawicznie wciągnęli do wielozadaniowego śmigłowca S-76. Agenci z amerykańskiej brygady antynarkotykowej kręcili się po podwórku i nerwowo strzelali oczami. W każdej chwili byli przygotowani na atak potężnej, kolumbijskiej mafii. Atak mógł przyjść z każdej strony. Dwaj lekarze opatrzyli nogę wieśniaka, wnieśli do śmigłowca zwłoki zabitych agentów i dali znak Meredithowi, że skończyli.

Lebel, popychając lekko przed sobą zakonnika, dobiegł do helikoptera i szybko zajął miejsce w środku. Po kilkunastu sekundach pilot włączył pełną moc silnika i czteropłatowy wirnik zaczął się coraz szybciej obracać. Zakonnik zajęty był przekładaniem paciorków różańca. Wydawało się, że jest mu obojętne dokąd go zabierają. Lebel usiłował ukryć ciekawość. Roger Calthrop, brat tajemniczego zawodowego mordercy, bardzo go zaintrygował. Francuz czuł, że nie będzie łatwo wciągnąć zakonnika w grę Interpolu. Coś w środku podpowiedziało mu, że będzie musiał znaleźć szczególnie przekonujące argumenty.

„Ogłoszenie matrymonialne” – ten wyraźny napis wydrukowany w miejscowej gazecie dopiero teraz zaczynał mieć dla Rosemary Greenwood istotne znaczenie. Siedziała właśnie w wygodnym fotelu sam na sam ze starszym, sympatycznym pracownikiem jednego z największych biur matrymonialnych na Manhattanie i oglądała przygotowane specjalnie dla niej fotografie.

Czasami podnosiła wzrok i patrzyła przez okno na ponad stumetrowy wodospad spływający po ścianach z różowego marmuru. Wspaniały Trump Tower, symbol błyskawicznego sukcesu i fantazji amerykańskich biznesmenów, nastrajał ją dziwnie sentymentalnie. Znów spojrzała na trzy zdjęcia, które wydawały jej się najbardziej interesujące. Uważnie porównywała dane każdego z kandydatów na męża.

- Czy na pewno są samotni? – upewniła się już po raz kolejny.
- Z pewnością, proszę pani – odpowiedział z ciepłym, naturalnym uśmiechem pośrednik. – Bardzo dokładnie sprawdzamy nasze oferty. Pani wybór, jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, jest znakomity. Każdy z tych panów pasowałby do pani urody i elegancji...

Przerwał, widząc że kobieta przestała go słuchać. Przyglądał się jej ukradkiem i zastanawiał, czego tak naprawdę szuka. Wiedział, że jest niezależna i pewna siebie. Domyślał się również, że ma pieniądze. Próbował odnaleźć w niej coś, co powiedziałyby mu o niej prawdę. Była piękna. Klasycznie piękna. Kiedy mówiła, jej usta wykonywały tysiące minimalnych drgań, co wyglądało tak zmysłowo, że pośrednik co pewien czas musiał spuszczać oczy. Nie miał wątpliwości, że jego klientka jest kobietą o jakiej marzą setki mężczyzn.

– Ten – powiedziała nagle i podała mu fotografię z wizerunkiem starszego, siwego mężczyzny. – Ten mi się podoba. Jest taki męski...

Pośrednik rzucił okiem na zdjęcie i z uznaniem skinął głową. Wybór był bezbłędny. Mężczyzna na fotografii przypominał Clinta Eastwooda w jednej z najtwardszych, policyjnych ról tego aktora.

– Czy mam zorganizować państwu spotkanie? – zapytał pośrednik, sięgając po słuchawkę telefonu i wyjmując zza ucha długopis.

– Tak, proszę – odrzekła kobieta. – Natychmiast, jeżeli to możliwe.

Pośrednik westchnął cicho, sprawdził coś w komputerze i zaczął wykręcać numer telefonu. Robił to z miną człowieka, który dużo zarobił, ale nie czuje się szczęśliwy.

Rozmowa trwała krótko i była konkretna. Mężczyzna, niejaki Mark Galbraith, zgodził się przyjechać do biura na Fifth Avenue za godzinę. Rosemary Greenwood wstała, poprawiła nieznacznym gestem płócienny kostium w szkocką kratę, wsunęła na nos okulary i posyłając pośrednikowi miły uśmiech opuściła pokój.

Siwe włosy Toshire Matsumito były idealnie gładko zaczesane do tyłu. Starszy pan wyglądał jak odlana z brązu figurka Buddy. Stał przy oknie w swoim gabinecie i spoglądał przez kuloodporną, panoramiczną szybę na ulicę. Nikt, nawet jego najbliższa rodzina, nie potrafiłaby odgadnąć, że był wściekły. Rano stracił trzech swoich ludzi i wszystko wskazywało na to, że ktoś wyjątkowo sprytny dobierał się do niego.

Toshire Matsumito zdjął, nie rzucającą się w oczy, szarą, marynarkę i powiesił na oparciu krzesła. Podeszedł do szafki i włączył kompaktowy odtwarzacz. Kochał muzykę, a szczególnie dobrze

rozumiał Chopina. Usiadł w twardym, skórzanym fotelu i przymknął powieki. Stopniowo zapadał się w świat własnych fantazji. Energetyczne pukanie do drzwi wywołało na jego twarzy nieprzyjemny grymas. Do gabinetu wszedł jeden z jego ludzi, wielki, barczysty mężczyzna, kiedyś mistrz Japonii w zapasach.

– Czego chcesz, Honza? – odezwał się niechętnie Matsumito. – Mam nadzieję, że coś ważnego... – dodał, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

– Jest tu chłopak, który mówi, że ma panu coś do powiedzenia – odparł pośpiesznie zapaśnik. Widać było, że czuje respekt przed swoim szefem. – W sprawie tego, co było rano.

– Wprowadź go – zgodził się Matsumito.

Szczęknęły drzwi i do gabinetu wszedł bosonogi chłopak w podartej podkoszulce. Miał nie więcej niż dziesięć lat. Tuż za jego plecami szedł inny Japończyk, osobisty sekretarz Matsumito, Yoko Kurosawa. Uspokoił chłopaka gestem.

– Mów – odezwał się łagodnie Matsumito. – Nie bój się.

– Mężczyzna, biały – zaczął niepewnie chłopak. – Kazał mi powiedzieć, że będzie czekał na pana Matsumito na skrzyżowaniu Matarazzo i Aurelia.

– Kiedy?

– Dziś – głos chłopaka brzmiał trochę pewniej. – Powiedział, że właśnie tam jedzie...

– Jak dawno ci to powiedział? – wtrącił Matsumito, a starannie wyreżyserowana łagodność gwałtownie zniknęła z jego głosu.

– Niedawno. Może pół godziny temu...

– Jak wyglądał ten człowiek?

– Duży był i żuł gumę – odparł chłopak, krzywiąc się głupkowato. – Taki Amerykanin... W białych spodniach i niebieskiej podkoszulce... No i miał ciemne okulary.

- Jak go rozpoznam? – zaniepokoił się Matsumito.
- On rozpozna pana – uspokoił go chłopak.
- Zabierz go – siwy Japończyk warknął głucho. – Pojedzie z nami.

Kiedy za zapaśnikiem i chłopakiem zamknęły się drzwi, sekretarz jęknął:

– Wyjątkowo głupi dzieciak. Lepszego nie mógł znaleźć. Chce pan tam pojechać? To może być zasadzka.

– To jest zasadzka, Yoko – poprawił Matsumito. – Dlatego właśnie tam pojedę. To wspaniały zbieg okoliczności, że ten człowiek się do nas odezwał. Zastanawiam się czego chce... Najprościej byłoby odpowiedzieć, że chce pieniędzy. I tak prawdopodobnie jest, Yoko. Ten gość próbuje coś na nas zarobić. Jeżeli jest głupi, oczywiście.

– A jeżeli jest mądry? – zapytał sekretarz.

– On jest mądry – Matsumito uśmiechnął się pod nosem i spojrział na swoje pulchne, tłuste dłonie. Kobietom się nie podobały, ale on nigdy się na nich nie zawiódł. Potrafiły zabijać równie skutecznie, co twarde ręce ludzi z jego obstawy.

– Zadzwońisz do pułkownika Tajurasu i powiesz mu, żeby dokładnie obstawił skrzyżowanie swoimi ludźmi. Ma na to godzinę. Wiesz jak go przekonać...

Yoko Kurosawa tylko skinął głową. Pułkownik Tajuras dawał się przekonywać wyłącznie w jeden sposób – pieniędzmi. Matsumito opłacał go regularnie dużymi sumami i czasami dawał coś ekstra. Tym razem szykowało się właśnie „coś ekstra”.

Matsumito sięgnął do biurka i wyciągnął rewolwer. Był to dwunastostrzałowy orion. Kurosawa przełknął ślinę i milczał. Widział już facetów, na których Matsumito skierował lufę swojej spluwy. Nie był to przyjemny widok.

– Weźmiesz naszych dwudziestu najlepszych ludzi i za dziesięć minut ruszamy – powiedział Matsumito, a jego sekretarz przestał mieć wątpliwości, że schyłek dnia będzie spokojny.

Kwadrans po czwartej, kiedy upał znacznie zelżał, jedna ze stalowych bram w budynku zajmowanym przez Toshire Matsumito otworzyła się i na ulicę wyjechała czarna limuzyna. Wokół niej biegło czterech ludzi z rękami schowanymi wymownie w kieszeniach kurtek. Nędznie ubrani mieszkańcy ulicy z szacunkiem i lękiem odsunęli się na bok. Z bramy wyjechało pięć samochodów. Kierowca na czele kolumny leniwie naciskał klakson i bystro obserwował ulicę. Yoko Kurosawa, który siedział obok niego, lewą dłoń oparł na karabinie maszynowym M 16, a w prawej trzymał radiotelefon. W pozostałych wozach siedzieli tak samo uzbrojeni ludzie i wyczekująco taksowali wzrokiem przechodniów. To samo działo się w kilkunastu oknach po obu stronach ulicy. Skośnoocy członkowie japońskiej yakuzy traktowali swoją pracę poważnie. Wiedzieli, że jeżeli uda im się osiągnąć zamierzony cel, zostaną milionerami.

Pół minuty wcześniej, kiedy z bramy wyjeżdżał trzeci z kolei samochód, kąciaki ust Charlesa Calthropa lekko się wygięły. Leżał płasko na dachu jednego z walących się domów i przez lornetkę obserwował swojego brazylijskiego współpracownika. Dostrzegł wyraźnie jego niewinny gest. Palce chłopaka, które na moment dotknęły włosów, poinformowały Calthropa, że Toshire Matsumito znajduje się właśnie w trzecim samochodzie.

Znajdujący się niecałe pięćset metrów od swojej ofiary Calthrop czekał, aż kolumna samochodów zbliży się i nabierze szybkości.

Jego ręce po raz ostatni sięgnęły po model samolotu. Dokładnie sprawdził, czy wybuchowy plastik nie obluźował się i tkwi na właściwym miejscu. Położył przed sobą varioprop do zdalnego sterowania i obserwował nadjeżdżający z przeciwnika samochód Toshire Matsumito. W tej chwili interesował go wyłącznie duży zamach.

W tej samej chwili Japończyk otworzył samochodowy baren i wyjął z niego butelkę sake. Jego goryl, Honza, podsunął mu kieliszek. Kiedy jego gardło poczuło smak alkoholu, śmierć znajdowała się kilkadziesiąt metrów od niego. Nadlatywała z góry – niespodziana i bezlitosna. Kierowca zauważył samolot nieco wcześniej, ale nie przyszło mu do głowy, że właśnie jego samochód jest celem. Chciał go pokazać szefowi, ale nie zdążył. Plastikowy model pikował wprost na przednią szybę limuzyny. Nie pomógł gwałtownie wdepnięty hamulec, nie wytrzymała kuloodporna szyba. Ładunek był tak silny, że rozerwał szybę i wszystkich ludzi w środku na drobne kawałki. Pulchna dłoń Matsumito ocalała. Upadła kilka metrów dalej na chodnik i nie wypuściła szklanki.

Pozostałe samochody zahamowały z piskiem opon. Obstawa Matsumito rozbiegła się po całej ulicy. Japończycy wykrzykiwali coś do siebie, próbując znaleźć kogoś podejrzanego, ale nikogo takiego w pobliżu nie było. Nikt nie wiedział skąd nadleciał model i kto nim kierował. Na dachach pobliskich domów pojawiły się sylwetki uzbrojonych Japończyków.

Calthrop schodził w tym czasie po schodach domu, stojącego niecałe trzysta metrów dalej. Wyglądał jak miejscowy podrywacz. Nosił skórzaną, nabijaną pinezkami kurtkę, podarte dżinsy i mocno sfatygowane sportowe buty. Na jego głowie znajdował się potężny

motocyklowy kask, a ręce były schowane w rękawicach z ochraniającymi.

Na dole czekał na niego młody Brazylijczyk. Siedział na rozpadającym się motorze i palił papierosa. Jego nonszalancka postawa pokazywała, jak bardzo był dumny ze współpracy z nieznajomym. Rozglądał się po ulicy pogardliwym wzrokiem i wypuszczał z ust kółka papierosowego dymu.

Czterdzieści minut później rozstali się. Calthrop zsiadł z motoru, zabrał z bagażnika swój neseser i podał chłopakowi czek na dziesięć tysięcy dolarów. Zanim skierował się do wypożyczalni samochodów w pobliżu ulicy Celso Garcia, klepnął Brazylijczyka po przyjacielsku w ramię i powiedział:

– Masz godzinę na zniknięcie z tego miasta. Później znajdą cię i zabiją, chłopcze.

Brazylijczyk nie odpowiedział. Patrzył na mordercę z podziwem i uśmiechał się szeroko. Nawet mu do głowy nie przyszło, że Calthrop w ten sposób ostatecznie się z nim pożegnał. Z całej siły uwierzył w swoje szczęście. Miał przecież dziesięć tysięcy dolarów, nawet więcej, wliczając w to tysiąc otrzymanych przed ich umową. Kiedy nacisnął gaz i rytmicznie zwolnił sprzęgło, jego motor wyleciał w powietrze, a on sam zginął, nie dowiedziawszy się nawet dlaczego. Nie wiedział, że zawodowi mordercy nie lubili zostawiać za sobą świadków. Uwierzył, że ich umowa była podobna do bazarowej transakcji.

Calthrop włożył ciemne okulary, odwrócił się i obojętnie ruszył w stronę postoju taksówek. Po drodze wyrzucił rękawiczki i motocyklowy kask.

Tego samego dnia, 4 września, Sergio Lamartine ze ściśniętym sercem dzwonił z budki telefonicznej do Paryża. Przez ostatnie dwa dni ukrywał się i przeprowadził wiele ważnych rozmów. Kartel z Medellin przystąpił do kontrataku. Nie było godziny, żeby gdzieś nie łała się krew. Kolumbijscy politycy, sędziowie, dziennikarze i policjanci przeżywali swoje chwile strachu.

Lamartine długo wahał się, jak ma postąpić. Ostatecznie doszedł do wniosku, że powinien skontaktować się z Francoisem Sabatinim i dopiero wtedy podjąć decyzję. Wiedział, że najrozsądniej byłoby wycofać się natychmiast. Zbyt silnie był jednak związany ze sprawami, które prowadził, aby tak w ciągu jednej sekundy móc z nich zrezygnować.

Sekretarz znajdował się w nie lada kłopotcie, ponieważ wiedział o podsłuchu założonym przez policję w paryskiej willi swojego szefa. Rozmowa, jaką zamierzał przeprowadzić, musiała być bardzo inteligentna, jeżeli miała pozostać tajemnicą. Lamartine w skupieniu szukał odpowiednich słów i z obawą myślał o reakcji Sabatiniego.

– Słucham, Sabatini – w słuchawce rozległ się wyraźny głos. Lamartine miał wrażenie jakby jego szef znajdował się dziesięć metrów dalej.

– To ja – odezwał się ostrożnie sekretarz. – Mam kłopoty ze zdrowiem i nie wiem co robić.

– To co zwykle – odpowiedział prawie natychmiast Sabatini. – Nasza umowa nadal obowiązuje. Jesteśmy przecież przyjaciółmi...

– Cieszę się – myśli Lamartine'a uspokoiły się. – Zrobię jak mi pan radzi.

Odwiesił słuchawkę i spojrzął na zegarek. Zbliżała się szósta po południu. Skinął na kierowcę, który się nim opiekował. Granatowy, lśniący jeszcze nową farbą fiat tipo, płynnie zatrzymał się tuż przed

nim. Lamartine wsiadł do środka i nakazał kierowcy wracać do domu. Obojętnie patrzył na ciasne uliczki starej Bogoty. Postanowił zdążyć na najbliższy lot do Paryża. Pozostało mu jeszcze niecałe trzy godziny.

Kilka tysięcy kilometrów dalej, w ostrym świetle jarzeniówki goilił się przed lustrem Francois Sabatini. Było bardzo wcześnie rano. Paryski mafioso zmył z twarzy mydło, natarł policzki wodą kolońską „Brut 33” i starannie zaczesał do tyłu przerzedzone włosy. Telefon Lamartine'a mocno go zdenerwował. Sekretarz znał prawie wszystkie jego tajemnice. Gdyby zaczął mówić, wielu wysoko postawionych ludzi mogłoby mieć poważne kłopoty. Sabatini uświadomił sobie jak krucho jest każde z ogniw, które decydowały o sile jego organizacji. Nie obawiał się nigdy o siebie, o przyjaciół z samego wierzchołka mafii, przeważnie sprawdzał tych najniżej, szarych i zdecydowanych na wszystko mężczyzn, którzy u niego pracowali. Teraz okazało się, że pękło coś na samej górze, że zawiódł jego najbliższy współpracownik.

Sabatini spojrzął na zdjęcie żony, wiszące na ścianie w dużych, złożonych ramach. Pomyślał, że nie może przymknąć oczu na jej śmierć. Jego starczy umysł nie wahał się długo. Nacisnął dzwonek przy swoim biurku i wezwał Petrovica. Nałożył szlafrok i usiadł w fotelu.

– Sergio wraca – powiedział na wpół do siebie, na wpół do swojego goryla, który właśnie stanął w progu gabinetu. – Mam złe wiadomości, bardzo złe... – Sabatini przez moment badał wzrokiem twarz Jugosłowianina. Nie wyczytał w niej jednak nic szczególnego, ponieważ szybko dodał: – Sergio musi zniknąć. Zdradził i trzeba go usunąć...

Mafioso zawiesił głos, jakby wsłuchiwał się we własne kłamstwo.

Nie obchodziło go, co o tym myśli Petrovic, chciał jednak, aby jego goryl nie łamał sobie niepotrzebnie głowy nad zrozumieniem polecenia, które mu wydał.

– Pan Sergio zdradził... – powtórzył goryl, mrugając szybko powiekami. – I musi odejść. Na zawsze.

– Tak – potwierdził Sabatini. – Musi zginąć zanim dopadnie go policja. Postaraj się zająć go czymś na lotnisku. Przypuszczam, że przyleci z Bogoty najbliższym lotem. Aha, on o niczym nie wie. Powitasz go jak przyjaciela.

Petrovic zrobił głupią minę i oblizał wargi. W jego kurzym mózgu rozkaz był rozkazem, niczym więcej. Człowiek, który mu płacił, nie musiał się z niczego tłumaczyć. Tym razem jednak Francois Sabatini potraktował go szczególnie przyjaźnie, powiedział więcej niż zwykle. Jugosłowianin docenił to, jego żołnierska dusza była wdzięczna i wierna. Stary Sabatini odgadł to i dodał:

– Bądź ostrożny. Sergio jest bystry i nie boi się krwi...

Petrovic pokiwał ze zrozumieniem głową. Znał dobrze chłodny i uparty charakter Lamartine'a. Ale na jego prywatnej liście ofiar znajdowali się również twardzi faceci. Gdyby zechciał ich wszystkich policzyć, zebrałby się z tego zupełnie przyzwoity cmentarz.

6.

Był 4 września, godzina dziesiąta rano. Wiał silny wiatr i Paryż wyglądał smutno. Raz za razem zasnuwały go ciemne, deszczowe chmury i kropił drobny deszcz. W małej restauracji przy rue Danton, z dala od hałaśliwego centrum, siedzieli pochyleni nad kawą i ciastkami dwaj mężczyźni. Antoine Lebel wiedział, że od tej rozmowy wiele zależy. Fakt, że udało mu się przekonać ojca Polo do przyjazdu do Paryża oznaczał dużo, ale nie dawał konkretnych efektów. Zakonnik, ubrany w biały habit, spokojnie jadł ciastko. Nie sprawiał wrażenia człowieka, któremu się spieszy. Dawał Lebelowi czas i widać było, że przedłużające się milczenie nie ciąży mu zbytnio. Zresztą, choć nie wiedział sam dlaczego, lubił się z policjantami trochę droczyć.

– Ojciec wie, o czym chcę mówić? – zapytał Lebel, nie podnosząc oczu znad filiżanki.

– Domyślam się – potwierdził zakonnik. – O moim bracie...

– Wiem, że nie jest łatwo sądzić własnego brata, ale w tym przypadku to konieczność – przeszedł do rzeczy Lebel. – Charles Calthrop, brat ojca, jest zawodowym mordercą. Wysoko wyspecjalizowanym fachowcem od zabijania za pieniądze.

Ręka ojca Polo zatrzymała się w pół drogi do ust. Tym razem zakonnik nie przełknął kawy, wolno odstawił filiżankę. Tylko ten

drobny szczegół pokazywał, że wiadomość poruszyła go. Nie był na nią przygotowany, tego Lebel był pewien.

– Czy to prawdziwa informacja? – zapytał ojciec Polo, przyglądając się bystro swojemu rozmówcy.

– Nie ma wątpliwości – odpowiedział Lebel, a jego brwi wymownie uniosły się ku górze. – Brat ojca zabija ludzi na eksponowanych stanowiskach. Przeważnie są to politycy, bankierzy, ministrowie, czasami ktoś z wielkich przemysłowców, częściej szefowie rozmaitych organizacji. W większości są to ludzie mający rodziny, dzieci, sami nie noszący broni. Oczywiście część z nich jest bardzo dobrze chroniona... Właściwie można powiedzieć, że prawie wszyscy są ochraniani i muszą chodzić z obstawą. Charles Calthrop odwiedza różne kontynenty, różne kraje i różne miasta. Wykonuje dobrze płatne kontrakty niezależnie od nazwiska potencjalnej ofiary. Teraz właśnie mamy szansę schwycić go, ale potrzebna nam jest pomoc. Oczekujemy jej od ojca. Rozumiem, że chodzi tutaj o kogoś bliskiego, dlatego może ojciec odmówić. Proszę jednak zastanowić się, rozważyć to chociażby z punktu widzenia wiary... Czy można przymknąć oczy na mordercę, nawet jeżeli jest to własny brat?

Lebel zakończył swój wywód i wytarł czoło chusteczką. Nie znosił takich łzawych przemówień, ale instynktownie czuł, że tylko w ten sposób mógł dotrzeć do tego człowieka.

Zakonnik milczał przez chwilę, po czym zapytał:

- Nie ma innego sposobu? Czy muszę w tym uczestniczyć?
- Może ojciec odmówić...
- Nie o to chodzi. Opowiedział mi pan przerażającą historię o moim bracie i tego nie można zapomnieć. Postawił mnie pan w

sytuacji bez wyjścia. Gdybym był człowiekiem małej wiary, prawdopodobnie skorzystałbym z przysługującego mi prawa. Teraz jednak nie mogę milczeć i udawać, że nic się nie stało. Jeżeli rzeczywiście jestem człowiekiem, który może powstrzymać mordercę, wiem że powinienem to zrobić. Z moim bratem nie widziałem się przez wiele lat. Właściwie kontaktuję się z nim wyłącznie telefonicznie...

Ojciec Polo przerwał. Spojrzał nieufnie na Lebela. Widać było, że nie jest jeszcze dostatecznie przekonany. Potrzebował czasu, którego Lebel nie mógł mu dać.

– Czy przekonam ojca, jeżeli powiem, że pracuję w Interpolu od wielu lat, a mój ojciec przez całe życie był policjantem? – Lebel powiedział to powoli i z naciskiem. – Nigdy nie zajmuję się kimś, kto na to wyraźnie nie zasługuje. Charles Calthrop to as, mistrz precyzyjnej zbrodni, człowiek nie pozostawiający za sobą żadnych śladów. Dlatego nie mamy o nim dostatecznie dużo informacji. Nie znamy nawet dokładnie jego rysopisu... Czy ojciec ma jakiegokolwiek zdjęcie brata?

– Niestety – zaprzeczył zakonnik. – Kiedy widzieliśmy się ostatni raz nie pozostawił u mnie nic swojego. Charles jest dziwnym człowiekiem, od najmłodszych lat trzymał się na uboczu. Bardziej przyjaźnił się z Richardem, moim trzecim bratem. Niestety, ale on już nie żyje...

– Wiem – wtrącił cicho Lebel.

– Dobrze – głos zakonnika brzmiał twardziej niż poprzednio. – Zgadzam się pomóc panu. Jeżeli mój brat zostanie zatrzymany i znajdzie się w więzieniu, będę musiał mu o wszystkim opowiedzieć... Proszę mi to obiecać. Czuję wstręt przed tym, co mam zrobić, ale nie mam wyjścia. Mam nadzieję, że Bóg wybaczy mi i zrozumie. To straszne...

Lotnisko Santos-Dumont w Rio de Janerio sprawiało wrażenie patelni, na której praży się tłuszcz. Samoloty bez przerwy podchodziły do lądowania i bez przerwy odrywały się od ziemi. Ten niekończący się rytm widoczny był szczególnie w nocy.

Charles Calthrop alias Roderick Violl zmieszany z tłumem zbliżał się do telefonów. Znow wyglądał na poważnego dżentelmena, który przyjechał do Brazylii w interesach. Wynajęty w São Paulo samochód zostawił na parkingu w pobliżu lotniska, a zielony, flanelowy garnitur kupił po drodze. Zanim wjechał do miasta przebrał się i ogolił. Teraz zastanawiał się, czy Rosemary Greenwood zostawiła dla niego jakąś informację. Wiele od tego zależało. Miał za sobą zrealizowany kontrakt, ale nikt nie zagwarantował mu bezpieczeństwa. Morderca wiedział, że ludzie z Manu Gambino, a szczególnie Luciano Parotti, mogą mieć do niego żal. Najwspanialsze słowa nie zmieniały faktu, że syn jednego z potężnych capo nowojorskiej mafii musiał przez niego umrzeć. Domyślał się, co czuł ojciec, który stracił syna. Dopóki mafia była w niebezpieczeństwie i trwała realizacja kontraktu, dopóty on był bezpieczny. W tej chwili jednak wszystko się wyjaśniło, a główny przeciwnik nowojorskich rodzin został zde-maskowany i zabity. Pozostawało tylko zawiadomić don Gambino o zakończeniu zadania.

Palec Calthropa starannie wybierał numer. Kiedy do jego ucha dotarł sygnał aparatu w pokoju niedaleko Harlem River, wyszeptał szyfr uruchamiający komputer. Odczekał chwilę i usłyszał głos Rosemary:

– „Luciano Parotti wyjechał do Paryża. Charles, kochanie, to było wspaniałe spotkanie.”

Automat ucichł, przez moment Calthrop słyszał szum przesuwanej

taśmy. Akurat miał czas westchnąć z rozbawieniem. Rosemary była niepowtarzalna. Poza ważną informacją o Parottim, nie odmówiła sobie osobistego komentarza.

– „Witaj, Charles. Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze swojego brata, Rogera? Czy się myłę?” – Calthrop wysłuchał tych słów z dziwnym uczuciem. Wydały mu się bardzo odległe, a zarazem przyjazne. Był to głos człowieka, z którym łączyły go wspomnienia z dzieciństwa. Pochylił się nad słuchawką i słuchał: – „Ułynęło sporo lat. Pomyślałem, że może warto byłoby się spotkać i porozmawiać. Przez jakiś czas zamieszkam w Paryżu niedaleko cmentarza Père Lachaise. Tam mnie znajdziesz. Zostań z Bogiem, Charles”.

Kiedy Calthrop odszedł od telefonu, jego twarz miała dziwny, zamyślony wyraz. Przypominała pożółkłe zdjęcie z początku stulecia. Nie miał wątpliwości, że Parotti pojechał do Paryża spotkać się z Sabatinim. Podejrzał, że tak się stanie, dlatego zlecił Rosemary obserwowanie ludzi z rodziny Gambino. Nie pomylił się – zdradzili go z zimną krwią. Jeszcze kilka lat temu nigdy by się na coś takiego nie zdecydowali, pomyślał z irytacją. Widocznie jego cena spadała, a ludzie szybko się zmieniali. Dawniej nawet zdrada miała swój charakter i oprawę, teraz nie przestrzegano już żadnych zasad.

Godzinę później Calthrop znajdował się na pokładzie jumbo jeta, lecącego do Nowego Jorku. Zjadł kolację i położył się spać. Przez trzy godziny spał twardym, głębokim snem. Kiedy się obudził, samolot dotykał kołami płyty lotniska Johna F. Kennedy'ego, a jego pierwszą myślą było, że udało mu się obudzić. Lubił spać w samolotach, ale nie zapominał, że w takich chwilach najłatwiej można było zostać zabitym.

Była druga dwadzieścia trzy. Sprawdził, o której odlatuje najbliższy samolot do Paryża i zadzwonił do starego Gambino. Przez dłuższą

chwilę czekał, aż ktoś odbierze telefon. W końcu zaspany, nieprzytomny głos warknął:

– Co się dzieje? Nie wiecie, która godzina?

– Chcę mówić z don Gambino – powiedział beznamiętnie Calthrop. – Natychmiast. Proszę powiedzieć, że dzwoni człowiek z Brazylii.

– Niech pan zaczeka – mruknął ktoś po tamtej stronie i rozległo się człapanie kapci.

Po niecałych dwóch minutach skrzypiący głos dona zabrzmiał w słuchawce:

– Gambino, słucham...

– Czekam na pana za godzinę na lotnisku JFK – Calthrop mówił konkretnie i szybko. – Będę wśród pasażerów odlatujących do Paryża. Mam panu coś ważnego do powiedzenia. Czekam.

Frank Gambino był już prawie całkowicie rozbudzony. Nagły telefon od Calthropa mógł oznaczać tylko kłopoty. Stary mafioso wysiłał się, ale nie mógł odgadnąć, co się za tym kryło. Pieniądże wpłacili na konto mordercy niemalże od razu, podobnie powstrzymali Francois Sabatiniego przed zbyt prędkim działaniem. Sytuacja wydawała się czysta jak sumienie noworodka.

– Obudź Luciano i Silwestriniego – rozkazał don. – Za dziesięć minut wyjeżdżamy.

Człowiek z prywatnej ochrony Gambino skinął głową i lekkim truchtem skierował się w głąb domu. Punktualnie o drugiej trzydziści pięć srebrny lincoln wyjechał na ulicę. Don siedział z tyłu i palił cygaro. Milczał i obserwował światła neonów. Jego goryl Combo siedział obok i patrzył przed siebie. Wydawało się, że drzemie. Tylko ci, którzy go znali, wiedzieli, że w każdej chwili mógł eksplodować energią i zamienić się w prawdziwą maszynę do zabijania. Luciano

Parotti siedział blisko kierowcy i sprawdzał naboje w swoim magnum. Wszyscy czterej wiedzieli, że nie jest to zwyczajne spotkanie. Noc nie była porą, w której lubili załatwiać interesy.

Parotti pierwszy zauważył Calthropa. Siedział na ławce i palił papierosa. Kiedy się zbliżyli, wstał i bez słowa powitania powiedział:

– Chcę rozmawiać tylko z panem. Pańscy ludzie mogą to obserwować.

Don Gambino drgnął lekko. Nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Przypuszczał jednak, że Calthrop miał powody. Zgodził się i po chwili zostali sami. Stali na przeciwko siebie i mierzyli się wzrokiem.

– Dlaczego pański człowiek spotkał się z Sabatinim? – zapytał wprost Calthrop.

Frank Gambino przełknął ślinę, spuścił na moment wzrok i szepnął:

– Interesy...

– Panie Gambino – odezwał się z naciskiem morderca – ja naprawdę nie mam czasu na żarty.

– Czy wykonał pan zlecenie? – odpowiedział pytaniem Gambino. – Zapłaciliśmy panu...

– Tak – potwierdził Calthrop. – Ja zrobiłem swoje, ale nic panu nie powiem, dopóki nie usłyszę prawdy. O czym Parotti rozmawiał z Sabatinim?

– Dobrze... – mruknął Nowojorczyk. – Niech będzie...

Ludzie don Gambino dostrzegli grymas szefa i widać było, że czekają tylko na jego znak. Gotowi byli rozwalić tego płatnego zabójcę na oczach przebywających na dworcu lotniczym ludzi.

– Powstrzymaliśmy Sabatiniego przed ściganiem pana – zaczął

mafioso. – Parotti wynegocjował od niego chwilową przerwę... Po wykonaniu kontraktu mieliśmy dać mu znak, że znów ma wolną rękę.

– Co zamierza Sabatini? – zapytał Calthrop, kątem oka obserwując goryli dona.

– Zabić pana...

– Pan wie coś, czego ja nie wiem, don Gambino – przerwał ostro Calthrop. – Zdradziliście mnie i musicie za to zapłacić. Nie należę do ludzi, którzy wystawiają się bez potrzeby, don Gambino. Dlatego proszę oszczędzić swoich chłopców i nie prowokować mnie. Czy wyrażam się jasno?

Usta Franka Gambino zrobiły się wąskie jak nitka. Od początku przypuszczał, że Calthrop nie jest sam, że wśród tłumu pasażerów, oczekujących na swoje samoloty, krążą jego wspólnicy. Rozejrzał się, ale nikogo takiego nie zauważył. Był pewien, że zanim którykolwiek z jego ludzi zdołałby wyciągnąć broń, zginęliby wszyscy. A on prawdopodobnie pierwszy. Calthrop nie wyglądał na faceta, który strzelał drugi. Postanowił zachować twarz i nie ryzykować. Później rozważy, czy warto się zemścić. Był zbyt stary i zbyt doświadczony, aby poddawać się wyłącznie emocjom, uśmiechnął się, robiąc wszystko, aby wypadło to naturalnie.

– W porządku – powiedział łagodnie. – Sabatini ma coś na pana. Prawdziwego haka. Zaopiekował się pańskim bratem, Calthrop. Ma go w swoich rękach.

Calthrop błyskawicznie połączył fakty. Domyślił się, że telefon od brata nie był przypadkowy, że ktoś musiał go spowodować. Sabatini znalazł więc jego czuły punkt i prawdopodobnie w ten sposób spróbuje zaatakować, pomyślał z pogardą. Teraz wiedział już to, co powinien. Był najwyższy czas, aby rozstać się z Nowojorkczykami. Uśmiechnął się lekko i spoglądając zupełnie otwarcie na

obstawę dona, powiedział:

– Dziękuję panu. To ważna informacja. A teraz proszę słuchać uważnie. Wasz syndykat został zaatakowany przez japońską jakuzę. To nie ulega wątpliwości. Człowiek, który nimi kierował już nie żyje. Zabiłem go wczoraj. Myślę, że Japończycy nie wycofają się tak prędko i będą walczyć. W tej chwili możecie ich zlikwidować. Nie mają pojęcia kto usunął ich szefa, Toshiro Matsumito. Szukajcie ich w dzielnicy Vile Nova Jaquare. Stamtąd właśnie próbują was wyeliminować z rynku. To wszystko, don Gambino. Nasze interesy są skończone i mam nadzieję, że nie będzie mi pan przeszkadzał. Obaj jesteśmy już starszymi ludźmi i nie powinniśmy kierować się wyłącznie emocjami. Czy może mi pan obiecać, dać słowo, że natychmiast po tej rozmowie o mnie zapomnicie? Tak będzie lepiej dla nas obu, don Gambino...

W ostatnich słowach wyraźnie zabrzmiały akcenty groźby. Były ostre i otwarte. Frank Gambino wyciągnął dłoń do Calthropa i przełamując niechęć, szepnął:

– Dobrze, Calthrop, niech tak będzie. Może być pan spokojny, nie będziemy pana ścigać. Tym razem dotrzymam słowa. Przekonał mnie pan. Rzeczywiście jesteśmy już za starzy, aby kontynuować tę grę. Domyślam się, że moglibyśmy bardzo utrudniać sobie życie, a tego nie chcę.

Calthrop odetchnął dopiero na pokładzie samolotu. Tym razem jednak nie spał. Udawał, że drzemie. Mimo zapewnień dona, wołał uważać. Wiedział jak łatwo pozbyć się niewygodnego człowieka, a on właśnie był takim człowiekiem. Nowojorska mafia wcale nie musiała o nim zapomnieć. Miała dość siły i cierpliwości, aby raz jeszcze go zdradzić.

I nie pomylił się. Don Gambino nie należał do ludzi, którzy

wybaczają upokorzenie. Kiedy samolot z Calthropem znajdował się kilka tysięcy kilometrów nad ziemią, Francois Sabatini otrzymał krótki telefon od „przyjaciela”. Nowojorczyk nie zapomniał o podsłuchu i wyraził się oględnie, nie na tyle jednak, żeby w Paryżu go nie zrozumiano. Sabatini zareagował bardzo spokojnie. Był pewien, że Calthrop sam się do niego nie odezwie. Musiał tylko poczekać. Nie miał zamiaru szukać mordercy wśród pasażerów Boeinga 747, przylatującego z Nowego Jorku. Był to dokładnie moment, w którym obaj przeciwnicy pomyśleli o sobie z szacunkiem. Po drodze był jeszcze Madryt, gdzie postanowił wysiąść. Podróż pociągiem czasami także mogła mieć swój urok.

5 września o godzinie ósmej dziesięć rano na lotnisku w Orly pod Paryżem świeciło piękne słońce. Na dworcu panował coraz większy ruch. Część ludzi wracała z wakacji, inni odbywali swoje codzienne podróże w interesach.

Petrovic, który stał niedaleko wyjścia z budynku, dał znak swojemu człowiekowi, że może ruszyć. Po odprawie celnej pojawili się właśnie pierwsi pasażerowie z Bogoty.

Pierre Girardou, wysoki mężczyzna w wytartej, skórzanej kurtce i ciemnych, przeciwsłonecznych okularach wmieszał się w tłum i zbliżał do grupy osób, ciągnących za sobą wypchane walizki. Jego oczy zatrzymały się na moment na twarzy Sergio Lamartine'a, który szedł pochylony tuż za grubym Kolumbijczykiem. Girardou obejrzał się, ale Petrovic był zasłonięty przez idących ludzi. Dłoń mężczyzny zacisnęła się w kieszeni kurtki, a nogi zaczęły stawiać dłuższe kroki. Kiedy znalazł się za plecami Lamartine'a, powiedział:

– Nie odwracaj się...

Sergio Lamartine nie odwrócił się, szedł spokojnie dalej, ale jego dłonie zrobiły się mokre i lepkie. Słuchał głosu zza pleców i liczył sekundy. Odwrócił lekko głowę i obrzucił wyczekującym spojrzeniem Girardou. No już, teraz, zrób to natychmiast, myślał w popłochu.

Petrovic zauważył, że tłum gwałtownie zafalował i jakaś kobieta podbiegła do stojącego pod tablicą policjanta. Domyślił się, że było po wszystkim. Nie szukał Girardou, lecz rzucił papierosa na podłogę i wyszedł z budynku. Człowiek, któremu dał szansę, sprawdził się i jutro zamierzał wciągnąć go na listę płac. Petrovic lubił beznamiętnych i zdecydowanych na wszystko młodych ludzi. Pierre Girardou do takich właśnie należał. Przed chwilą udowodnił, że może być przydatny i działać bez skrupułów. Petrovic odczekał chwilę, upewnił się, że Girardou wyszedł z dworca, po czym włączył silnik swojego nowego mitsubishi i płynnie ruszył. Nie żałował sekretarza, przez wiele lat oduczył się przywiązywania do ludzi. Tak naprawdę interesowała go tylko cena, jaką mógł otrzymać za swoje usługi.

Kilka minut później w samochodzie zaparkowanym niecałe sto metrów dalej dwaj mężczyźni przeprowadzili krótką rozmowę. Jednym z nich był Girardou, drugim Lamartine, sekretarz Francois Sabatiniego.

– Głupio zaryzykowałeś – powiedział sucho Lamartine.

– Możliwe, panie Sergio – odparł cynicznie młody człowiek. – Moja rodzina miała wobec pana dług wdzięczności i teraz go spłaciłem. Ojciec pracował kiedyś dla pana...

– Dużo ludzi dla mnie pracuje – Lamartine powiedział to bardziej do siebie. Próbował przypomnieć sobie twarz tego chłopca lub jego ojca. Girardou zauważył to i kontynuował:

– Arnaldo Girardou, mój ojciec, przed trzema laty dał mu pan dobrą pracę. Woził do Szwajcarii pieniądze. Kiedyś go okradziono i pan uratował mu życie. Tylko pan uwierzył, że mój ojciec nie wziął tych pieniędzy...

– Pamiętam – odezwał się powoli sekretarz. – Tak rzeczywiście było. Twój ojciec był uczciwym człowiekiem. Sprawdziłem go i wszystko się wyjaśniło. To prawda, że przez jakiś czas musiałem powstrzymywać niektórych, żeby go nie sprzątnęli. Cóż, zawsze starałem się rozumieć moich ludzi – przerwał, popatrzył na młodego Girardou i wzdychając ciężko, dokończył: – Uratowałeś mi życie, ale przez to sam możesz mieć kłopoty, chłopcze.

Lamartine trzymał w palcach strzykawkę wypełnioną trucizną. Wystarczyło tylko zdjąć opakowanie z krótkiej igły i wbić ją w czyjeś ciało i nacisnąć tłok. Efekt był jeden – błyskawiczna śmierć w drgawkach. Petrovic zadbał o to, żeby Girardou pracował w komfortowych warunkach: cicho, nie rzucając się w oczy i skutecznie. Oddał swojemu niedoszłemu zabójcy strzykawkę i zapytał:

– Chcesz wyjechać czy zostaniesz w Paryżu?

– Zostanę – odpowiedział bez namysłu chłopak. – Znam tu dużo ludzi i mam przyjaciół. Dam sobie radę. Najwyżej się przeprowadzę. Mam takie jedno miejsce niedaleko Charenton...

– Dobrze, skoro chcesz tu zostać, mam dla ciebie propozycję – powiedział sekretarz. – Chcę, żebyś za trzy godziny, powiedzmy kwadrans przed dwunastą, zadzwonił do willi Francois Sabatiniego i umówił się na spotkanie z Petrovicem. Pamiętaj, musisz go wyciągnąć z domu. Najlepiej zaraz po waszej rozmowie. Wymyśl coś i umów się z nim gdzieś dalej, może na przedmieściach. Możesz to dla mnie zrobić?

– W porządku – zgodził się Girardou. – Czy mam zrobić coś jeszcze?

Lamartine uśmiechnął się, poklepał chłopaka po ramieniu i powiedział:

– Domyślny jesteś. Tak, chciałbym, żebyś go zabił. O, tym sprzętem – pokazał palcem strzykawkę z trucizną. – Dasz radę?

Pierre Girardou wyduł wargi i wzruszył ramionami. Miało to oznaczać, że nie widzi absolutnie żadnego problemu w usunięciu Petrovica. Zapytał tylko:

– Czy mam go zabić od razu, czy muszę z nim o czymś pogadać?

– Od razu – zdecydował Lamartine. – Zabij go od razu i nie zostawiaj za sobą śladów. I zniknij na jakiś czas. Znajdę cię i zostaniesz moją osobistą ochroną, zgoda? – sekretarz zadał to pytanie, choć nie myślał o tym poważnie.

Powiedział tak, ale przyszłość chłopaka widział zupełnie inaczej. Ten typ bardziej nadawał się do wymuszania pieniędzy od dłużników niż do spacerowania za swoim szefem w czarnym garniturze. W tej chwili nie było to jednak istotne.

Lamartine wysiadł z samochodu Girardou zaraz za lotniskiem. Wziął taksówkę i kazał się zawieźć na Avenue des Champs Élysées. Przez trzy godziny siedział w taksówce i obserwował willę Sabatiniego. Kierowcy wręczył plik banknotów i w ten sposób kupił sobie jego ciepłość i milczenie. Tuż przed dwunastą brama otworzyła się i z garażu wyjechał mitsubishi Petrovica. Goryl był sam. Kiedy jego wóz zniknął za zakrętem, Lamartine dał kierowcy jeszcze kilka franków i wysiadł.

Goryl przy bramie przywitał go bardzo uprzejmie i bez trudu wpuścił do środka. Lamartine był przygotowany na to, że będzie go

musiał zastrzelić. Zachowanie strażnika wskazywało, że Sabatini i Petrovic działali dyskretnie. Żaden z ludzi pilnujących domu i ogrodu nic o wyroku na sekretarza nie wiedział. Dlatego Lamartine bez jakichkolwiek problemów dotarł do salonu, wyjął z szuflady pistolet i skierował się po schodach na górę do gabinetu szefa.

Nie zapukał, nacisnął szybko klamkę i wszedł do środka. Sabatini siedział za biurkiem i rozmawiał z kimś przez telefon. Kiedy zobaczył sekretarza, jego twarz zbladła, a ręka ze słuchawką zaczęła się przechylać w dół. Lamartine zbliżył się do biurka, końcem lufy nakazał szefowi odłożyć słuchawkę i warknął:

– Czy tak się płaci za przyjaźń?

To niewinne pytanie dało Sabatiniemu czas na dyskretne naciśnięcie guzika ukrytego pod blatem biurka. Tylko on wiedział, co się za chwilę wydarzy.

Strażnik przy bramie otrzymał sygnał, który poderwał go na nogi. Był to cichy, ledwie słyszalny dzwonek. Chwilę potem drugi ochroniarz na poddaszu również odebrał informację o niebezpieczeństwie. Dwaj byli komandosi zareagowali błyskawicznie. Sygnał oznaczał, że ich szef znajdował się w sytuacji szczególnego zagrożenia.

Kiedy Lamartine podnosił rewolwer na wysokość głowy Sabatiniego i z jadowitym uśmiechem zaczynał naciskać cyngiel, drzwi otworzyły się z trzaskiem i rozległa się kanonada wystrzałów. Wszystko stało się tak nagle, że sekretarz jeszcze przez kilka sekund nie wiedział, co się właściwie stało. Jego palec nie miał już siły nacisnąć spustu, ciało stało się jakby obce, tylko nasilający się ból w plecach podpowiadał, że coś jest nie tak. Zrozumiał to szybko, kiedy przewrócił się na dywan i po raz ostatni zobaczył przed oczami swojego szefa w towarzystwie dwóch goryli. Lamartine naprężył się,

zrobił jeszcze jeden wysięk i wycharczał:

– Taka świnia...

– Zadzwoń po policję – powiedział prawie w tym samym momencie Sabatini. – Zawiadom komisarza Saksona. Powiedz, że mój własny sekretarz chciał mnie zastrzelić i omal mu się nie udało. Gdzie jest Petrovic?

– Wyjechał przed kilkoma godzinami – odpowiedział jeden z goryli. – Chyba się z kimś umówił...

Sabatini skrzywił się tylko z niezadowoleniem, ale nic nie powiedział. Wciąż jeszcze przeżywał własną śmierć. Poza tym nie miał pewności, czy Petrovic go nie zdradził. Po powrocie z lotniska Jugosłowianin powiedział, że Lamartine nie żyje i sprawa została załatwiona. Wówczas Sabatini mu uwierzył, teraz zaczynał mieć wątpliwości.

Komisarz Sakson ze swoimi ludźmi przyjechał po pół godzinie. Podczas jazdy klaskał z zadowoleniem i wyobrażał sobie miny tych wszystkich bubków na wysokich stołkach, kiedy im powie, że szanowny obywatel, Francois Sabatini, urządza sobie w domu strzelaniny. Nareszcie miał punkt zaczepienia, coś bardzo konkretnego – prawdziwego trupa. Zawiadomił kilku znajomych dziennikarzy i niedługo potem przed willą Sabatiniego panował spory ruch. Oczywiście komisarz nie udzielał żadnych wywiadów i robił wszystko, aby pozostać w cieniu.

W chwili gdy wnoszono trupa Lamartine'a, pojawił się adwokat Sabatiniego, Michel Boursican. Sakson obrzucił go obojętnym spojrzaniem i kontynuował swój wywód:

– Czy pański sekretarz strzelał do pana bez powodu?

– Mówiłem już panu, komisarzu, że stosowne wyjaśnienia złożę na oficjalnym, przesłuchaniu – odpowiedział zimno Sabatini.

Sakson był jednak niewzruszony i ciągnął jakby do siebie:

– Tak, oczywiście... Zastanówmy się jednak. Dlaczego pański sekretarz przyjechał do pana z pistoletem zaraz po powrocie z Kolumbii. Co go tak zdenerwowało? Może pomieszało mu się w głowie po ucieczce z rąk Interpolu?

– Niech pan przestanie, Sakson – wtrącił się adwokat. – To co pan mówi jest obraźliwe dla pana Sabatiniego i nie omieszkam o tym powiedzieć pańskiemu przełożonemu...

Sabatini z trudem powstrzymał się, aby nie wybuchnąć. Nie znosił kłopotów, które kwalifikowały się na pierwsze strony gazet. Widział przez okno grupki dziennikarzy, czekających tylko na sensację. Policja zablokowała im drogę do domu, ale nie mogła zabronić fotografowania i filmowania. Gnidy, pomyślał z nienawiścią Sabatini.

Zadzwoił telefon. Odebrał Boursican i przekazał słuchawkę Saksonowi.

– To do pana, komisarzu – powiedział cierpko.

– Słucham, Sakson – odezwał się komisarz, a jego brzydka twarz znalazła się przez chwilę w promieniach słońca padających zza okna. Sabatini i adwokat odwrócili z niesmakiem wzrok. Komisarz milczał i cierpliwie słuchał głosu dolatującego ze słuchawki. W końcu podziękował swojemu rozmówcy i z triumfem w oczach spojrział na Sabatiniego.

– Jakże smutny jest los porządnego obywatela, którego otaczają męty – powiedział zgryźliwie. – Przed kilkoma minutami znaleziono pańskiego goryla, Petrovica. Nie żyje. Czy to nie straszne, panie Sabatini?

Gangster odwrócił się do okna i sięgnął do pudełka z papierosami. Wyjął jednego, przytknął do nosa i wachał. Adwokat zapalił mu przed oczami zapalniczkę, ale Sabatini pokręcił przecząco głową.

Nie rozumiał, co się mogło stać. Czyżby Calthrop zaatakował go właśnie w taki sposób? Byłoby to bardzo głupie, stwierdził w myślach. Przyszło mu też do głowy, że jego nowojorscy koledzy mogli w tym maczać palce. Po co w takim razie informowali go o Calthropie? Sytuacja gwałtownie się pogmatwała, a to wzbudzało niepokój gangstera. Był szanowanym i bogatym obywatelem, przyjacielem ministrów i bankierów, szefem potężnej paryskiej maszyny przestępczej; z wielu stron mogła płynąć przyjaźń bądź nienawiść, pomyślał. Oczywiście nie bał się, ale był pewien, że od tej chwili ludzie nie dadzą mu spokoju. A w interesach właśnie spokój był najważniejszy. Cóż, postanowił, na jakiś czas będzie musiał ograniczyć swoją działalność. Czuł się jak brydżysta, któremu w trakcie gry zabrano od stolika wszystkich partnerów. Mógł sobie co najwyżej poprzekładać karty i popatrzyć, ale nie mógł grać i wygrać, a to bolało najbardziej.

Gazeta, którą Charles Calthrop trzymał w ręku, była zwykłym paryskim brukowcem. Kupił ją, ponieważ rzuciła mu się w oczy pierwsza strona, a właściwie wydrukowany dużymi literami tytuł: „WIELKI SABATINI I TRUPY!”. W miarę czytania jego twarz robiła się coraz poważniejsza. Wśród zwykłego redaktorskiego bełkotu i celowego podgrzewania sensacji, znalazł fakty, które go zaniepokoiły. Z artykułu dowiedział się, że jego brat, Roger, zakonnik z Brazylii, został odbity przez agentów Interpolu z rąk ludzi wynajętych przez Lamartine'a, sekretarza Francoisa Sabatiniego. Dziennikarz, który najwyraźniej dobrze rozpoznał temat, podał nawet nazwisko jednego z agentów i nie omieszkał podkreślić, że jest nim syn słynnego emerytowanego komisarza policji, Claude'a Lebela. Calthrop oparł się o siedzenie wynajętego mercedesa i przymknął

powieki. Dopiero teraz miał pełny obraz sytuacji.

Natychmiast ze swoich planów wykluczył Sabatiniego. W tej chwili Francuz był niegroźny, sam miał kłopoty z policją. Calthrop wahał się, jak ma postąpić. Znał swojego brata. Wiedział, że nie oszczędzono mu „przyjacielskich” informacji. Domyślał się co przeżywa wrażliwy i nie znoszący przemocy Roger. Do tego dochodziła niezrozumiała dla zwykłego człowieka wiara, dziecięca ufność w sprawiedliwość świata. Calthrop widział już ludzi, którzy zamęczali się z powodu wyrzutów sumienia. Widział żywych i widział tych, którzy nie znieśli cierpienia i sami odebrali sobie życie.

Calthrop nie miał wątpliwości, że jego brat należał właśnie do tego rodzaju ludzi. Poświęcił się dla innych i żył uczciwie. Pod tym względem był prawdziwym perfekcjonistą, zaprzeczeniem zbrodni i przemocy, zaprzeczeniem Charlesa i nie żyjącego już Richarda. Świadomość, że gdzieś daleko, w egzotycznych warunkach pracuje jako zakonnik ich najmłodszy brat, dawała obu płatnym mordercom nieokreślony komfort psychiczny. Calthrop nigdy na ten temat nie rozmawiał, ale nie wyobrażał sobie, aby ktoś obcy mógł ten stan naruszyć. Na przekór temu czym się zajmował, chciał za wszelką cenę ochronić naiwne oddanie i wiarę najmłodszego z Calthropów.

Ręka Calthropa przekręciła kluczyk w stacyjce, a noga nacisnęła stopniowo na gaz. Mercedes miękko wytoczył się na ulicę. Słońce stopniowo zachodziło i powietrze nabierało purpurowego, krwawego koloru. 6 września wieczorem sprawiał wrażenie pochodni, która powoli przesuwana się nad Paryżem. Zmysły Calthropa odbierały ten silny, atawistyczny sygnał przyrody i nie bronił się. Mężczyzna pozwolił sobie na chwilę relaksu i z łagodnym uśmiechem obserwował

ulicę, po której raz za razem przesuwają się objęte mocno pary. Tak właśnie wyglądała normalność, do której po latach chciał wrócić.

Wjechał na jednokierunkową rue de Dantzig. Za pół godziny chciał dotrzeć do „Hotelu de Ville”, gdzie umówił się z Rosemary Greenwood. Kiedy Calthrop znalazł się w hotelu, od razu skierował się do restauracji. Obrzucił szybkim spojrzeniem hall, spojrzął w wiszące na ścianie lustro i zatrzymał się tuż za progiem restauracji. Jego oczy bez trudu odnalazły sylwetkę panny Greenwood. Siedziała przy dwuosobowym stoliku blisko ściany i piła szampana. Towarzyszy jej wysoki, barczysty mężczyzna z ciemnymi włosami.

Morderca odwrócił się i podszedł do jednej z kabin telefonicznych. Wykręcił numer do recepcji „Hotelu de Ville” i z rozbawieniem przyglądał się jak młody, chudziutki recepcjonista podnosi słuchawkę.

– Z panną Rosemary Greenwood proszę – powiedział, starając się nadać swojemu głosowi dystygowane brzmienie. – W tej chwili powinna znajdować się w restauracji.

– Tak, proszę pana – odpowiedział z przejęciem recepcjonista.
– Natychmiast ją poinformuję o pańskim telefonie.

– Dziękuję będę czekał. Proszę się tylko pospieszyć.

– Oczywiście, proszę pana – wykasłał recepcjonista i powiedział coś swojemu starszemu koledze i szybkim krokiem wszedł do restauracji.

Rosemary pojawiła się kilkanaście sekund później. Recepcjonista podał jej słuchawkę i dyskretnie usunął się na bok.

– To ja, Charles – powiedział Calthrop, patrząc na zgrabną sylwetkę kobiety. – Jak się bawisz?

– Och, Charles – ucieszyła się panna Greenwood. – To dobrze, że dzwonisz...

– Potrzebuję informacji o Antoine'ie – przerwał jej dość gwałtownie. – Chodzi mi o agenta Interpolu. Niestety nie wiem nic więcej poza tym, że jego ojciec, Claude Lebel był komisarzem policji i aktualnie jest na emeryturze.

– Dobrze – odpowiedziała kobieta. – Na kiedy to potrzebujesz?

– Natychmiast – odrzekł morderca, obserwując lekkie westchnienie panny Greenwood. – Interesuje mnie przede wszystkim gdzie on mieszka.

– Za trzy godziny postaram się dać ci odpowiedź – Rosemary Greenwood poprawiła kokieteryjnym gestem włosy i odwróciła się w jego stronę. – Skąd dzwonisz, Charles?

Nie musiał jej odpowiadać, ponieważ w tym samym momencie ich spojrzenia spotkały się. Ona przestała mówić i ze słuchawką przy uchu patrzyła na jego przewrotny, wyraźniejszy niż zwykle półśmiejch. Calthrop, który nie zapomniał gdzie się znajdowali, dał jej znak, że powinna już wracać do stolika.

– W którym pokoju mieszkasz? – zapytał, zanim odeszła.

– Sto dwanaście – odpowiedziała tonem przypominającym szelst papieru.

– Zadzwoń – obiecał i skończył rozmowę. Przez moment obserwował ją, po czym wyszedł z kabiny i skierował się w kierunku drzwi. Był pewny, że za trzy godziny otrzyma potrzebne informacje. Bank danych CIA, z którego musiała skorzystać panna Greenwood, zawierał wszystkie sylwetki zachodnioeuropejskich służb specjalnych, w tym także Antoine'a Lebela, agenta Interpolu.

Calthrop miał teraz czas dla siebie. Postanowił zatrzymać się w jakiejś ustronnej uliczce i przespać. Tym razem nie wynajął nigdzie pokoju, mógł więc liczyć na to, że nie zostanie zdemaskowany. Wypożyczony mercedes był na tyle wygodny, że można w nim było przez jakiś czas znośnie zamieszkać. Pozostałe sprawy, włącznie z myciem i goleniem, załatwiał w saunie.

Dłoń Marka Galbraitha dotknęła ramienia Rosemary Greenwood, a jego oczy zrobiły się beznadziejnie zakochane i łzawe. Kobieta uśmiechnęła się do niego zalotnie i pogłaskała go po twarzy.

– Kochanie, teraz muszę zniknąć, ale przyrzekam ci, że jutro będziemy cały dzień razem – powiedziała słodkim głosem, pod wpływem którego Galbraith dostawał gęsiej skórki.

– Wiesz, że jestem zazdrosny – odezwał się z wyrzutem. – Powiedz mi chociaż, kto do ciebie dzwonił?

– To nie tajemnica – odrzekła, odchylając się do tyłu. – Moja koleżanka, Lily. Studiowałyśmy razem, a ona wyszła za Francuza. Zawsze do mnie dzwoni i zaprasza na plotki. Nawet nie wiesz, jak lubimy plotkować, kochanie...

– Może mógłbym ją poznać – nieśmiało zaproponował mężczyzna.

– Nie teraz, Mark – zaproponowała zdecydowanie. – Muszę ją przygotować, że w moim życiu coś się zmienia. Poza tym najpierw chcę z nią porozmawiać. Nie gniewasz się?

Pan Galbraith nie miał innego wyjścia, jak poddać się i zrobić do całej tej rozmowy dobrą minę. Nie znosił, kiedy kobiety narzucały mu swoją wolę, ale w towarzystwie Rosemary czuł się bezsilny. Znali się zaledwie kilka dni, a on nie potrafił znieść myśli, że mogłaby go zostawić. W dodatku zaskoczyła go swoimi niecodziennymi

zasadami. Mimo że bardzo nalegał, ani razu nie poszła z nim do łóżka. Powiedziała mu wprost, że musi się do niego przyzwyczaić i dobrze poznać. Mark Galbraith początkowo był wściekły, później zdezorientowany, a w końcu uznał to za zupełnie naturalne. Mam dla ciebie niespodziankę – powiedziała nagle panna Greenwood. – Chcę żebyśmy się z tego hotelu wynieśli i zamieszkali gdzieś na prowincji. To cudowne, kiedy pomyślę sobie o spacerach wśród ogrodów Fontainebleau... Powiedziałam już, że jutro rano wyjeżdżam. Jeżeli chociaż trochę mnie kochasz, Mark, zrobisz to samo... – dodała cicho i uścisnęła mu lekko dłoń.

– Dobrze – mężczyzna zareagował automatycznie i z odcieniem rezygnacji. – Jeżeli przestał cię bawić Paryż i ekskluzywne hotele, może na wsi będziesz dla mnie lepsza...

Panna Greenwood wstała, mrugnęła do niego obiecująco i wyszła z restauracji. Mark Galbraith został sam z butelką szampana i podłym samopoczuciem. Skinął na kelnera, zapłacił rachunek i wręczając kelnerowi napiwek, powiedział:

– Proszę mi przysłać do pokoju dwie butelki szampana. Może być natychmiast.

Kiedy mężczyzna oddalił się, kelner spojrzął za nim, a w jego wzroku mieściła się bezbrzeżna pogarda. Zawsze złościł go ludzie, którzy mieli dużo pieniędzy, a zasługiwali najwyżej na kopniaka. Do takich właśnie facetów zaliczył Marka Galbraitha.

Palec Lebela wolno przesuwiał się po mapie wiszącej na ścianie paryskiego biura Interpolu. Agent był wyraźnie zmęczony i coraz bardziej odczuwał głód. Dochodziła dziesiąta w nocy, a on od dwóch

godzin wbijał swoim ludziom do głów plan obserwacji cmentarza Père Lachaise, w pobliżu którego zamieszkał zakonnik, Roger Calthrop.

– Powtarzam, że nie jest to zwyczajna obserwacja – powiedział zmęczonym głosem. – Chodzi o dużej klasy płatnego zabójcę. Mamy przynętę i w każdej chwili morderca może się tam pojawić. Zakonnik musi być stale obserwowany. Fuche i Gabriel będą to robili na zmianę. Pięciu ludzi powinno stale kręcić się wokół cmentarza. Przez ten tydzień nie wolno nam odpocząć. Przypuszczam, że morderca w ciągu najbliższych dni odwiedzi swojego brata. Nasi amerykańscy koledzy sprawdzają właśnie telefon, pod który dzwonił zakonnik. Czekam właśnie na informację w tej sprawie.

– A jeżeli nie przyjdzie? – odezwał się jeden z młodszych agentów.

– Będziemy czekać dalej – odpowiedział cierpko Lebel. – Nie mamy innego wyjścia. Macie więc zawiesić na razie wszystkie randki i zabrać się do pracy poważnie. I jeszcze jedno – dorzucił agent. – Ten gość jest naprawdę cholernie niebezpieczny. To nie tylko morderca, to także inteligentny i przewidujący człowiek. Nie zapominajcie o tym. Zróbcie wszystko, abyśmy go dostali żywego. Tacy faceci mają bardzo dużo wiadomości i kontaktów. Jestem pewien, że mógłby nam sporo opowiedzieć o różnych swoich kolegach...

– W porządku, Lebel – przerwał nagle szef francuskiego Interpolu, Suchet. – Dobrze pan to wykombinował. Teraz musi pan pojechać do domu i dobrze się wyspać. Jutro o szóstej czekam na pana u siebie. Fuche, pan zajmie się wszystkim dziś w nocy. W razie gdyby Calthrop pojawił się, macie natychmiast mnie obudzić. Niezależnie od pory, rozumiano?

– Tak, szefie – potwierdził Fuche.

– Może jednak lepiej by było, gdybym został w biurze? – zapytał sennym głosem Lebel. – Czuję, że on przyjdzie dziś lub jutro...

– Lebel – przerwał niecierpliwie Suchet. – Niech pan idzie spać do domu i nie dyskutuje. Jeżeli ma pan zamiar polegać w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin na własnych przecuciach, lepiej niech pan to zrobi w domu...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł czarnoskóry agent z sekcji informacji. Podszedł do Sucheta i powiedział:

– Przed chwilą otrzymaliśmy informację z Nowego Jorku. Znaleźli mieszkanie, w którym Calthrop zainstalował telefon z komputerem. To gdzieś w Harlem River... Niestety, urządzenie było tak skonstruowane, że w momencie otwarcia drzwi cały zapis został wytarty. Amerykanie męczyli się z tym przez godzinę, ale nic to nie dało. Nasi ludzie stamtąd zamierzają być przy następnych nagraniach, zanim zostaną skasowane. W tej chwili badają to diabelne urządzenie. Podobno jest to niesamowicie sprytna maszyna...

– W porządku, Paul – podziękował Suchet agentowi.

– Możesz wracać do siebie. To ważne, co przyniosłeś, może nawet bardziej niż myślimy.

Piętnaście minut później agenci rozeszli się. Suchet oparł się ciężko o stół i nie patrząc na Lebela, powiedział:

– Myślę, że prawie go mamy, Lebel. Ten facet miał do tej pory cholernie dużo szczęścia, zdecydowanie za dużo... – przerwał na chwilę i nagle zmienił ton. – Niepokoi mnie pewien szczegół, który nam się wymknął – ciągnął jakby z wysiłkiem. – Nie udało nam się powstrzymać jednego z tych nawiedzonych reporterów prasowych. Obejrzyj sobie ten artykuł...

Na stolik tuż przed nosem Lebela upadł pomięty egzemplarz

gazety ze zdjęciem Francoisa Sabatiniego. Lebel wziął go w ręce i błyskawicznie przeczytał. Kiedy natrafił na swoje nazwisko, jęknął żałośnie i podniósł głowę.

– Chętnie ukręciłbym łeb temu pismakowi – warknął wściekle.
– Jeżeli Calthrop przeczytał tę szmatę, to znów nam może zniknąć. Mam nadzieję, że nie wpadła mu w ręce...

– Jeżeli Calthrop czytał ten artykuł – wtrącił Suchet – to z pewnością może mieć do ciebie sprawę. Wystarczy, że połączy z tym telefon od swojego braciszka. Nie wygląda to dobrze, Lebel. Ten gość, na ile go wyczuwam, może chcieć cię wykończyć. Obym się jednak mylił.

– Jadę do domu – powiedział Lebel. – Prześlpię się, trochę odpocznę. Rano coś wymyślę.

– Pojedzie za tobą dwóch naszych ludzi – odezwał się Suchet. – Będą cię pilnować. To konieczne.

Lebel chciał zaoponować, ale wystarczyło spojrzeć na minę Sucheta, aby zrezygnować z dyskusji. Zapytał tylko z westchnieniem:

– Kto?
– Pleyard i nasz nowy nabytek, Dedeux – odpowiedział Suchet.
– Posiedzą sobie przed twoim domem i poobserwują.

– Może ma pan rację, szefie – zgodził się Lebel. – Nie zaszkodzi uważać.

Agent wstał i potoczył się do wyjścia. Śmieszny ten Lebel, pomyślał Suchet, odprowadzając go wzrokiem, przypomina kiepsko nasmarowaną ośkę, ale głowę ma na karku. Szef francuskiego Interpolu dobrze wiedział, że tacy ludzie nawet w służbach specjalnych nie trafiali się często.

W nocy o godzinie pierwszej zero siedem dzielnica Montrouge sprawiała wrażenie poprutego kaptcia, który ogląda ktoś od środka.

Wokoło panował półmrok rozjaśniony co kilkadziesiąt metrów światłem latarni bądź sklepowej wystawy.

Antoine Lebel oddychał ciężko, czasami wydając z siebie głośnie chrapnięcie. Jego żona spała cicho i spokojnie. Dwa metry nad nimi, na drugim piętrze, spały ich dzieci i rodzice. W sypialni państwa Lebelów słychać było tylko tykanie budzika. Ani sam Lebel, ani jego rodzina, ani dwaj siedzący w samochodzie niedaleko domu agencji, nie domyślali się nawet, że mercedes Charlesa Calthropa przejechał już obok nich dwa razy.

Obaj pracownicy francuskiego Interpolu słuchali muzyki i jedli kupione wcześniej kanapki: Morderca zauważył ich za drugim razem. Nie był pewny kim są, ale postanowił działać szczególnie ostrożnie. Nigdy nie lekceważył przeciwnika.

Pół godziny wcześniej przyglądał się domowi Lebela przez lornetkę. Zapamiętywał szczegóły, jakby miał zamiar się tam wprowadzić. Zastanawiał się, czy agent ma stałą ochronę, czy też ryzykuje i żyje na kredyt.

Kiedy Calthrop dostrzegł obstawę Lebela, domyślił się, że była ona okolicznościowa. Rutynowa ochrona nie mogła przecież czaić się każdej nocy w samochodach osobowych. Do takich celów przeznaczano głównie mikrobusy lub małe bagażówki. Wozy takie specjalnie przygotowywano, a ich wyposażenie przypominało dużą przyczepę kempingową.

Morderca zatrzymał się w cieniu obok budki telefonicznej. Wysiadł z samochodu i podszedł do aparatu. Wykręcił numer telefonu Lebela i cierpliwie czekał, aż agent podniesie słuchawkę.

- Słucham, Lebel – mruknął ktoś zaspanym głosem.
- Mówi Roger Calthrop – szepnął zabójca. – Za kilka minut

mój brat tu przyjdzie... Tylko proszę nie strzelać... Proszę...

– Nie ma obawy – uspokoił go Lebel, który w jednej chwili całkowicie się rozbudził. – Proszę spokojnie czekać. Zrobimy to bez rozlewu krwi... Do zobaczenia.

Lebel rzucił słuchawkę na widełki i jak szalony zaczął wkładać na siebie koszulę. Był tak podekscytowany, że z wysiłkiem trafił w nogawkę spodni. Jego żona podniosła głowę, zapaliła lampkę i spojrzała na zegarek. Pokręciła głową, zgasiła światło i sennym głosem zapytała:

– Czy oni naprawdę nie mogą się bez ciebie obyć, kochanie?

– Śpij, śpij – odpowiedział Lebel, zapinając sobie pod pachą szelki z kaburą, w której tkwił pistolet. – Zadzwońię...

Trzy minuty później agent wybiegł z domu i w pośpiechu szukał kluczyków od samochodu. W ciągu tych samych trzech minut morderca otworzył leżącą na siedzeniu obok walizeczkę z podwójnym dnem i błyskawicznie wyjął z niej szwedzki pistolet wojskowy kalibru 9 mm. Sięgnął po leżącą w walizce długą lufę i kilkoma ruchami przykręcił japoński celownik optyczny, pozwalający precyzyjnie celować na odległość stu metrów, opuścił szybę mercedesa i starannie wymierzył.

Siedem specjalnie nadpiłowanych kul znajdowało się w magazynku i podobnie jak cała reszta stanowiło wyposażenie agenta komunistycznej służby bezpieczeństwa, STASI. Człowiek ten zginął przed kilku laty z ręki Charlesa Calthropa, a jego walizka przeleżała ten długi okres w sejfie jednego z paryskich banków. Tego popołudnia właśnie morderca przypomniał sobie o niej i uznał, że powinna być wykorzystana.

Samochód Calthropa stał w szeregu wozów, zasłaniających go przed oczami agentów z ochrony. Stał dokładnie osiemdziesiąt dziewięć metrów od Lebela, który usiłował otworzyć drzwi swojego samochodu.

Calthrop nacisnął cyngiel trzy razy. Strzałów prawie nie było słyhać, japoński tłumik nałożony na lufę był naprawdę wysokiej klasy. Dwa nadpiłowane pociski trafiły Lebela w pierś, trzeci idealnie pomiędzy oczy. Agent zachwiał się i kiedy upadał, jego wnętrze przypominało gazetę, w którą ktoś wielokrotnie wbijał drut. Calthrop wiedział, że pociski, którymi strzelał rozrywały się w ciele ofiary i powodowały śmiertelne obrażenia.

Dwaj agenci z ochrony nie wierzyli własnym oczom. Lebel pojawił się tak nagle i tak szybko podbiegł do swojego samochodu, że nie zdążyli porozumieć się z centralą. Żaden z nich nie zdążył nawet wysiąść z samochodu. Zamarli z przerażenia, kiedy ich kolega zachwiał się i upadł.

– Zawiadom centralę – wrzasnął Pleyard i wybiegł z pistoletem w dłoni na ulicę. W półmroku zauważył oddalającego się mercedesa, ale nie zdołał dostrzec numerów rejestracyjnych. Wyciągnął broń, wycelował, ale nie wystrzelił. Nie był pewien, czy wybrał właściwy cel.

Nachylił się nad Lebelem, ale od razu zrozumiał, że ma przed sobą trupa. Pleyard kucnął i zamknął oczy. Wiedział, że za tę śmierć on także odpowiadał. Jakiś głos w środku krzyczał na niego, że Lebel mógłby żyć, gdyby ochrona okazała się bardziej przewidująca. Rozsądek szeptał mu w tym czasie nieśmiało, że takich wypadków nie można do końca przewidzieć. Pleyard otworzył oczy dopiero wówczas, gdy poczuł na plecach dotknięcie ręki Dedeuxa, a w oddali rozległ się sygnał policyjnego wozu.

Rano, 7 września o godzinie dziesiątej dwadzieścia pięć, Rosemary Greenwood stała na moście Tolbiac i patrzyła na oddalającą się sylwetkę mężczyzny. Mark Galbraith szedł sztywnym, sprężystym krokiem i marzył. Jego twarz tym razem była szczęśliwa i pełna nadziei. Kobieta, którą kochał zgodziła się wyjść za niego i zapra-gnęła to zrobić natychmiast w najbliższym kościele. Galbraith nigdy nie rozumiał czyichś ekstrawagancji i zwykle bardzo go one drażni-ły, tym razem jednak gotów był znieść wszystkie szalone pomysły świata. Czuł się tak, jakby otworzyła mu się w głowie nowa komór-ka, w której na zawsze już miała zamieszkać Rosemary. Mężczyzna gotów był uznać, że nagłe i nieodpowiedzialne pomysły miawały czasami swój sens i nieodparty urok.

Panna Greenwood patrzyła na Sekwanę, ale jej oczy nie wyrażały radości. Były zmęczone i lekko zaniepokojone. Takie spojrzenie miawały kobiety, które w filmowych melodramatach ucieleśniały cierpienie.

Galbraith ani na chwilę nie zwolnił kroku. Jego elegancki ciemny garnitur mienił się pod wpływem szybkich ruchów, a dłoń niosąca neseser i płaszcz kołysała się niczym most na linach. Amerykanin przeciął rue de Reuilly i kierował się w stronę cmentarza Picpus. Tam miał nadzieję znaleźć kościół i uczynnego księdza, który za odpowiednio wysoką sumę dałby mu ślub.

Kiedy minął wiadukt kolejowy i znajdował się na wprost cmenta-rza, zatrzymał się obok niego ciemny mercedes. Drzwi samochodu otworzyły się tak nagle, że zatarasowały mu drogę. Ze środka usły-szał wyraźny głos:

- Panie Galbraith czy nie idzie pan przypadkiem do kościoła?
Amerykanin pochylił się i zajrzał do mercedesa. Ktoś uśmiechnął

się zachęcająco i zrobił zapraszający gest. Galbraith miał zamiar pójść dalej, ale w tym momencie zobaczył wycelowaną w siebie lufę pistoletu.

– Wsiadaj – warknął głos i Galbraith posłuchał. – Musimy porozmawiać...

Stary Claude Lebel obudził się w chwili, gdy przed jego domem zatrzymał się czwarty z kolei policyjny wóz. Światła sygnalizacyjne obracały się powoli, a lekarz z karetki pogotowia wyjaśniał coś Alainowi Suchetowi. Szef francuskiego Interpolu śledził oczami nosze, na których niesiono Lebela. Stojący obok niego komisarz Sakson notował coś szybko w małym, czerwonym notesie. W oknie domu Lebelów pojawiły się głowy dziewczynki i dwóch kobiet.

– Czy mój syn nie żyje? – odezwał się stary Lebel, podchodząc do lekarza. – Jestem...

– Dobry wieczór, komisarzu – przerwał Sakson i mocno ścisnął dłoń małego, niepozornego mężczyzny. – Wiem kim pan jest. Niestety, Antoine, nasz kolega został zabity...

– Jak? – zapytał sucho Lebel.

– Z pistoletu – odparł komisarz. – Badamy to właśnie. Kule były nadpiłowane... Sam pan wie... Miazga w środku. Cholernie mi przykro...

– Kto to zrobił? – Stary Lebel pytał automatycznie, nie patrząc na swojego rozmówcę.

Komisarz Sakson zawahał się i spojrzał na Sucheta.

– Powiem panu – powiedział wolno Suchet. – Zrobił to człowiek, którego pański syn i cały Interpol ściga od ponad tygodnia. Wydawało nam się, że już go mamy, ale sam pan widzi. Ten człowiek jest zawodowym mordercą i nie był nigdzie notowany. Jako

były policjant wie pan doskonale, jak trudno kogoś takiego złapać. Ale złapiemy go, Lebel, daję panu słowo, że złapiemy tego skurwysyna...

– Czy znacie jego nazwisko? – przerwał stary patrząc uważnie w oczy Sucheta. – Kto zabił mojego syna?

– Nazywa się Charles Calthrop – odpowiedział zrezygnowanym tonem szef Interpolu. – To jednak nie ma w tej chwili znaczenia, ponieważ człowiek ten działa pod wieloma nazwiskami. Jestem pewny, że ma ich bardzo dużo... Co się stało, Lebel? – drgnął nagle Suchet i przytrzymał starego za ramię.

Nie otrzymał jednak odpowiedzi. Nie otrzymał jej nikt. W głowie staruszka wybuchła olbrzymia bomba, wybuchło wspomnienie niejakiego Charlesa Calthropa, który przed wielu laty został zatrzymany przez policję brytyjską w związku ze sprawą Szakala. Teraz, kiedy nazwisko to znów wypłynęło i zwłoki młodego Lebela znalazły się pod białym prześcieradłem w karetce, Claude Lebel poczuł, że dzieje się z nim coś niedobrego. Jego serce przestało jakby uderzać, a oczy zrobiły się duże i niewidzące. Chciał chwycić oddech, ale jakaś żelazna obręcz dusiła mu gardło. Przełyk płonął i stary policjant w ostatnich przeblyskach świadomości wiedział, że obracający się regularnie świetlny sygnał policyjnego wozu jest ostatnim obrazem w jego życiu.

Lekarz pracował przy starym komisarzu Lebelu przez całą godzinę, ale nie było to już potrzebne. Wzruszenie i bezradność spowodowały zawał i śmierć. Tylko on jeden wiedział, jak wielkie koło zatoczyła historia Szakala i jak perfidnie uderzyła po raz drugi. Szakal wrócił i tym razem wygrał. Stary umierał w przeświadczeniu, że w rodzinie Lebelów nie było już nikogo, kto osobiście mógłby się ostatecznie pozbyć mordercy. Zostało dziecko i dwie kobiety ze swoimi bólami i wspomnieniami. Zostały tylko żony policjantów i córka.

EPILOG

W prosektorium jednego z małych paryskich szpitali stali trzech ludzie: Elaine Suchet, komisarz Sakson i zakonnik Roger Calthrop. Milczeli i ponuro patrzyli na przykryte białym prześcieradłem zwłoki. Wszyscy trzech byli przyzwyczajeni do widoku zmarłych i nie czuli się w ich obecności nieswojo. Dreszcze, które czasami przelatywały przez ich ciała, były po prostu reakcją na chłód panujący w prosektorium.

– Znalaziono go w samochodzie – odezwał się Sakson. – Został zabity nożem. W jego kieszeniach znaleźliśmy kilka paszportów, w tym na nazwisko Charles Calthrop. Były tam także pieniądze, około trzydziestu tysięcy franków. W jego walizce znajdowało się podwójne dno, gdzie odkryliśmy schowek na broń, lufy, tłumiki i celownik optyczny. Z tej samej broni zastrzelono agenta Lebela...

– Zabito go nożem – powtórzył cicho zakonnik.

– Tak – potwierdził komisarz. – Dwa celne pchnięcia prosto w serce. Czy zechciałby ojciec zidentyfikować zwłoki?

Ręce policjanta odchyliły prześcieradło. Twarz nieżywego mężczyzny była spokojna i miała w sobie nieokreślony element szlachetności. Patrząc na nią trudno było uwierzyć, że jej właściciel tak nędznie zginął.

Ojciec Polo uważnie studiował zeszytnięte rysy. W jego oczach nie było śladu wzruszenia. Zachowywał się jak ksiądz, który przyszedł do chorego z ostatnim namaszczeniem. Suchet i Sakson nie

przeszkadzali mu, odsunęli się na bok i nie spuszczała z oczu.

Zakonnik zastanawiał się głęboko, co powinien odpowiedzieć. Śmierć Antoine'a Lebela i zaraz potem jego ojca mocno go poruszyła. Widział córeczkę agenta, jego żonę i matkę. Widział cierpienie, do którego nigdy nie zdołał się przyzwyczaić. Wiedział, że jeżeli zaprzeczy i nie rozpozna w martwym mężczyźnie swojego brata, pościg będzie trwał dalej i znów ktoś zginie. Nie potrafił zabić w sobie myśli, że on także pośrednio był odpowiedzialny za śmierć Lebela. Gdyby nie zgodził się na współpracę, agent mógłby jeszcze żyć. Ojciec Polo wiedział także, że jeżeli potwierdzi, że na stole leży jego brat, sprawa zostanie zamknięta, ale on wciąż będzie się czuł winny. Stał przed dramatycznym wyborem. Z jednej strony jego głos otwierał drogę, możliwe że do kolejnych morderstw, z drugiej pozostawiał go z poczuciem winy i straszliwej niepewności.

Podniósł oczy i bez zmrużenia powieki powiedział:

– Tak, to jest mój brat, Charles...